

# Córka Ewy



HONORÉ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

## Córka Ewy

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Nazwisko Balzaka budzi dziś w naszym pojęciu obraz głębokiego, surowego niemal myśliciela, człowieka, który, jak nikt przed nim ani po nim, zważył, osądził i opisał całokształt życia społecznego, układ i stosunek jego grup, mechanizm walk i namiętności, i zaklął je w nieśmiertelną galerię typów *Komedii ludzkiej*. Balzac jest dziś lekturą, w której smakują raczej mężczyźni. Inaczej rzecz się miała w epoce, w której wielki pisarz żył i działał. Nazwisko Balzaka, dla współczesnych, było przede wszystkim mianem spowiednika serc i dusz kobiecych, człowieka, który, znowuż jak nikt przed nim, zrozumiał i zanalizował kobietę, podchwycił ją i uwiecznił w jej wielkości i małostkach, jej prawdzie i kłamstwach, i stworzył cały orszak niezapomnianych postaci kobiecych. Każdy nowy romans Balzaka budził echo w rzeczywistej kobieciej daleko poza granicami Francji, znajdował odzew aż gdzieś w szlacheckim dworze na zapadłej Ukrainie; z całej Europy szły doń poufne listy, prośby o radę, zwierzenia, poza którymi kryły się nieraz aspiracje tkliwszej i bardziej osobistej natury. Dziś jeszcze, dla znacznej części publiczności obeznanej jedynie ze słyhu z jego dziełem, Balzac jest przede wszystkim autorem *Kobiety trzydziestoletniej*, mimo że ten tak szczęśliwie poczęty tytuł kryje jeden z jego wyjątkowo lichych romansów, właściwie zlepek kilku opowiadań powstałych w różnych epokach.

Ta pozorna sprzeczność jest jednakże bardzo logiczna i zrozumiała. Balzac, wielki obserwator i analista życia społecznego, zajęty odmierzaniem i wykreślaniem linii sił poruszających społeczeństwem, a zarazem zdający sobie sprawę z całej wagi *imponderabiliów*<sup>1</sup> życiowych, nie mógł, jako Francuz zwłaszcza, nie spostrzec, jak olbrzymi motor dynamiki społecznej stanowi Kobieta, w wyższym pojęciu typu; jak potężną sprężyną wszelkiego ruchu jest światek kobiecej zalotności — a, z drugiej strony, czym jest ta narkotyczna atmosfera buduaru<sup>2</sup> i sypialni, w której gnie się i topi najtęższa nieraz stal charakterów. Przejrzał on i ogarnął w mnóstwie przekrojów fenomen nazwany *miłością*, który życie społeczne uczyniło tak złożonym i tak odbiegającym od pierwotnego instynktu. Zawsze zajmował go głęboko problem małżeństwa, ta kwadratura koła współżycia dwojga istot: *Fizjologia małżeństwa* rozpoczyna, z ogromnym hałasem, jego wielką karierę pisarską; — w *Małych niedolach pożycia małżeńskiego* Balzac powraca do tego samego tematu na jej schyłku.

*Miłość* w pojęciu Balzaka bardzo jest odmienna niż w całej poprzedzającej go literaturze. Omawiając, w swoim czasie utwory Marivaux<sup>3</sup>, miałem sposobność zaznaczyć, jakim krokiem naprzód, w stosunku do dawnej komedii, jest subtelna analiza tego pisarza, rozszczepiająca ów rzekomy pierwiastek na cały szereg składników; ale terenem obserwacji Marivaux było wnętrze duszy ludzkiej, izolowane poniekąd od zewnętrznego życia, tak jak społeczeństwo, które służyło mu za materiał, było od tego życia izolowane swoim wyjątkowo uprzywilejowanym położeniem. Przypomnijmy sobie *Niebezpieczne związki*

<sup>1</sup>*imponderabilia* — rzeczy nie dające się dokładnie zmierzyć ani określić, a przy tym istotne. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*buduar* — kobiecy pokój przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Marivaux, Pierre de* (1688–1763) — komediopisarz francuski. [przypis edytorski]

Laclosa<sup>4</sup>, ten późny kwiat cieplarniany skazanego na rychłą zagładę *ancien régime*<sup>5</sup> ! Ale Balzac staje się poetą nowo tworzącego się demokratycznego świata, w którym dominującą cechą jest obalenie wszystkich barier, otwarcie wszystkim wszelkich możliwości i dostępu, a co za tym idzie — kolosalne napięcie ambicji, woli i ludzkiego wysiłku. Falszem byłoby pojmować w tym społeczeństwie miłość w rozumieniu dawnych map *Krainy czułości*; wyzbywa się ona najzupełniej swojej arystokratycznej wyłączności; jest najściślej związaną z całokształtem nowoczesnego życia, jego walk, wysiłków i ambicji, których godłem staje się symboliczny skrót całego tego zmagania — pieniądz. Miłość, aż nazbyt często, z celu — staje się środkiem. Równocześnie obserwator, który za zadanie postawił sobie odmalowanie wiernego i całkowitego obrazu społeczeństwa, musiał uświadomić sobie, że zdolność do prawdziwej, bezwzględnej miłości, ten *geniusz serca*<sup>6</sup>, jest równie rzadkim, jak wszelki inny *geniusz*, a to, co w świecie ma obieg pod mianem miłości, to tylko gruby i mniej lub więcej zanieczyszczony aliaż<sup>7</sup>. Ten świat uczuć mieszanych, złożonych, jest światem, który z niezrównanym mistrzostwem i prawdą kreśli Balzac; a nieustanna gra tych trzech elementów: zmysłów, próżności i pieniądza, występujących we wszystkich możebnych kombinacjach i splatających się wciąż niby w ironiczne triolety<sup>8</sup>, nadaje jego dziełu jemu tylko właściwy i osobliwie niepokojący charakter. Jeżeli, tu i ówdzie, na łamach tych głęboko mądrych i przenikliwych książek, wykwitnie uroczy kwiat prawdziwej miłości, zdolnej zapomnieć o sobie i roztopić się w bezwzględnym, depczącym wszelkie kombinacje życiowe oddaniu, to najczęściej wyrasta on nie wśród subtelnych i rafinowanych dam wielkiego świata, ani w środowisku spokojnej mieszczańskiej cnoty, ale w sercu tych nieszczęśliwych wyrobnic miłości, w których uczucie to, tylekroć sponiewierane, gromadzi bezcenne skarby dla tego, komu się odda z własnej woli i wyboru. Taką jest Ester w *Blaskach i nędzach życia kurtyzany*, taka Koralia w *Straconych złudzeniach*. Jest w tym zapewne coś z panującej mody Romantyzmu, lubującego się w tym typie „jawnogrzecznicy odrodzonej przez miłość”, typie który tyle łez wycisnął z oczu czytelnikom i widzom, powtórzony raz jeszcze w najgłośniejszym swym egzemplarzu, słynnej *Damie Kameliowej*; ale jest niewątpliwie i świadoma intencja myśliciela, który śmieiej niż kto bądź inny miał odwagę spojrzeć w oczy brutalnym paradoksem życia.

Balzac był rasowym powieściopisarzem, zatem epikiem; większość dzieł jego nie ma nic z osobistych wylewów owych dość częstych powieści „lirycznych”, w których jedyną istniejącą naprawdę osobą jest sam autor, przeglądający się w różnych pozach i różnych zwierciadłach, inne zaś postacie dają jedynie usługną replikę jego monologom. Mimo to potężna indywidualność Balzaka wkłada w każdy utwór dużo z niego samego; — i nie mogło być inaczej. Bardzo interesującym jest, znając epizody życia samego autora, śledzić, jak odbijają się one w jego dziele; ile i co z siebie lub swego otoczenia włożył w tę lub ową figurę. Omawiając w swoim czasie *Kawalerskie gospodarstwo*, wskazałem, iż figura Józefa Bridau — która zresztą wieloma szczegółami pokrywa się z karierą słynnego malarza Delacroix — mieści sporo przeżyć i rysów samego Balzaka. Tym bardziej może nas to interesować w tych dwóch opowiadaniach, których bohaterami są dwaj wybitni pisarze, dwaj wielcy ludzie — jeden fałszywy, drugi prawdziwy — zajmujący zresztą miejsce i w innych utworach z cyklu *Komedii ludzkiej*<sup>9</sup> : Natan i d'Arthez.

Młodość Balzaka przypada na lata Restauracji monarchicznej; lata, w których świetne arystokratyczne towarzystwo Francji skupia — mimo zmienionych warunków społecznych i tylko na krótki czas — wszystkie środki, pokusy i wpływy. Młodociany głód pełni życia, oraz wrażliwość artysty na wszystko, co jest blaskiem i pięknem, ściągnęły oczy ambitnego chłopca w tę stronę. Przydomek *de*, który wcześniej zaczyna dodawać do nazwiska (bez żadnego uprawnienia w tej mierze: jeszcze dziadek Balzaka zapisany jest w metrykach pod nazwiskiem *Balssa* i był prostym rolnikiem), ma służyć za pomost

<sup>4</sup>Laclos, *Pierre Choderlos de* — wojskowy, urzędnik i pisarz francuski, autor powieści w listach *Niebezpieczne związki*. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*ancien régime* (fr.) — stare rządy, określenie monarchii francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*geniusz serca* — patrz: *Fizjologia małżeństwa*. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*aliaż* (daw.) — stop. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*triolet* — rodzaj ośmiowersowej strofy, powtarzającej określone linijki. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>w innych utworach z cyklu *Komedii ludzkiej* — jednym z głównych węzłów, spajających w organiczną całość poszczególne utwory Balzaka, jest powieść pt. *Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

do tego świata, wyobrażającego dlań realizację wszystkich pragnień i ambicji. Toruje mu doń drogę sława, tym bardziej, że pierwsze lata rozgłosu Balzaka przypadają na początki nowej „lipcowej” monarchii, pod której berłem następuje znaczne wymieszanie warstw społecznych i zdemokratyzowanie nawet tego tak wyłącznego światka. Pośród mnóstwa bezimiennych wielbicielek, próbujących nawiązać korespondencję z głośnym pisarzem, znalazła się i margrabina (później księżna) de Castries, młoda, piękna, należąca do „śmietanki” towarzystwa, zarazem — jak się zdaje — osoba zalotna, próżna i zimna. Z czasem pani de Castries odsłoniła anonim, otwierając Balzakowi drzwi swego pałacu, a co za tym idzie, wszystkie prawdziwe salony Paryża. I oto Balzac, najmniej przez naturę przeznaczony do zawodu dandysa i światowca (był krępy, niezręczny, rubaszny, pospolity, ale — wedle świadectwa współczesnych — zapominało się o tym pod wpływem wspaniałego blasku jego oczu i porywającej rozmowy), sili się, na krótki czas zresztą, przedzierzgnąć w lwa salonowego, rozwija przepych fantazyjnych kamizelek<sup>10</sup>, ugania w kabriolecie po lasku Bulońskim, wciąż nadskakując pięknej margrabinie i prowadząc z nią podjazdową wojnę miłosną. Balzac przeszedł na własnej skórze wszystkie problemy tego konfliktu, który skreślił w *Córce Ewy*: konfliktu między *stylem* miłości, tkwiącym jeszcze w epoce, kiedy bohaterowie pięknego świata nie mieli, prócz miłości, innego zatrudnienia, a straszliwymi warunkami nowoczesnego życia, w którym czynny i ambitny człowiek zaledwie ma dość sił, aby nastarczyć wszystkim koniecznym wydatkom energii. Okres ten w życiu pisarza trwał niedługo; z jednej strony nieublagana kwestia czasu i rozbieżność pomiędzy olbrzymimi pracami, jakie go wołały, a tym światowym rozprószeniem, z drugiej poczucie nierównej stawki, jaką obie strony wносиły w grę, kazały mu się wyrwać, mimo iż z krwawiącym sercem, z tej pajęczej sieci, aby się oddać już niepodzielnie twardym wymaganiom życia artysty-pracownika.

Interesującym jest, w jaki sposób samozachowawczy instynkt geniuszu Balzaka potrafił pogodzić marzenia jego o wytwornej miłości „hrabiny” z pochłaniającą wszystkich czas pracą. Po prostu przerzucając ideał — mimo iż realny — w świat prawie że czystej wyobraźni. Pośród korespondencji licznych „nieznajomych”, szczególną uwagę pisarza zwrócił list datowany z Odessy, 28 lutego 1832. Autorką jego była pani Hańska, z domu hr. Rzewuska (siostra powieściopisarza, autora *Listopada*), zamieszkała w majątku Wierzchowni na Ukrainie. Po tym liście nastąpiła wymiana dalszych, potem pierwsze spotkanie i poznanie się w Szwajcarii, gdzie pani Hańska bawiła z mężem i rodziną, i stosunek *quasi*-miłosny, z wzajemnymi obietnicami małżeństwa, ciągnący się przez lat 17 na przestrzeni kilkuset mil, z przerwami czasem po 7 lat pomiędzy jednym widzeniem a drugim, wreszcie, na kilka miesięcy przed śmiercią pisarza, zakończony małżeństwem, którego harmonia nie przetrwała ani tych kilku miesięcy. Dzięki tej „fincie” geniusz Balzaka nie tylko nie pozwolił sobie odkraść ani litery z dzieła, jakie miał do wydania na świat, ale jeszcze dorzucił doń paręset listów, ogłoszonych niedawno pt. *Lettres a l'Etrangère*. Ta odległa, tak „dekoracyjna” miłość, której promień przyświecał mu przez kilkanaście lat życia, pozwoliła Balzakowi obronić się ponętom świata i wytrwać w swojej celi pustelnika przy pracy pochłaniającej stale po kilkanaście godzin na dobę. W jaki sposób ten wielki samotnik potrafił w przelotnych skokach nurka w społeczeństwo wyłowić te arcydzieła przenikliwej, wszechstronnej i w każdym słowie nowej obserwacji, pozostaje tajemnicą osobliwych darów istoty twórczości.

Każda zatem z dwu figur Balzaka, będących bohaterami tych opowiadań, zawiera coś z niego samego. W intencjach autora Natana, ze swoim fałszywym i krótkotrwałym blaskiem, jest przeciwieństwem wytrwałego i świadomego siebie geniuszu Balzaka, d'Arthez zaś jego — może nieco chłodnym, jak zwykle u „dodatnich” typów Balzaka — urzeczywistnieniem. Ale w zewnętrzne koleje Natana wchodzi bardzo dużo z przejść samego autora, który przez całe życie tańczył pomiędzy kaprysami zbytku a grozą pozwów i komornika, i który, w gorączce zdobycia „silnej pozycji”, niejednokrotnie próbował się rzucać to w teatr, to w politykę, to wreszcie w awanturnicze przedsięwzięcia, które

<sup>10</sup>rozwija przepych fantazyjnych kamizelek — słynna była w Paryżu legendarna laska Balzaka, niezmiernej grubości, o olbrzymiej złotej gałce, rzeźbionej i wysadzanej drogimi kamieniami otrzymanymi rzekomo od wielbicielek; wewnątrz gałka była próżna i zawierała skrytkę na „włosy kochanek”. Balzac, z owym dziecięcym rozbawieniem i zapalczliwością, jakie go cechują, tak przywiązany był do tej laski, iż w dniu, w którym zapomniał ją w dorożce, omal nie zemdlął [Boy]. [przypis edytorski]

nieodmiennie kończyły się katastrofą. Bezład finansowego życia Balzaka stanął na przeszkodzie i jego ambicjom politycznym i nawet wejściu do Akademii; niejednokrotnie — odbił się ujemnie na jego dziele, zmuszając do zbyt pospiesznego tworzenia i wypruwania sobie z wnętrzości niedonoszonych płodów. Co do wielu innych figur tych opowiadań, pamiętać należy, że wszystkie te postacie, jak pani d'Espard, Rastignac, Blondet, Lousteau, etc., to galeria Balzakowskiego świata, powtarzająca się w szeregu powieści, i że, tym samym, autor nie zadaje sobie trudu ponownego ich charakteryzowania.

Powtarzam zatem jeszcze raz to, na co zwracałem uwagę na innym miejscu, iż dzieło Balzaka trzeba brać jako całość; im bardziej czytelnik się w nie zagłębi, tym więcej znajdzie w nim zadowolenia, które hojnie opłaci poniesione trudy. Zatem cierpliwości!

Boy

Kraków, w listopadzie 1918.

## CÓRKA EWY

W jednym z najpiękniejszych pałaców ulicy Neuvedes-Mathurins, o godzinie wpół do dwunastej wieczór, dwie kobiety siedziały przed kominkiem buduaru<sup>11</sup> obitego owym niebieskim aksamitem o tonach miękkich i pieściwych, jaki przemysł francuski zdołał wytworzyć dopiero w ostatnich latach. U drzwi, okien, tapicer — artysta w swoim rodzaju — zawiesił miękkie, kaszmirowe firanki w kolorze niebieskim, harmonizującym z kolorem obicia. Srebrna lampa, ozdobiona turkusami i zawieszona na trzech misternie kowanych łańcuchach, zwiesza się z ładnej różyczki umieszczonej na środku stropu. Dekoracja pokoju obmyślona jest w najdrobniejszych szczegółach, aż do tego stropu z niebieskiego jedwabiu, poprzecinanego w kształt gwiazdy białym kaszmirowym, którego długie sfaldowane smugi, przypięte węzłami pereł, spływają w równych odstępach na ściany. Nogi toną w ciepłej tkaninie belgijskiego dywanu, gęstego jak trawnik, w kolorze lniano-szarym, usianym w niebieskie bukiety. Meble, rzeźbione w litym drzewie palisandru wedle najpiękniejszych wzorów dawnego czasu, podnoszą swymi bogatymi tonami kolorysty całości, nieco *mdły*, jakby powiedział malarz. Grzbiet krzesel i foteli ukazują oku szmaty pięknej materii z białego jedwabiu, haftowane w niebieskie kwiaty i bogato oprawne w liście misternie rzezane w drzewie. Po obu stronach okna dwie etażerki dźwigają tysiące kosztownych drobiazgów, kwiaty sztuk rękodzielniczych rozwite przy ogniu myśli. Na kominku z białego marmuru najbardziej lotne figurki z saskiej porcelany, owi pasterze, którzy spieszą na wieczne gody, trzymając w ręku misterne bukiety, rodzaj niemieckiej chińszczyzny, otaczają inkrustowany zegar strojny arabeskami. Nad kominkiem błyszczy rżnięty kryształ weneckiego zwierciadła, oprawnego w heban zdobny bogatym deseniem, a pochodzącego z jakiejś starej rezydencji królewskiej. Dwie żardinierki roztańczają chorobliwy przepych cieplarni, blade rozkoszne kwiaty, istne perły botaniki. W tym buduarze zimnym, schludnym, utrzymanym w porządku, jak gdyby był na sprzedaż, na próżno szukalibyście owego figlarnego i kapryśnego nieładu, który uchyla rąbek tajemnicy szczęścia. Na teraz wszystko było w harmonii, dwie kobiety bowiem, obecne tam w tej chwili, płakały. Wszystko zdawało się nosić znamiona cierpienia. Nazwisko właściciela, jednego z najbogatszych bankierów paryskich, usprawiedliwia szalony przepych pałacu, któremu buduar ten może służyć za program. Mimo iż bez rodziny, mimo iż *dorobił się*, sam Bóg wie jak, du Tillet zaślubił, w 1831, ostatnią córkę hrabiego de Granville, jednego z najgłośniejszych przedstawicieli magistratury francuskiej, który został parem Francji po rewolucji lipcowej. Małżeństwo to okupił ambitny bankier kwitując przy kontrakcie posag, którego nie otrzymał, równie znaczny jak posag starszej siostry, która wyszła za hrabiego Feliksa de Vandenesse. Na odwrót, hrabstwo de Granville uzyskali niegdyś ten związek z Vandenessami dzięki olbrzymiej sumie posagu. W ten sposób „finanse” załatały uszczerbek, jaki zadało magistraturze szlachectwo. Gdyby hrabia de Vandenesse mógł przewidzieć, iż, w ciągu trzech lat, zostanie szwagrem imię Ferdynanda *wolającego się* du Tillet, nie byłby może zaślubił swej żony; ale któż mógłby, pod koniec 1828, odgadnąć osobliwe przewroty, jakie r. 1830 miał wnieść w ustrój polityczny, w stan fortun i pojęć

<sup>11</sup>*buduar* — kobiecej pokój przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

moralnych we Francji? Za szaleńca uchodziłby ten, kto by powiedział, że hrabia Feliks de Vandenesse, postrada w tym kontredansie koronę para i że odnajdzie się ona na głowie jego teścia.

Zanurzona w niskim i głębokim fotelu przy kominku, w pozie kobiety słuchającej z uwagą, pani du Tillet przyciskała z macierzyńską czułością do piersi siostrę swą, panią Feliksową de Vandenesse, całując, od czasu do czasu, jej rękę. W towarzystwie dodawano zazwyczaj do nazwiska rodzowego imię chrzestne, aby odróżnić hrabinę od jej szwagierki, margrabiny, żony byłego ambasadora, Karola de Vandenesse, który zaślubił bogatą wdowę po hrabi de Kergarouët, z domu pannę de Fontaine. Wpół leżąc na *kozetce*, z chustką w drugiej ręce, z oddechem przerywanym od zduszonego szlochania, z wilgotnymi oczami, hrabina była właśnie w pełni owych zwierzeń, jakie czyni się poufnie jedynie bardzo kochającej i kochanej siostrze; te zaś siostry kochały się nader tkliwie. Żyjemy w czasach, gdzie dwie siostry tak osobliwie wydane za mąż mogłyby łatwo wcale się nie kochać; toteż historyk poczuwa się do obowiązku przytoczenia przyczyn tej czułości, zachowanej bez szwanku i skazy pośród wzajemnej wzdargy, jaką darzyli się ich mężowie i pośród rozdźwięków społecznych. Pospieszny rzut oka na dzieciństwo obu siostr wy tłumaczy ich zobopólne położenie.

Wychowane w posępnym pałacu dzielnicy Marais przez kobietę nabożną, o ciasnej inteligencji, która, *przejęta ważnością swoich obowiązków* (klasyczny frazes), dopełniła pierwszego zadania matki wobec córek, Maria-Aniela i Maria-Eugenia doszły do chwili swego zamążpójścia, pierwsza w dwudziestym, druga w siedemnastym roku, nie wyszedłszy nigdy ze sfery domowej, gdzie królowało oko matki. Aż do tej chwili noga ich nie postąpiła na żadnym widowisku, kościoły Paryża były ich teatrem. Słowem, wychowanie ich w domu matki było równie surowe, jak mogłoby być w klasztorze. Od czasu wyjścia z dzieciństwa sypiały zawsze w pokoju przylegającym do pokoju hrabiny de Granville, od którego drzwi w nocy były otwarte. Czas, który nie był poświęcony gotowalni<sup>12</sup>, powinnościom religijnym lub naukom nieodzownym dla dobrze wychowanych panien, spływał im na szyciu dla ubogich, na przechadzkach, w rodzaju owych, na jakie pozwalają sobie Anglicy w niedzielę, mówiąc: „Nie idźmy tak szybko: wyglądałoby, że się bawimy”. Wykształcenie ich nie przekraczało granic zakreślonych przez spowiedników, wybranych pomiędzy duchownymi najdalej od tolerancji a najbliższymi jansenizmu. Nigdy chyba żadna panna nie przeszła w objęcia męża bardziej czystą i dziewiczą: zdawałoby się, iż matka widziała w tym punkcie, dosyć ważnym zresztą, dopełnienie wszystkich obowiązków wobec nieba i ludzi. Do chwili zameścia te dwie biedne istoty ani nie czytały żadnej powieści, ani nie rysowały nic innego, jak tylko postacie, których anatomia wydałaby się Cuvierowi arcydziełem niemożliwości, kopiowane z rycin, zdolnych odmęczyć samego Farnezyjskiego Herkulesa. Rysunku uczyła ich pewna stara panna. Czcigodny ksiądz nauczył je gramatyki, języka francuskiego, historii, geografii i nieco arytmetyki na użytek kobiecy. Lektury ich, dobrane pośród autoryzowanych książek, jak *Budujące listy* i *Kurs literatury* Nottla, odbywały się wieczorami na głos, ale w towarzystwie spowiednika matki, mogły bowiem zdarzyć się ustępy, które, bez światłych komentarzy, rozbudziłyby dziewiczą wyobraźnię. *Telemak* Fenelona wydał się niebezpieczny. Hrabina de Granville kochała córki na tyle, aby chcieć z nich uczynić anioły chodzące po ziemi; ale córki byłyby wolały matkę mniej cnotliwą a miłszą. Wychowanie to wydało owoce. Nałożona jak jarzmo i przedstawiona pod najsurowszą postacią, religia znużyła swymi praktykami te niewinne serca, wciąż pomawiane niejako o zbrodnicze instynkty; zdławiła uczucia, i, mimo że zapuściła w dziewczętach głębokie korzenie, nie zyskała miłości. Obie Marie musiały albo do szczytu zidiociec, albo też wzdychać do niezależności; jakoż, pragnęły wyjść za mąż z chwilą, gdy dane im było ujrzeć nieco świata i wytworzyć sobie jakiś sąd; co się tyczy natomiast własnego wzruszającego wdzięku i wartości, tych zupełnie były nieświadome. Nie znały własnej niewinności, w jaki sposób miały znać życie? Bez broni wobec nieszczęścia, równie jak bez doświadczenia dającego ocenić szczęście, jedynie w sobie samych czerpały pociechę pośród tej macierzyńskiej katongi. Ich niewinne zwierzenia, wieczorem, szeptane po cichu, lub kilka zdań wymienionych, kiedy matka opuszczała je na chwilę, zawierały niekiedy więcej myśli niż słowa zdolne są wyrazić. Często spojrzenie umknę-

Matka

Matka, Religia

<sup>12</sup>gotowalnia (daw.) — pomieszczenie do ubierania się (bądź sama ta czynność). [przypis edytorski]

te wszystkim oczom, spojrzenie, którym udzielały sobie swoich wzruszeń, było istnym poematem gorzkiej melancholii. Widok nieba bez chmur, zapach kwiatów, przechadzka pod ramię dokoła ogrodu, stawały się źródłem niesłychanych przyjemności. Chwila ukończenia haftu sprawiała im niewinną radość. Towarzystwo matki nie tylko nie stanowiło żadnej słodyczy dla ich serca ani pobudzenia dla umysłu, ale mogło jedynie pogłębić ich myśli i osmęcić uczucia: składało się bowiem ze starszych kobiet prostych, suchych, bez wdzięku, których rozmowa toczyła się koło komentowania zalet kaznodziejów lub spowiedników, ich drobnych niedyspozycji i małych wydarzeń ze świata zakrystii. Co się tyczy mężczyzn, ci byliby zdolni zagasić samą pochodnię miłości, tak twarze ich były zimne i pełne smutnej rezygnacji; wszyscy byli w wieku, w którym mężczyzna staje się zgryźliwym i niechętnym, w którym wrażliwość jego budzi się jedynie przy stole i przywiązując do rzeczy dotyczących wygod życia. Egoizm religijny wysuszył te serca poświęcone obowiązkom, zamurowane poza praktykami wiary. Milczące posiedzenia wypełnione kartami zaprzętały ich prawie cały wieczór. Dwie małe, ofiary tego sanhedrynu<sup>13</sup> podtrzymującego macierzyńską surowość, chwyciły się na uczuciu nienawiści dla tych rozpaczliwych figur o zapadłych oczach i chmurnych twarzach. Na mrokach tego życia zarysowała się silnie jedna jedyna twarz człowieka, mianowicie nauczyciela muzyki. Spowiednicy orzekli, że muzyka jest to sztuka chrześcijańska, zrodzona w kościele katolickim i przezeń rozwinięta. Pozwolono tedy dziewczynkom uczyć się muzyki. Stara panna w okularach, która *udzielała solfeżów*<sup>14</sup> i fortepianu w sąsiednim klasztorze, znużyła je ćwiczeniami. Ale kiedy starsza z córek doszła do dziesięciu lat, hrabia de Granville wykazał potrzebę nauczyciela. Pani de Granville nadała temu koniecznemu ustępstwu całą wagę małżeńskie uległości: w duchu dewotek jest czynić sobie zasługę ze spełnionych obowiązków. Nauczycielem, jakiego obrano, był pewien Niemiec, katolik, jeden z tych ludzi, którzy rodzą się starzy i którzy zawsze będą mieli pięćdziesiąt lat, nawet w osmdziesiątym. Twarz jego, poorana, pomarszczona, ciemna, zachowała coś dziecięcego i naiwnego w swoich ciemnych bruzdach. Błękit niewinności ożywił jego oczy, a na wargach mieszkał wesoly uśmiech wiosny. Siwe włosy, układające się naturalnie jak na wizerunkach Chrystusa, przydawały ekstatycznemu wejrzeniu pocziwca coś jakby uroczystego, zdolnego omylić co do jego charakteru: umiałby popełnić szaleństwo z najbardziej przykładową powagą. Ubiór jego był nieodzowną skorupą, na którą nie zwracał żadnej uwagi, oczy jego bowiem błędziły zbyt wysoko w chmurach, aby kiedykolwiek parać się z zewnętrżnością. Toteż ten nieznanym wielki artysta należał do milej kategorii owych *dysraktów*<sup>15</sup>, którzy oddają czas i duszę drugim, tak jak zostawiają rękawiczki po wszystkich stołach i parasole u wszystkich drzwi. Ręce jego miały tę właściwość, iż były brudne zaraz po umyciu. Wreszcie sędziwe jego ciało, źle osadzone na starych węzłowatych nogach, i mogące służyć za przykład, do jakiego stopnia człowiek może zrobić zeń przyczynę duszy, należało do owych osobliwych tworów, które dobrze odmalował jedynie Niemiec, Hoffmann<sup>16</sup>, poeta tego, co zdaje się nie istnieć, a co ma wszelako życie. Takim był Schmuke, dawny organista margrafa Anspachu. Zanim powierzono mu jego funkcje, poddano go radzie przybocznej dewotek i zapytano, czy pości. Mistrz miał ochotę odpowiedzieć: „Spójrzcie na mnie!”, ale jak tu żartować wobec dewotek i spowiedników-jansenistów<sup>17</sup>? Ten niepoczesny<sup>18</sup> starzec zajął tyle miejsca w życiu dwóch Marii, powzięły tyle przyjaźni dla tego naiwnego wielkiego artysty, który zadawał się<sup>19</sup> rozumieniem sztuki, iż, wyszedłszy za żonę, każda zapewniła mu po trzysta franków dożywotniej renty, która to suma wystarczała staremu na mieszkanie, piwo, odzież i fajkę. Sześćset franków renty, połączone z dochodem z lekcji, stworzyły mu raj na ziemi. Schmuke zdobył się na odwagę zwierzenia swojej nędzy i swych marzeń jedynie tym dwom czarującym dziewczątkom, tym

Muzyka, Nauczyciel

<sup>13</sup>sanhedrym — kolegium rabinackie; tu przen.: rada osób religijnych. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>solfeż — metoda treningu słuchu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>dysrakt — człowiek roztrągniony. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) — niemiecki pisarz, autor opowiadań fantastycznych. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>jansenista — zwolennik jansenizmu, ruchu reformatorskiego w kościele katolickim, funkcjonującego w XVI- i XVII-wiecznej Francji i Niderlandach, inspirowanego pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej zapożyczoną od św. Augustyna. Związany z tym ruchem był m.in. Blaise Pascal. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>niepoczesny — niezwracający na siebie uwagi. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>zadawał się — dziś: zadawał się. [przypis edytorski]

sercom rozkwitłym pod śniegiem surowości macierzyńskiej i lodem dewocji. Fakt ten objaśnia całego Schmukego i dziecięctwo obu Marii. Nikt nie umiał później powiedzieć, co za ksiądz, co za stara dewotka odkryła tego Niemca zabląkanego w Paryżu. Z chwilą, gdy matki dowiedziały się, że hrabina de Granville znalazła nauczyciela muzyki dla córek, wszystkie zaczęły wywiadywać się o jego nazwisko i adres. Niebawem Schmuke miał lekcje w trzydziestu domach dzielnicy Marais. Spóźniony jego sukces zaznaczył się trzewikami o sprzączkach z oksydowanej stali i częstszą zmianą bielizny. Jego naiwna wesołość, długo zduszona przez szlachetną i pełną godności nędzę, znów zakwitła, objawiając się w naiwnych i ciężkich dowcipach, wygłaszanych żargonem germano-gallickim, tonem uszczęśliwienia, który rozbrajał szyderstwo. Był tak szczęśliwy, gdy mógł sprowadzić śmiech na wargi swoich dwóch uczennic, których smutne życie przeniknął, iż byłby chętnie stał się śmiesznym z umysłu<sup>20</sup>, gdyby nim nie był z natury; ale serce jego zdolne było odświeżyć najbardziej pospolite trywialności, i, wedle ładnego wyrażenia nieboszczyka Saint-Martin, byłby ozłocił błoto swoim niebiańskim uśmiechem.

Wedle jednej z najpiękniejszych myśli religijnego wychowania, obie Marie odprowadzały z szacunkiem swego mistrza aż do drzwi domu. Tam, pocziwie dziewczyny mówiły mu jakichś parę miłych słów, szczęśliwe, iż uszczęśliwiały tego człowieka: wolno im było okazać się kobietami jedynie dla niego! Aż do chwili małżeństwa, muzyka siała się tedy dla nich drugim życiem w życiu, tak samo jak chłop ruski bierze, jak powiadają, swoje sny za rzeczywistość, życie zaś za przykry sen. W żądzy bronienia się przeciw małostkom, które groziły im zalewem, przeciw straszliwym ideom ascetycznym, rzuciły się rozpaczliwie w trudności sztuki muzycznej. Melodia, harmonia, kompozycja, te trzy córy nieba, których korowód prowadził ów stary faun katolicki pijany muzyką, wynagrodziły je za ich pracę i stworzyły im wał ochronny ze swych eterycznych płasów. Mozart<sup>21</sup>, Beethoven<sup>22</sup>, Haydn<sup>23</sup>, Paësiello<sup>24</sup>, Cimarosa<sup>25</sup>, Hummel i pomniejsi mistrze rozwinęli w nich tysiące uczuć, które nie wyszły poza niewinny okrąg ich zakwefionych serc, ale które wniknęły w przestwór stworzenia, gdzie bujały pełnymi skrzydłami. Kiedy dziewczynki, wykonując jakiś utwór, osiągnęły doskonałości, ścisnęły się za ręce, rzuciły się sobie w objęcia w uniesieniu żywej ekstazy, stary zaś nauczyciel dawał im miano św. Cecylii<sup>26</sup>.

Obie Marie zaczęły bywać na balach dopiero w szesnastym roku i tylko cztery razy na rok, w paru wybranych domach. Oddalały się od boku matek wyposażone ścisłymi przepisami postępowania, a przepisy te były tak surowe, że ledwie wolno im było odpowiadać *tak* i *nie* swoim tancerzom. Oko hrabiny nie opuszczało dziewczątek i zdawało się zgadywać słowa z samego poruszenia warg. Biedne małe ubrane były z nieskazitelną skromnością, w suknie z muślinu sięgające aż pod brodę, z nieskończoną mnogością bardzo obfitych zakładek i długimi rękawami. Strój ten, trzymając w spowiciu ich wdzięk i urodę, dawał im niejaki podobieństwo do mumii egipskich; mimo to, z tych żywych zwójów materii, wyłaniały się twarzyczki rozkoszne swą melancholią. Wściekały się, widząc, iż są przedmiotem łagodnego współczucia. Gdzież jest kobieta, bodaj najniewinniejsza, która by nie pragnęła budzić zazdrości? Żadna myśl niebezpieczna, niezdrowa lub nawet dwuznaczna nie skalala tedy białej kory ich mózgu: serca ich były czyste, ręce straszliwie czerwone, tryskały wprost zdrowiem. Ewa nie wyszła z rąk Boga bardziej niewinna, niż te dwie dziewczyny, kiedy opuściły dom macierzyński aby udać się do merostwa i do kościoła, z prostym ale straszliwym zaleceniem, aby były we wszystkim posłuszne mężczyznom, przy których miały spać lub nie spać tej nocy. Wedle ich pojęcia, nie mogło im być gorzej w obcym domu, dokąd je przierzucano, niż pod dachem macierzyńskiego klasztoru.

Dlaczego ojciec dziewczątek, hrabia de Granville, ów wielki, uczony i nieskazitelny urzędnik, mimo że niekiedy dający się ponosić polityce, nie chronił młodych istotek przeciw temu miażdżącemu despotyzmowi? Niestety! wskutek pamiętnego układu, zawartego

<sup>20</sup>*z umysłu* — dziś: umyślnie. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Mozart, Wolfgang Amadeusz (1756–1791)* — kompozytor i klawesynista niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Beethoven, Ludwig van (1770–1827)* — kompozytor niemiecki, zaliczany do tzw. klasyków wiedeńskich, a zarazem prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Haydn, Franz Joseph (1732–1809)* — austriacki kompozytor, przedstawiciel klasycyzmu. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Paësiello* — właśc. Giovanni Paisiello (1740–1816), włoski kompozytor klasycystyczny. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Cimarosa, Domenico (1749–1801)* — włoski kompozytor klasycystyczny. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*św. Cecylia* (zm. ok. 230) — męczennica, patronka muzyków. [przypis edytorski]



po dziesięciu latach małżeństwa, małżonkowie żyli rozdzieleni we własnym domu. Ojciec zastrzegł sobie synów, zostawiając żonie wychowanie córek. Wpływ tego dławiącego systemu wydawał mu się o wiele mniej niebezpieczny dla dziewcząt niż dla chłopców. Obie Marie, przeznaczone aby znosić jakąś tyranie — tyranie miłości albo małżeństwa — mniej na tym ponosiły szkody, niż chłopcy, u których inteligencja powinna rozwijać się swobodnie i których charakter spaczyłby się pod gwałtownym uciskiem idei religijnych — wyciągniętych do ostatecznych konsekwencji. Z czworga ofiar, hrabia uratował dwie. Synowie, obaj przeznaczeni do wysokich karier urzędniczych, byli, w oczach hrabiny, nazbyt źle wychowani, aby im mogła pozwolić na najmniejsze zbliżenie z siostrami. Wszelka styczność między biednymi dziećmi otoczona była surowym nadzorem. Zresztą, kiedy hrabia zabierał synów z kolegiami, starał się aby jak najmniej przebywali w domu.

Chłopcy siadali do śniadania wraz z matką i siostrami, następnie ojciec zabierał ich gdzieś z sobą na miasto: restauracje, teatry, muzea, wycieczki na wieś w porze letniej, dostarczały obficie rozrywek. Wyjąwszy uroczyste dni tycia rodzinnego, jak imieniny matki lub ojca, Nowy Rok, rozdanie świadectw, w które to dni chłopcy mieszkali w domu rodzicielskim i spali tam, czując się bardzo nieswojo, nie śmiać uściskać siostr strzeżonych przez hrabinę, która nie zostawiała ich ani na chwilę razem, biedne dziewczynki widywały braci tak rzadko, iż nie mógł istnieć pomiędzy nimi żaden węzeł. W te dni zapytania: „Gdzie Aniela? — Co robi Eugenia? — Gdzie są dziewczęta?” rozlegały się przy każdej sposobności. Skoro była mowa o synach, hrabina podnosiła ku niebu zimne i umęczone oczy, jakby prosząc Boga o przebaczenie, iż nie wydarła ich z objęć bezbożności. Wykrzykniki jej i niedomówienia w tej mierze równoznaczne były z najbardziej żałośliwymi wersetami Jeremiasza i wprowadzały w błąd córki, które uważały braci za głęboko zepsutych i zgubionych na zawsze. Kiedy chłopcy doszli do osiemnastu lat, hrabia dał im dwa pokoje w swoim apartamencie. Zapisał obu synów na wydział prawny, stawiając ich pod nadzorem adwokata, swego sekretarza, któremu poruczył<sup>27</sup> wprowadzanie ich w tajniki przyszłego zawodu. Obie Marie znały tedy siostrzane uczucia jedynie w sposób oderwany. W okresie, kiedy wychodziły za mąż, jeden z braci był generalnym prokuratorem przy odległym trybunale, drugi stawiał pierwsze kroki na prowincji; żaden z nich nie mógł przybyć na ślubne uroczystości. W wielu rodzinach, życie wewnętrzne, które możnaby sobie wyobrazić jako serdeczne, bliskie, związane, toczy się w ten sposób: bracia są daleko, zajęci swoją karierą, przyszłością, zagarnięci służbą publiczną; siostry pochłonięte wirem interesów rodzin nie będących ich rodziną. Żyją dalecy, zapominając jedni o drugich, związani jedynie słabymi więzami, aż do chwili, w której ich duma obudzi, interes skupi, a niekiedy rozdzieli w sercach, jak byli już rozdzieleni faktycznie. Rodzina żyjąca w jedności ciała i ducha, jest rzadkim wyjątkiem. Prawo nowoczesne, rozdrabniając rodzinę na rodziny, stworzyła zło najstraszliwsze ze wszystkich: indywidualizm.

Pośród głębokiej samotności, w której upłynęła ich młodość, Angelika i Eugenia rzadko widywały ojca, który zresztą, ilekroć zjawiał się w wielkim apartamencie, jaki żona zamieszkiwała na parterze pałacu, wnosił weń twarz smutną i zgnębioną. Zachowywał w domu surową i uroczystą fizjognomię<sup>28</sup> urzędnika na krześle sędziowskim. Kiedy dziewczynki wyrosły z wieku zabawek i lalek, kiedy zaczęły się w nich budzić przeblyski rozumu, około dwunastu lat — wieku, w którym przestały się śmiać ze starego Schmukego — podchwyciły tajemnicę trosk, które sfałdowały bruzdami czoło hrabiego, odgadły, pod tą surową maską, oznaki znacznej natury i przemilego charakteru. Zrozumiały, iż ustąpił religii miejsca w pożyciu domowym, zawiedziony w nadziejach męża, a zarazem zraniony w najdelikatniejszych włóknach ojcostwa, miłości ojca dla córek. Podobne cierpienia osobiście wzruszają młode dziewczęta pozbawione czułości. Niekiedy, przechadzając się z nimi po ogrodzie, objąwszy każdą ręką drobną kibić i stosując się do ich dziecinnego kroku, ojciec zatrzymywał się pod kępką gęstych drzew i całował je kolejno w czoło. Oczy jego, usta, i cała fizjognomia wyrażały wówczas najgłębsze współczucie.

— Nie jesteście bardzo szczęśliwe, drogie maleństwa — mówił — ale postaram się wydać was wcześniej za mąż i rad<sup>29</sup> będę, kiedy wydobędziecie się z domu.

— Ojczulku — mówiła Eugenia — jesteśmy gotowe wyjść za pierwszego z brzegu...

<sup>27</sup>poruczyć — powierzyć. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Oto — wykrzyknął — gorzki system podobnego wychowania! Chce się zrobić święte, robi się...

Nie dokończył. Często dziewczynki czuły serdeczną tklivość w uścisku, jaki dawał im na pożegnanie, lub w spojrzeniach jego, kiedy, przypadkiem, obiadował w domu. Żal im było tego ojca, tak rzadko oglądanego, a zazwyczaj kocha się tego, kogo się żałuje.

To surowe i religijne wychowanie było przyczyną małżeństwa owych dwu siostr, zespolonych z sobą nieszczęściem niby siostry syjamskie. Wielu mężczyzn, przystępujących do małżeństwa, woli młodą dziewczynę wychowaną w klasztorze i przesyconą dewocją od panien wychowanych w poglądach światowych. Nic pośredniego nie istnieje. Mężczyzna musi zaślubić albo pannę bardzo uświadomioną, która czytała anonse dzienników i komentowała je, która walcowała i tańczyła galopadę z tłumem młodzieży, która bywała na wszystkich widowiskach, pochłaniała romanse, której nauczyciel tańca wyłamywał kolana opierając je o swoje, która nie troszczy się ani krzty o religię i sama sobie utworzyła zasady moralne; albo też młodą dziewczynę nieświadomą i czystą, taką jak były Maria-Aniela i Maria-Eugenia. Być może, jedne jak drugie są równie niebezpieczne. Mimo to, olbrzymia większość mężczyzn, którzy nie mają lat Arnolfa, woła jeszcze raczej nabożną Anusię, niż zadatek przyszłej Celimeny<sup>30</sup>.

Obie Marie, drobne i szczupłe, miały jednaką figurę, jednaką nogę, jednaką rękę. Eugenia, młodsza, była blondynką jak matka; Aniela miała ciemne włosy ojca. Ale obie miały tę samą skórę<sup>31</sup>: skórę o perłowej białości, która zwiastuje bujność i czystość krwi, ubarwioną kolorami żywo odcinającymi się na tkance podobnej do listka jaśminu i jak on delikatnej, gładkiej i tklivej w dotknięciu. Niebieskie oczy Eugonii, ciemne oczy Anieli miały wyraz naiwnej beztroski, nieobmyślonego zdziwienia, malującego się w zamglo-nych nieco źrenicach. Obie były dobrze zbudowane; ramiona ich, nieco szczupłe, miały się zaokrąglić z czasem. Biusty ich, tak długo osłaniane, zdumiały spojrzenia swoją doskonałością, kiedy, na prośby mężów, przywdziały na bal wycięte suknie: obaj rozkoszowali się tym czarującym wstydem, który, najpierw w czterech ścianach domu, a później przez cały wieczór, przyprowadził o rumieniec te dwie niewinne istoty. W chwili, gdy zaczyna się to opowiadanie, kiedy starsza z siostr płakała i dała się pocieszać młodszej, ręce ich i ramiona stały się białe jak mleko. Obie były już matkami, obie wykarmiły, jedna chłopca, druga córkę. Eugenia wydawała się matce zawsze bardzo pustą: toteż otaczała ją podwójną bacznością i surowością. W oczach tej groźnej matki Aniela, szlachetna i dumna, uchodziła za duszę pełną egzaltacji i zdolną ustrzec się samej, podczas gdy psotna Eugenia potrzebowała, aby ją powściągać. Zdarzają się w życiu urocze istoty, jak gdyby zapoznane przez los, którym wszystko powinno by się powodzić, a które żyją i umierają nieszczęśliwe, dręczone przez złego geniusza, ofiary nieprzewidzianych okoliczności. Tak, niewinna, wesoła Eugenia, wyszedłszy z więzienia macierzyńskiego, popadła w dokuczliwą tyranie parweniusza<sup>32</sup>. Anielę, z natury stworzoną do wielkich walk serca, los rzucił, bez żadnego wędzidla, w wysokie sfery paryskiego towarzystwa.

Pani de Vandenesse, która widocznie upadała pod brzemieniem utrapień zbyt ciężkich dla jej duszy, jeszcze naiwna po sześciu latach małżeństwa, spoczywała wyciągnięta, z nogami wpół zgiętymi, z ciałem złamanym, z głową zwisającą na grzbiet kozetki. Przybiegłszy do siostry po krótkim zjawieniu się we *Włoskim*, miała jeszcze we włosach parę kwiatów, reszta leżała rozsypana na ziemi wraz z rękawiczkami, wraz z jedwabną, podbitą futrem narzutką, zarękawką i kapturkiem. Błyszczące łyzy mieszające się z perłami na białej piersi, wilgotne oczy, zwiastowały niezwykle zwierzenia. W otoczeniu tego zbytku, czyż to nie było straszne? Hrabina nie czuła siły, aby mówić.

— Biedna mała — rzekła pani du Tillet — jakież fałszywe masz pojęcie o moim małżeństwie, skoro mogło ci przyjść do głowy prosić mnie o pomoc!

Słyszac to zdanie, wydarte z głębi serca siostry pod wpływem gwałtowności burzy, jaką w nie wlała, tak jak topnienie śniegów podnosi kamienie najmocniej osadzone w łożysku

Współczucie

<sup>30</sup>olbrzymia większość mężczyzn, którzy nie mają lat Arnolfa, woła jeszcze raczej nabożną Anusię, niż zadatek przyszłej Celimeny — Arnolf i Anusia to postaci ze *Szkoly żon* Moliera; Celimena to postać z jego *Mizantropa*. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>pleć — tu: cera. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>parweniusz — dorobkiewicz, usiłujący wtopić się w wyższe sfery. [przypis edytorski]

strumienia, hrabina popatrzała tępych wzrokiem na żonę bankiera, błysk grozy osuszył jej łzy, oczy stały się nieruchome.

— Czyżbyś i ty znajdowała się w otchłani, mój aniele? — rzekła po cichu.

— Moje niedole nie ukoją twoich cierpień.

— Opowiedz je, dziecko drogie. Nie jestem jeszcze na tyle egoistką, abym nie miała cię słuchać! Wciąż zatem cierpimy razem, jak za naszej młodości?

— Ale cierpimy rozłączone — odparła melancholijnie żona bankiera. — Żyjemy w dwóch wrogich społeczeństwach. Ja bywam w Tulilleriach<sup>33</sup>, podczas gdy ty już nie. Mężowie nasi należą do przeciwnych obozów. Jestem żoną ambitnego bankiera, złego człowieka, mój drogi skarbie! Ty masz za męża istotę dobrą, szlachetną, zacną...

— Och! bez wyrzutów — rzekła hrabina. — Aby mieć prawo mi je czynić, kobieta musiałaby przejść nudę mdłego i bezbarwnego życia, wyjść zeń, aby wstąpić w raj miłości; musiałaby poznać szczęście, jakiego doznajemy czując całe swoje życie w drugiej istocie, poślubiając nieskończone wzruszenia duszy poety, żyjąc zdwojonym życiem: towarzysząc mu w jego lotach w przestworza, w świat ambicji; cierpiąc jego cierpieniem, siadając na skrzydła jego potężnych upojeń, stąpając po szerokiej scenie, a równocześnie, w oczach śledzącego ją świata, zostając chłodną, spokojną, pogodną. Tak, droga, często trzeba nam zamykać cały ocean w sercu, siedząc, jak my oto, u siebie, przy kominku, na kozetce. Cóż za szczęście wszelako posiadać, w każdej minucie, potężne zainteresowanie, które mnoży fibry<sup>34</sup> serca i wzdyma je, nie być na nic obojętną, czuć własne życie zespolone z przejażdżką, w czasie której ujrzy się w tłumie oko gaszące słońce swym blaskiem, przechodzić męki za łada opóźnieniem, mieć ochotę zabić natręta kradnącego jedną z rzadkich chwil, w których szczęście drga w najdrobniejszych żyłkach! Cóż za upojenie żyć nareszcie! Och, droga, żyć, podczas gdy tyle kobiet modli się na kolanach o wzruszenia, które je mijają! Pomyśl, dziecko, że dla takich poematów jest tylko jeden czas, młodość. Za kilka lat przyjdzie zima, chłód. Ach! gdybyś ty posiadała te żywe bogactwa serca, i gdyby ci groziło, że je stracisz...

Pani du Tillet, przerażona, zasłoniła twarz, słuchając tego strasznego dytyrambu.

— Nie miałam zamiaru czynić ci najłżejszej wymówki, droga moja — rzekła wreszcie, widząc twarz siostry zwilżoną gorącymi łzami. W jednej chwili rzuciłaś w mą duszę więcej płonących żagwi, niż łzy moje zdołały ich ugasić. Tak, życie, które pędzę, usprawiedliwiłoby w moim sercu miłość taką, jaką mi odmawiałaś. Pozwól mi wierzyć, iż, gdybyśmy się widywały częściej, nie zaszyłyśmy tam, gdzie jesteśmy. Gdybyś patrzyła na moje cierpienia, oceniłabyś własne szczęście, ośmieliłabyś mnie może do oporu i byłabym szczęśliwa. Twoje nieszczęście jest przygodne, łada przypadek rozwieje je, podczas gdy moje jest nieustanne. Jestem, dla męża, manekinem do rozwieszenia zbytku, sztydem ambicji, jednym z zadowolonych próżności. Nie ma dla mnie ani prawdziwego uczucia, ani zaufania. Ferdynand jest suchy i gładki jak ten marmur — rzekła, uderzając po obramieniu kominka. — Nie ufaj mi. Wszystko, czego zażądałabym dla siebie, skazane jest z góry na odmowę; ale co się tyczy tego, co mu schlebia i jest świadectwem jego fortuny, nie potrzebuję nawet pragnąć: stroi moje apartamenta, wydaje nieprawdopodobne sumy na przyjęcia. Służba, łożo w teatrze, wszystko co błyszczy na zewnątrz, jest w najlepszym smaku. Próżność jego nie szczędzi niczego; ten człowiek obsypie koronkami pieluszki swych dzieci, ale nie usłyszysz ich krzyku, nie odgadnie potrzeb. Rozumiesz mnie? Jestem pokryta diamentami, kiedy zjawiam się na dworze; w mieście noszę najkosztowniejsze drobiazgi; ale nie rozporządzam ani szelągami. Pani du Tillet, która, być może, budzi tyle zazdrości, która zdaje się pływać w złocie, nie ma na własność ani stu franków. Jeżeli ojciec nie troszczy się o dzieci, jeszcze mniej troszczy się o ich matkę. Och! twardo mi dał uczuć, że mnie zapłacił, i że mój osobisty majątek, którym nie rozporządzam, został mu wydarty. Gdyby chodziło tylko o opanowanie jego samego, może i umiałabym go zdobyć; ale podlegam wpływowi obcemu, wpływowi kobiety przeszło pięćdziesięcioletniej, pełnej pretensji i żądzy panowania, jakiejś wdowy po rejeńce<sup>35</sup>. Czuję to, wolną będę aż z chwilą jego śmierci. Tutaj życie moje jest uregulowane jak życie królowej: dzwoni o oznajmienie śniadanie i obiad jak w twoim zamku. Wyjeżdżam na spacer nieodmiennie o pewnej

Mąż, Bogactwo, Skąpiec

Mąż, Samotność

<sup>33</sup>Tuileries — dzielnica Paryża między Luvrem a Sekwaną, znana z ogrodów. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>fibry (z łac.) — włókna. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>wdowa po rejeńce — patrz: *Wielkość i upadek Cezara Birotteau*. [przypis edytorski]

godzinie, aby się udać do Lasku. Towarzyszy mi zawsze dwóch lokai w pełnej liberii, i zawsze mam być z powrotem o tej samej godzinie. Miałbym dawała rozkazy, podlegam im. Na balu, w teatrze, lokaj przychodzi oznajmić: „Powóz jaśnie pani zajechał”, i muszę odjeżdżać, często w pełni rozbawienia. Ferdynand pogniwałby się, gdybym nie była posłuszną etykiemie, jaką stworzył dla swej żony, a ja... boję się go. Pośród tego przekłętą bogactwa doświadczam żalów, i myślę, że matka nasza była jednak dobrą: zostawiała nam bodaj noce, mogłam rozmawiać z tobą. Ostatecznie, żyłam obok istoty, która kochała mnie i cierpiała ze mną, podczas gdy tu, w tym wspaniałym domu, jestem jak na pustyni.

Słyszając to straszne zwierzenie, hrabina pochwyciła z kolei rękę siostry i ucałowała ją płacząc.

— Jak mogę ci dopomóc? — rzekła Eugenia po cichu do Anieli. — Gdyby nas zaskoczył, powziąłby podejrzenie, chciałby wiedzieć o czym mówiłyśmy od godziny; trzeba by kłamać; rzecz nader trudna z człowiekiem chytrym i przebiegłym: zastawiałby mi pułapki. Ale zostawmy moje nieszczęścia i myślmymy o tobie. Twoje czterdzieści tysięcy franków, droga, byłyby niczym dla Ferdynanda, który, wraz z drugim wielkim bankierem, baronem de Nucingen<sup>36</sup>, obraca milionami. Niekiedy biorę udział w obradach, gdzie mówią rzeczy, od których dreszcz przechodzi. Du Tillet zna moją dyskrecję, toteż mówi bez ceremonii: pewni są mego milczenia. Morderstwa na gładkiej drodze wydają mi się aktami miłosierdzia w porównaniu do pewnych kombinacji finansowych! Nucingen i on tyle dbają o to, że zrujnują kogoś, ile ja dbam o ich przepychy. Często przyjmuję tutaj biedne ofiary: ludzi, których bilans słyszałam dnia poprzedniego, a którzy rzucają się w interes, aby w nich zostawić majątek: bierze mnie ochota, jak owego Leonarda w jaskini zbójców, wołać na nich: „Strzeżcie się!” Ale co by się ze mną stało? Milczę. Ten wspaniały pałac jest prostą jaskinią. A du Tillet, Nucingen, wyrzucają tysiącfrankowe banknoty dla swoich kaprysów. Ferdynand kupił w Tillet ruderę dawnego pałacu, aby go przebudować, chce doń dołączyć las i wspaniałe dobra. Twierdzi, że syn jego będzie hrabią, i że w trzeciej generacji będzie szlachcicem. Nucingen, sprzykrzywszy sobie dom przy ulicy św. Łazarza, buduje pałac. Żona jego liczy się do moich przyjaciółek... Ach! — wykrzyknęła — ona może być nam użyteczna, jest śmiała z mężem, rozporządza swoim mieniem, ona cię ocali.

— Droga pieśzotko, mam już tylko kilka godzin, chodźmy tam dziś wieczór, w tej chwili — rzekła pani de Vandenesse, rzucając się w ramiona pani du Tillet i rozplywając się we łzach.

— Och! czyż ja mogę wyjść z domu o jedenastej wieczór?

— Mam powóz.

— Co wy tu spiskujecie? — rzekł du Tillet, otwierając drzwi.

Ukazał siostrą bezbarwną twarz, rozjaśnioną fałszywie-uprzejmym grymasem. Dywany zgłuszyły jego krok, obie zaś kobiety zanadto były pochłonięte rozmową, aby słyszeć turkot powozu. Hrabina, u której obycie ze światem i swoboda, jaką się cieszyła, rozwinęły spryt i dowcip, dławione jeszcze u siostry despotyzmem małżeńskim, stanowiącym dalszy ciąg macierzyńskiego, spostrzegła na twarzy Eugenii przestrach mogący ją zdradzić, i ocaliła ją szczerą odpowiedzią.

— Uważałam siostrę za bogatszą, niż jest w istocie — odparła hrabina patrząc na szwagra. — Kobiety miewają niekiedy kłopoty, z których nie chcą zwierzać się mężom, jak Józefina z Napoleonem: przysłałam tedy prosić ją o przysługę.

— Może ci ją oddać bardzo łatwo, siostrzyczko. Eugenia jest bardzo bogata — odparł du Tillet ze słodko-kwaśnym uśmiechem.

— Tylko dla ciebie, szwagrze — odparła hrabina uśmiechając się z goryczą.

— O cóż idzie? rzekł du Tillet — który nie był od tego, aby omotać szwagierkę.

— Oj, mądralo, czyż nie powiedziałam, że nie chcemy dopuszczać mężów do sekretu? — odparła przezornie pani de Vandenesse, zdając sobie sprawę, że wydałaby się w ręce człowieka, którego portret, na szczęście, siostra skreśliła jej przed chwilą. — Wstąpię po Eugenię jutro.

<sup>36</sup>baron de Nucingen — patrz: *Cezar Birotteau, Ojciec Goriot, Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

— Jutro... — odparł chłodno bankier — Nie. Żona jest jutro na obiedzie u przyszłego para Francji, barona de Nucingen, który oddaje mi swój mandat w Izbie posłów.

— Czy nie pozwoliś jej przyjąć miejsca w mojej łoży w Operze? — rzekła hrabina, nie patrząc nawet na siostrę, tak lękała się, aby pani du Tillet nie zdradziła tajemnicy.

— Ma swoją — odparł du Tillet, dotknięty.

— Dobrze więc, ja przyjdę...

— Pierwszy raz uczyni nam pani siostra ten zaszczyt — rzekł du Tillet.

Hrabina uczuła wymówkę i zaczęła się śmiać.

— Bądź spokojny, nic pana to nie będzie kosztowało tym razem — rzekła. — Bądź zdrowa, siostrzyczko.

— Impertynentka! — wykrzyknął du Tillet, podnosząc kwiaty, które wypadły z włosów hrabiny. — Powinnabyś — rzekł do żony — studiować panią de Vandenesse. Chciałbym, abyś w świecie umiała być taką impertynentką, jak siostra przed chwilą. Twoje mieszczańskie, cielątkowate wzięcie<sup>37</sup> doprowadza mnie do rozpacz.

Eugenia, za całą odpowiedź, podniosła oczy ku niebu.

— Ejże, moja pani, cóżecie wy tu robiły? — rzekł, po chwili pauzy, bankier, wskazując kwiaty. — Co się takiego dzieje, że siostra przychodzi jutro do łoży?

Biedna helotka<sup>38</sup> wymówiła się sennością i wyszła, aby się położyć, w obawie śledztwa. Wówczas, du Tillet ujął żonę za ramię, przyciągnął ją ku sobie w blasku świec płonących w kryształowych świecznikach, między dwiema rozkosznymi wiązkami kwiatów, i zatopił w niej bystre spojrzenie.

— Siostra przyszła pożyczyć od ciebie czterdzieści tysięcy: potrzebne są na zapłacenie długu człowieka, który ją obchodzi, a który, za trzy dni, znajdzie się pod kluczem w więzieniu za długi — rzekł chłodno.

Biedna kobieta uczuła, iż chwyta ją nerwowe drganie; powściągnęła je siłą.

— Przestraszyłeś mnie — rzekła. — Ale siostra moja zbyt jest dobrze wychowana, zanadto kocha męża, aby interesować się kimś do tego stopnia.

— Przeciwnie — odparł sucho. — Dziewczyny wychowane jak wy obie, w niewoli i praktykach religijnych, mają żądzę wolności, pragną szczęścia, a szczęście, które posiadają, nie jest nigdy tak wielkie ani tak piękne jak to, o którym marzyły. Z takich dziewcząt robią się złe żony.

— Mów tylko o mnie — rzekła biedna Eugenia tonem gorzkiego szyderstwa — ale uszanuj siostrę. Hrabina de Vandenesse jest zbyt szczęśliwa, mąż zostawia jej zbyt wiele swobody, aby nie miała być doń przywiązana. Zresztą, gdyby przypuszczenie twoje było prawdą, nie powiedziałaaby mi tego.

— Jest prawdą — rzekł du Tillet. Zabraniam ci czynić najmniejszego kroku w tej sprawie. Jest w moim interesie, aby ten człowiek dostał się do więzienia. Zapamiętaj to sobie.

Pani du Tillet wyszła.

— Nie usłucha z pewnością; otóż, śledząc je, będę wiedział wszystko, co uczynią — rzekł do siebie du Tillet, zostawszy sam w buduarze. Te biedne gąski chcą walczyć przeciw nam!

Wzruszył ramionami i udał się do żony, lub, aby być ścisłym, do swej niewolnicy.

Zwierzanie, jakie pani de Vandenesse uczyniła siostrze, wiązało się w tylu punktach z jej sześćioletnią historią, iż byłoby niezrozumiałe bez zwięzłego przedstawienia głównych wypadków jej życia.

Między wybitnymi ludźmi, którzy zawdzięczali swój los Restauracji<sup>39</sup>, i których, nie szczęściem dla siebie, Restauracja trzymała, wraz z p. de Martignac, poza sekretną polityką rządu, liczonego Feliksa de Vandenesse, *odstawionego*, jak wielu innych, za ostatnich dni Karola X, do Izby parów. Niełaska ta, mimo że — jak sądził — chwilowa, obudziła w nim myśl o małżeństwie, ku któremu skierował go, jak bywa u wielu mężczyzn, rodzaj odrzuty do przygód miłosnych, owych dzikich kwiatów bujnej młodości. Przychodzi taki podniosły moment, w którym życie społeczne objawia się w całej powadze. Feliks de Vandenesse

<sup>37</sup>wzięcie — tu: sposób zachowania. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>helotka — tu: niewolnica (od nazwy grupy społecznej w Sparcie). [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Restauracja — okres funkcjonowania odnowionej francuskiej monarchii Burbonów (1814–1830). [przypis edytorski]

bywał kolejno szczęśliwy i nieszczęśliwy, częściej to drugie, jak ludzie, którzy, stawiając w świecie pierwsze kroki, spotkali miłość pod najpiękniejszą jej postacią. Tacy wybrańcy losu stają się zbyt wymagający. Następnie, doświadczywszy życia i poznawszy ludzi, dochodzą do tego, iż zadowolają się jakimś *mniejwiec* i szukają ucieczki w bezgranicznej pobłażliwości. Nie można ich oszukać, ponieważ nie ludzą się nigdy: ale wkładają pewien wdzięk w swoją rezygnację; będąc na wszystko przygotowani, mniej cierpią. Mimo to, Feliks mógł jeszcze uchodzić za jednego z najprzystojniejszych i najbardziej interesujących młodych ludzi w Paryżu. W oczach kobiet zalecała go zwłaszcza pamięć jednej z najszlachetniejszych istot naszych czasów<sup>40</sup>, zmarłej, jak powiadają, z bólu i miłości dla niego; ale w szczególności urobiła go piękna lady Dudley. Feliks, pasowany na bohatera romansu, zawdzięczał, w oczach większości Paryżanek, sukcesy swoje tajemniczo-gorszącej opinii. Pani de Manerville zamknęła listę jego przygód. Nie będąc Don Juanem, wyniósł ze świata miłości toż samo rozczarowanie, co ze świata polityki. Zwątpił, aby kiedykolwiek mógł spotkać ten ideał kobiety i miłości, którego wzór, na jego nieszczęście, rozświecił jego młodość i zaciążył na niej. Około trzydziestki hrabia Feliks postanowił, za pomocą małżeństwa, położyć koniec utrapieniom swoich szczęśliwości. Poglądy jego na tym punkcie były bardzo zdecydowane: chciał mieć młodą dziewczynę wychowaną wedle najsurowszych zasad katolicyzmu. Wystarczyło mu dowiedzieć się, w jaki sposób hrabina de Granville wychowuje córki, aby prosić o rękę starszej. I on także, w swoim czasie, jęczał pod despotyzmem matki; dość jeszcze pamiętał własną okrutną młodość, aby, poprzez osłonki niewieściej wstydlivosti, odgadnąć, do jakiego stanu jarzmo to doprowadziło serce młodej dziewczyny: czy to serce jest zgorzkniałe, pełne niechęci i buntu, czy też pozostało spokojne, miłe, rwące się do pięknych uczuć. Tyrania wydaje dwa wręcz przeciwne następstwa, których symbole istnieją w dwóch wielkich postaciach starożytnego niewolnictwa; Epiktet<sup>41</sup> i Spartakus<sup>42</sup>, nienawiść i jej złe uczucia, rezygnacja i jej chrześcijańska tkliwość. Hrabia de Vandenesse poznał samego siebie w Marii-Anieli de Granville. Biorąc za żonę naiwną, niewinną i czystą panienkę, ten młody starzec umyślił z góry zaprawić miłość małżeńską uczuciem jakby ojcowskim. Czuł, iż serce jego wysuszone jest światem, polityką; wiedział, iż, w zamian za młodociane życie, może dać tylko resztki. Obok wiosennych kwiatów miał położyć lody zimowe i przysypane szronem: doświadczenie obok kipiącej, bezpamiętnej nierozwagi. Osądziwszy w ten sposób zdrowo swą pozycję, obwarował się w łożu małżeńskim z bogatymi zapasami. Pobłażanie i ufność, oto dwie kotwice, na których umocował swój statek. Matki powinny szukać podobnych mężów dla córek: rozum jest opiekuńczy jak bóstwo, rozczarowanie przenikliwe jak chirurg, doświadczenie przewidujące jak matka. Te trzy uczucia to teologiczne cnoty małżeństwa. Wyszukania, rozkosze, których znajomość nabył w karierze zdobywcy serc i światowca, doświadczenia wysokiej polityki, obserwacje życia na przemian czynnego, myślącego, literackiego, słowem wszystkie siły obrócił na to, aby uczynić żonę szczęśliwą, i włożył w to wszystkie zasoby bogatego umysłu. Wyszedłszy z czyszcza macierzyńskiego, Maria-Aniela wstąpiła nagle do małżeńskiego raj, jaki jej wniósł Feliks przy ulicy du Rocher, w pałacyku, którego najdrobniejsze szczegóły miały zapach arystokratyczny, ale w którym polor dobrego towarzystwa nie krępował harmonijnej swobody, jakiej spragnione są kochające i młode serca. Maria-Aniela kosztowała zrazu słodczy życia materialnego w całej pełni: mąż uczynił się na dwa lata jej intendentem<sup>43</sup>. Z wolna i z wielkim artyzmem Feliks objaśnił żonie sprawy życia, wtajemniczył ją stopniowo w sekrety świetnego towarzystwa, nauczył ją genealogii wszystkich arystokratycznych domów, wytłumaczył świat, stał się jej przewodnikiem w sztuce stroju i rozmowy, oprowadził ją po teatrach, wyłożył kurs literatury i historii. Dopełnił tego wychowania z troskliwością kochanka, ojca, nauczyciela i męża; ale dawkał przyjemności i nauki z dobrze zrozumianą wstrzeźliwością, nie burząc pojęć religijnych. Słowem, wywiązał się ze swego przedsięwzięcia po mistrzowsku. Po upływie czterech lat miał to szczęście, iż stworzył z hrabiny de Vandenesse jedną

<sup>40</sup>pamięć jednej z najszlachetniejszych istot naszych czasów — mowa o pani de Mortsauf, bohaterce *Lilii w dolinie*. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Epiktet z Hierapolis (ok. 50–ok. 130) — filozof rzymski, przedstawiciel stoicyzmu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Spartakus (zm. 71 p.n.e.) — niewolnik rzymski, gladiator, przywódca krwawo stłumionego powstania niewolników. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>intendent — pracownik zaopatrzenia. [przypis edytorski]

z najmiłszych i najwybitniejszych kobiet współczesnych. Maria-Aniela miała dla Feliksa właśnie to uczucie, jakie on pragnął w niej budzić: prawdziwą przyjaźń, żywą wdzięczność, miłość braterską, zdolną, w danej chwili, przybrać odcień szlachetnej i godnej tkliwości, słowem taką, jak powinna być między mężem a żoną. Była matką i dobrą matką. Feliks przywiązał tedy żonę wszystkimi możliwymi więzami bez pozorów skrępowania, licząc iż powab przyzwyczajenia zapewni mu szczęście bez chmurki. Jedynie człowiek wypróbowany w sekretach życia i który przebiegł krąg rozczarowań politycznych i miłosnych, zdolny jest posiadać tę wiedzę i użyć jej tak umiejętnie. Zresztą Feliks znajdował w dziele swoim rozkosze, jakie znajdują w swoich kreacjach malarze, poeci, twórcy pomników; cieszył się podwójnie, pracując nad dziełem i widząc jego sukces, podziwiając w swojej żonie istotę światłą a naiwną, dowcipną a naturalną, rozkoszną a czystą, młodą dziewczynę i matkę, zupełnie wolną a skutą w kajdany. Historia dobrych małżeństw jest jak historia szczęśliwych ludów, zamyka się w dwóch wierszach i nie ma nic literackiego. Toteż — jako że szczęście tłumaczy się jedynie samym sobą — te cztery lata nie przedstawiają nic, co by nie było czule jak gołąbkowa barwa doskonałych miłości, mdłe jak manna, i zabawne jak romans *Astrea*<sup>44</sup>.

W r. 1833 budowla szczęścia wzniesiona przez Feliksa bliska była zawalenia się, podminowana u samych podstaw, bez najmniejszej jego świadomości w tej mierze. Serce młodej kobiety w latach dwudziestu pięciu nie jest już sercem osiemnastoletniej dziewczyny, tak samo jak serce kobiety lat czterdziestu nie jest sercem kobiety trzydziestoletniej. Istnieją cztery wieki w życiu kobiet, a każdy z nich stwarza niejako nową kobietę. Vandenesse znał bez wątpienia prawa tych przeobrażeń, zrodzonych z naszych nowoczesnych obyczajów; ale zapomniał o nich w odniesieniu do siebie, tak jak najtęższy gramatyk, pisząc książkę, może zapomnieć reguły; jak, na polu bitwy, w pełnym ogniu, zaskoczony niespodziankami terenu, największy generał może zapomnieć kardynalnej reguły sztuki wojowania. Ten, kto potrafi nieustannie wtłaczać myśl w uczynki, jest człowiekiem genialnym; ale i najbardziej obdarzony geniuszem człowiek nie roztacza go w każdej chwili; nadto byłby podobny do bóstwa. Po czterech latach tego życia bez jednego wewnętrznego starcia, bez słowa, które by wywołało rozdźwięk w słodkim koncercie duszy, czując się zupełnie rozwiniętą niby piękna roślina w sprzyjającym gruncie, pod pieszczotą pogodnego słońca jaśniejącego pośród eteru o nieziennej barwie lazuru, hrabina doświadczyła jakby jakiegoś przełomu. Ta *krysis* jej życia, przedmiot niniejszego opowiadania, byłaby niezrozumiała bez objaśnień: zlągodzą one może w oczach kobiet winę młodej hrabiny, równie szczęśliwej żony jak matki, i która, na pierwszy rzut oka, zdawałaby się nie do usprawiedliwienia.

Życie wypływa z gry dwóch sprzecznych pierwiastków: kiedy jednego z nich zbywa<sup>45</sup>, żyjąca istota cierpi. Vandenesse, zadowolając wszystko, wyłączył z życia *pragnienie*, tego króla stworzenia, który zużywa olbrzymią sumę sił moralnych. Ostateczny żar, ostateczne nieszczęście, zupełne szczęście, wszystkie czynniki *absolutne* królują w przestworach wyzutych z wszelakich produktów: chcą być same, dławią wszystko, co nie jest nimi. Vandenesse nie był kobietą, a tylko kobiety znają sztukę urozmaicenia szczęścia: stąd pochodzi ich zalotność, wzdragania, obawy, sprzeczki, i te mądre, wyrafinowane dzieciństwa, za pomocą których kwestionują nazajutrz to, co poprzedniego dnia nie przedstawiało żadnych trudności. Mężczyzna może znużyć swą stałością, kobieta nigdy. Vandenesse był naturą zbyt głęboko dobrą, aby z wyrachowania dręczyć ukochaną kobietę; rzucił ją w najbardziej błękitne, wolne od chmurki bezkresy miłości. Problem wiekuiestej szczęśliwości jest z rzędu tych, których rozwiązanie znane jest jedynie Bogu, w drugim życiu. Na tym padole, wzniosli poeci wiekuiście znudzili czytelników, skoro się wzięli do malowania raj. Vandenesse rozbił się o tę samą rafę, co Dante: cześć nieszczęśliwemu bohaterstwu! Żona jego zaczęła w końcu znajdować pewną monotonię w tak dobrze urządzonej Edenie. Doskonałe szczęście pierwszej kobiety w raj. ziemskim przyprawiło ją o mdłości, jakie sprawia zbyt długie sycenie się słodyczami, i obudziło w hrabinie pragnienie, jak u Rivarola podczas lektury Floriana, aby spotkać jakiegoś wilczka wśród tej pasterskiej idylli. Oto, jak się zdaje, wiekuieste znaczenie symbolicznego węża, do któ-

<sup>44</sup>*Astrea* — romans sielankowy Honoriusza d'Urfé z 1. poł. XVII w. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*zbywać* (daw.) — brakować. [przypis edytorski]

rego Ewa zwróciła się prawdopodobnie z nudów. Morał ten wyda się może nieco śmiały w oczach protestantów, którzy biorą *Genezę* bardziej na serio niż sami Żydzi. Ale położenie pani de Vandenesse da się wytłumaczyć bez figur biblijnych: czuła w duszy olbrzymią niez użytą siłę, szczęście nie sprawiało jej cierpienia, spełniało się bez trosk i niepoko- jów, nie drżała o jego utratę, objawiało się co rano w tym samym niebieskim kolorze, z tym samym uśmiechem, z tym samym miłym słowem. Żaden powiew, nawet zefiru, nie marszczył tego czystego jeziora: pragnęłaby nieco sfalować tę taflę. Pragnienie jej zawiera- ło coś jakby dziecinnego, co powinno by ją usprawiedliwić; ale społeczeństwo nie bardziej jest pobłażliwe, niż nim był Pan Bóg z *Genezy*. Przy swej inteligencji, hrabina rozumiała doskonale, jak bardzo to uczucie musi być obrażające, i nie ważyłaby się zwierzyć z nim *drogiemu mężusiowi*. W prostocie swojej nie wynalazła innego słowa miłości, nie kuje się bowiem na zimno tego rozkosznego słownika napęczniałego przesadą, jakiego, w ża- rze płomieni, miłość uczy swe ofiary. Vandenesse, szczęśliwy z tej cudownej harmonii, utrzymywał, z uczonym wyrachowaniem, żonę w umiarkowanych strefach małżeńskiej czułości. Ten wzorowy mąż uważał zresztą za niegodne szlachetnej duszy uciekać się do szarlatańskich środków, które by go powiększyły w oczach żony i odświeżyły jej uczucia; chciał być kochanym dla samego siebie, nic nie chciał zawdzięczać błyskotkom fortuny. Hrabina Maria uśmiechała się, widząc w Lasku nie dość lśniący lub źle zaprzężony ekwi- paż<sup>46</sup>; oczy jej zwracały się wówczas z upodobaniem na własny pojazd, którego konie, prowadzone na sposób angielski, swobodne mimo uprzęży, trzymały się we właściwym oddaleniu. Feliks nie zniżał się do zbierania nagród za trudy jakie sobie zadawał; żona uważała jego zbytek i dobry smak za rzecz naturalną; nie czuła dlań wdzięczności za to, iż nie cierpiała żadnego draśnięcia miłości własnej. Tak było we wszystkim. Dobroć ma swoje niebezpieczeństwa: przypisujemy ją charakterowi, rzadko chcemy w niej uznać ta- jemne wysiłki szlachetnej duszy: podczas gdy ludzi złych nagradza się za złe, którego nie robią. W tej epoce pani de Vandenesse osiągnęła stopień wyrobienia światowego, który jej pozwolił porzucić dość nikłą rolę nieśmiałego, obserwującego, słuchającego kompar- sa<sup>47</sup>, jaką — powiadają — grała przez jakiś czas Julia Grisi<sup>48</sup> w chórach teatru *Scala*. Młoda hrabina czuła się na siłach, aby sięgnąć po partię primadonny, i odważyła się na nią raz i drugi. Ku wielkiemu zadowoleniu Feliksa zaczęła brać czynny udział w rozmowach. Błyskotliwe repliki i subtelne spostrzeżenia zasiane w jej umyśle przez obcowanie z mężem, zwróciły na nią uwagę, powodzenie zaś ośmieliło ją. Vandenesse, którego żonie przyznano już urodę, zachwycony był, iż zdobyła i palmę dowcipu. Za powrotem z ba- lu, koncertu, rautu, na którym Maria błyszczała, w domu, zrzucając strój wieczorowy, przybierała radosną i pewną siebie minę, aby powiedzieć Feliksowi: „Byłeś ze mnie za- dowolony dziś wieczór?”. Hrabina rozbudziła nieco zawiści, między innymi w siostrze męża, margrabinie, de Listomère, która, aż dotąd, patronowała jej, sądząc iż popiera cięń służący do uwydatnienia jej własnych zalet. Hrabina, nosząca to nazwisko co Maria, ład- na, dowcipna i cnotliwa, muzykalna i nieco zalotna, cóż za wspaniały żer dla świata! Feliks de Vandenesse liczył w towarzystwie kilka kobiet, z którymi zerwał lub które z nim ze- rwały, ale którym małżeństwo jego nie było obojętne. Kiedy te kobiety ujrzały w pani de Vandenesse niepozorną kobietkę z czerwonymi rękami, dość zakłopotaną swą osobą, mówiącą mało, nie wyglądającą na to, aby myślała zbyt wiele, uważały się za dostatecz- nie pomszczone. Przyszła katastrofa lipcowa r. 1830, *towarzystwo* rozproszyło się na dwa lata, ludzie bogaci przeczekiwali krytyczny czas w swoich majątkach lub podróżowali po Europie; salony otworzyły się aż w 1833. Dzielnica Saint-Germain dąsała się, ale uważała kilka domów, między innymi salon ambasadora austriackiego, za teren neutralny: sfery legitymistyczne i nowe społeczeństwo spotykały się tam, reprezentowane przez swych najświetniejszych przedstawicieli. Przywiązany tysiącem więzów serca i wdzięczności do wygnanej rodziny, ale silny swymi przekonaniami, Vandenesse nie czuł się w obowiązku naśladowania niedorzecznej przesady swojej partii. W dniach niebezpieczeństwa spełnił swój obowiązek z narażeniem życia, przedostając się przez morze tłumów, aby ofiarować rokowania: wprowadził tedy żonę w świat, pewien iż nikt nie odważy się podawać w wą- pliwość jego wierności. Dawne przyjaciółki Feliksa z trudnością poznały świeżo upieczoną

<sup>46</sup>ekwipaż (daw.) — rodzaj lekkiego, eleganckiego powozu konnego. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>kompars (daw.) — aktor występujący w roli drugoplanowej. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Grisi, Julia (1811–1869) — włoska śpiewaczka operowa. [przypis edytorski]



mężatkę w wytwornej, dowcipnej, lubej hrabinie, która roztoczyła w świecie najwykwintniejsze wzięcie arystokratycznej damy. Panie d'Espard, de Manerville, lady Dudley, kilka innych mniej znanych, uczyły wężę budzące się w ich sercu; usłyszały cichy świst podrażnionej ambicji, uczyły się zazdrosne o szczęście Feliksa; dałyby wiele, aby mu się zdarzyła jaka zła przygoda. Zamiast odnosić się wrogo do hrabiny, zacne niegodziwe duszyczki otoczyły ją, okazywały jej nadmierną przyjaźń, wychwalały ją przed mężczyznami. Dostatecznie zdając sobie sprawę z tych intencji, Feliks miał oko na stosunki Marii, zalecając jej ostrożność. Panie te odgadły niepokój, jakie ich towarzystwo sprawia hrabiemu, i nie przebaczyły mu tej nieufności. Podwoiły uprzejmość i względy dla rywalki, której zgotowały niezmierny sukces, ku wielkiemu niezadowoleniu margrabiny de Listomère, nie rozumiejącej tego manewru. Ogłoszono hrabinę Feliksową de Vandenesse za najbardziej uroczą, najdowcipniejszą kobietę w Paryżu. Druga bratowa Marii, margrabina Karolowa de Vandenesse, odczuwała na kształt tysięcznych ukłuc szpilką omyłki, jakie powodowała niekiedy tożsamość nazwiska, i porównania, jakie sprowadzała. Mimo że margrabina była również bardzo piękna i obdarzona, rywalki przeciwstawiły jej bratową tym skuteczniej, iż była o dwanaście lat młodsza. Panie te wiedziały, ile kwasu musi wprowadzić powodzenie hrabiny w stosunki jej z obiema szwagierkami, które też stały się chłodne i niezyczliwe dla tryumfującej Marii-Anieli.

Były to niebezpieczne krewniaczki, poufne nieprzyjaciółki. Każdemu wiadomo, że literatura broniła się wówczas przeciw powszechnej obojętności spowodowanej żywym dramatem politycznym, wydając dzieła mniej lub więcej bajroniczne, w których była mowa jedynie o zdradach małżeńskich. Piosenki, powieści i sztuki teatralne pełne były tej materii. Wieczny ten temat był w modzie bardziej niż kiedykolwiek. Kochanek, ów straszak mężów, był wszędzie, z wyjątkiem może w ich domu, gdzie, w owej mieszczańskiej epoce, mniej niż kiedykolwiek święcił tryumfów. Czyż wówczas będą grasować złodzieje, kiedy wszystko co żyje pędzi do okien, krzyczy: „Policja!” i oświetla ulice? Jeżeli podczas tych lat obfitych w społeczne, polityczne i moralne zamieszki zdarzyły się jakieś katastrofy małżeńskie, stanowiły one wyjątki, mniej na ogół zwracające uwagę niż za Restauracji. Bądź co bądź, kobiety wiele rozmawiały między sobą o tym, co wypełniało wówczas dwie formy poezji: książkę i teatr. Często była mowa o kochanku, tej rzadkiej, a tak upragnionej istocie. Głośne przygody dostarczały tematu do dyskusji, a dyskusjom tym, jak zawsze, oddawały się głównie kobiety nieskazitelne. Faktem godnym uwagi jest niechęć, jaką do tego rodzaju rozmów, objawiają kobiety cieszące się niedozwolonym szczęściem: te zachowują się w świecie surowo, wstrzemięźliwie, prawie że nieśmiało; wyglądają, jak gdyby prosiły każdego o dyskrecję lub cały świat o przebaczenie za swoje słodkie chwile. Kiedy, przeciwnie, kobieta z lubością słucha rozmów o tych katastrofach, kiedy pozwala sobie tłumaczyć rozkosze będące usprawiedliwieniem występku, bądźcie pewni, iż znajduje się na rozdrożu i nie wie, jaką decyzję obrać. Podczas tej zimy hrabina de Vandenesse zapoznała się z huczącym koło jej uszu wielkim głosem świata, wicher burz gwizdał dokoła niej. Rzekome przyjaciółki, które wyrastały ponad swą reputację całą wysokością nazwisk i pozycji, kreśliły jej niejednokrotnie powabną postać kochanka i rzucały w duszę Marii-Anieli gorące apologie miłości, tego słowa zagadki, jaką życie podsuwa kobietom, tej namiętności przemożnej, wedle pani de Staël<sup>49</sup>, która poparła teorię przykładem. Kiedy hrabina pytała naiwnie, w ścisłym kółku, jaka jest różnica między mężem a kochankiem, każda z kobiet życzących nieszczęścia Feliksowi siła się odpowiedzieć w sposób zdolny podrażnić ciekawość, rozpalic wyobraźnię, zainteresować duszę i serce.

— Z mężem wegetuje się, moja droga, żyje się jedynie z kochankiem — szeptała jej bratowa, margrabina de Vandenesse.

— Małżeństwo, moje dziecko, to nasz czyściec, miłość to raj — mówiła lady Dudley.

— Nie wierz jej — wykrzyknęła panna des Touches — to piekło!

— Ale piekło, w którym się kocha — dorzuciła margrabina de Rochefide. — Często więcej jest rozkoszy w cierpieniu, niż w szczęściu: przykładem męczennicy!

— Z mężem, mała gąsko, żyjemy, można powiedzieć, własnym życiem; ale kochać, znaczy żyć życiem drugiej istoty — mówiła margrabina d'Espard.

<sup>49</sup>pani de Staël — właśc. Anne-Louise Germaine Necker (1766–1817), francuska publicystka i powieściopisarka, propagatorka pojęcia Romantyzmu, przeciwniczka polityczna Napoleona, wydalona przez niego z kraju. [przypis edytorski]

— Kochanek to owoc zakazany: słowo, które, dla mnie, streszcza wszystko — mówiła, śmiejąc się, śliczna Moïna de Saint-Héren.

O ile hrabina nie szła na raut dyplomatyczny lub na bal do jakichś bogatych cudzoziemców, jak lady Dudley albo księżna Galathionne, bywała prawie co wieczora w tym kółku, po *Włochach* lub *Operze*, czy to u margrabiny d'Espard<sup>50</sup>, czy u pani de Listomere, panny des Touches, hrabiny de Montcornet lub wicehrabiny de Grandlieu, jedynych arystokratycznych domach, które wówczas przyjmowały. Nigdy nie zdarzyło się jej opuścić salonu, aby nie posiano zatrutych ziarenek w jej serce. Mówiono jej o dopełnieniu życia — słówko podówczas bardzo w modzie; — o szczęściu, jakie jest w tym, aby być *zrozumiana*: również słówko, któremu kobiety dają osobliwe znaczenia. Wraciała do domu niespokojna, wzruszona, ciekawa, zamyślona. Znajdowała jak gdyby lukę w swoim życiu, ale nie zdawało się jej ono jeszcze pustką.

Z salonów, w których bywała pani Feliksowa de Vandenesse, towarzystwo najweselsze, ale najbardziej mieszane, gromadziło się u hrabiny de Montcornet, przemilej kobietki, która przyjmowała głośnych artystów, świeczniki finansów, wybitnych pisarzy, ale przesianych przez tak surowe sito, iż ludzie najbardziej wymagający nie potrzebowali się obawiać spotkania jakiejś podrzędnej figury. Największe pretensje mogły się czuć zupełnie bezpieczne. Podczas zimy, kiedy towarzystwo zaczęło się skupiać, niektóre salony, w ich liczbie salon pań d'Espard i de Listomere, panny des Touches i księżnej de Grandlieu, wyłowiły nieco narybku między nowymi sławami sztuki, nauki, literatury i polityki. Towarzystwo nie zrzeka się nigdy swoich praw, zawsze chce, aby je bawiono. Na koncercie, jaki hrabina wydała pod koniec zimy, zjawił się u niej Raul Natan<sup>51</sup>, współczesna znakomitość literatury i polityki. Wprowadził go jeden z najbardziej utalentowanych, ale zarazem najbardziej leniwych pisarzy, Emil Blondet<sup>52</sup>, również sława, ale w zamkniętym kółku; wychwalany przez dziennikarzy, ale nieznanego poza rogatekami. Blondet wiedział o tym; zresztą nie czynił sobie żadnych złudzeń: pośród innych wzgardliwych aforyzmów mawiał, iż sława jest to trucizna, którą należy zażywać w małych dawkach.

Z chwilą kiedy, po długiej walce, Raul Natan wybił się na wierzch, skorzystał z nagłego zaciętrzewienia na punkcie form zewnętrznych, jakie głosili wykwinni sekciarze „Średniowiecza”, tak pocieszenie nazwani *młodą Francją*. Przystroił się w kostium genialnego dziwactwa, zaciągając się w szeregi tych fanatyków sztuki, których intencje były zresztą nader chwalebne; nie masz bowiem nic śmieszniejszego, niż strój Francuzów w XIX w., było tedy aktem wagi odwagi starać się go odrodzić. Raul, oddajmy mu tę sprawiedliwość, przedstawia, jako zjawisko, coś wielkiego, fantastycznego i niezwykłego, coś co wymaga rami. Przyjaciele i nieprzyjaciele — a jedni warcili drugich — przyznają, że forma jego harmonizuje najzupełniej z duchem. Raul Natan byłby może bardziej rażący w naturalnej postaci niż w swoich przebraniach. Zmięta, poorana fizjognomia stwarza mu wygląd człowieka, który się bije z aniołami albo demonami; podobna jest do oblicza, jakie niemieccy malarze dają umarłemu Chrystusowi: ujawniają się w niej tysiączne oznaki wiekistej walki między słabą naturą ludzką a wyższą potęgą. Ale głębokie fałdy twarzy, guzy nieregularnej i pooranej bruzdami czaszki, rozpadliny, którymi znaczą się oczy i skronie, nie zdradzają bynajmniej cech słabości. Jego twarde ścięgna, rysujące się kości, posiadają niezwykłą tęgłość; mimo iż skóra, wytrawiona ekscesami, obciska je tak, jakby ją wysuszył żar wewnętrznych ogniów, szkielet, który pokrywa, jest, bądź co bądź, potężny. Jest chudy i wysoki. Włosy długie i zawsze w nieładzie wyglądają jakby obliczone na efekt. Ten Byron<sup>53</sup> źle uczesany, źle zbudowany, ma nogi czaple, grubo związane kolana, przygarbiony kark, ręce powęzłone mięskami, silne jak odnóża kraba, o chudych i nerwowych palcach. Raul ma oczy napoleońskie, niebieskie oczy, których spojrzenie przeszywa duszę na wylot; nos nieregularny, ale pełen wyrazu; śliczne usta, ozdobione zębami, których białości pozazdrościłaby każda kobieta. Jest w tej głowie ogień i życie; to czoło błyszczący geniuszem. Raul należy do niewielkiej ilości ludzi, którzy zwr-

<sup>50</sup>*margrabina d'Espard* — patrz: *Stracone złudzenia, Blaski i nędze życia kurtyzany, Ostatnie wcielnie Vautrina*. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Raul Natan* — patrz: *Stracone złudzenia, Muza z zaścianka*. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Emil Blondet* — patrz: *Stracone złudzenia, Muza z zaścianka*. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Byron, George Gordon* (1788–1824) — angielski poeta romantyczny. [przypis edytorski]

cają uwagę od pierwszej chwili: w salonie tworzą od razu świetlny punkt, dokąd biegną wszystkie spojrzenia. Zwraca również na siebie uwagę swoim zaniedbaniem; ubranie jego czyni wrażenie, jakby je ktoś umyślnie zmiął, poskręcał i wygniółł, iżby harmonizowało z fizjognomią. Trzyma zazwyczaj rękę zatknietą za kamizelkę, w pozie, którą uwiecznił Girodet w portrecie Chateaubrianda<sup>54</sup>; ale przybiera tę pozę nie tyle aby być doń podobnym — nie chce być podobnym do nikogo — ile aby pomiąć regularne zakładki koszuli. Krawat przekręca się w jednej chwili pod wpływem konwulsyjnych poruszeń głowy, gwałtownych i żywych niby u rasowego konia, który niecierpliwi się w uprzęży i podnosi głowę aby się uwolnić od munsztuka i wędzidla. Długa i kończysta broda nie jest uczesana, upachniona, wyszczotkowana, wymuskana jak broda owych elegantów, którzy noszą ją w kształcie wachlarza lub ściętą w szpic; daje jej rosnać, jak sama zapragnie. Włosy, wciskające się między kołnierz ubrania a krawat, spływają na ramiona, zostawiając tłuste ślady. Ręce, suche i żyłaste, nie znają szczoteczki do paznokci ani cytryny; wielu felietonistów twierdzi, iż woda nie odświeża zbyt często ich pergaminowej skóry. Słowem, demoniczny Raul ma wejrzenie dość dzikie. Ruchy są nieregularne, jak gdyby działały się za sprawą niedoskonałego mechanizmu. Chód urąga wszelkim pojęciom ładu swoimi entuzjastycznymi zygzakami, niespodzianymi pauzami, które tamują krążenie spokojnych obywateli, zażywających przechadzki po bulwarach Paryża. Rozmowa Natana, pełna gryzącego dowcipu, ostrych ucinków, podobna jest do jego gestów: porzuca nagle ton krwawy i staje się, bez szczególnego powodu, łagodna, poetyczna, życzliwa; przerywają ją niewytłumaczone napady milczenia, wysoki humor, które często nużą. Wnosi w towarzystwo zuchwałą niezręczność, lekceważenie form, ducha krytyki wobec wszystkiego co w nim zażywa szacunku. Natan stanowi przedmiot zgorszenia ludzi mierznych, jak również osób silących się zachować tradycje dawnej dworności; ale, razem, jest to coś oryginalnego, na kształt owych produktów chińskiej sztuki, coś co dosyć przypada do smaku kobietom. Wobec nich zresztą, Raul staje się niekiedy wyszukanie nadszatkującym; zdawałoby się, iż chce dać zapomnieć dziwactwo swoich form i odnieść nad antypatiami zwycięstwo, pochlebiające jego miłości własnej, próżności lub dumie.

— Dlaczego pan jest taki? — spytała go raz margrabina de Vandenesse.

— Czyż perły nie kryją się w skorupie? — odparł pompatycznie.

Komuś innemu, kto zadał to samo pytanie, odparł:

— Gdybym był miłym dla całego świata, w jaki sposób mógłbym być miłym dla osoby wybranej wśród wszystkich?

Raul Natan wnosi w swoje życie intelektualne nieporządek, który jak gdyby wziął za godło. Pozory u niego nie kłamią. Talent jego przypomina owe biedne dziewczęta, które zgłaszają się do mieszczańskich domów *do wszystkiego*. Był zrazu krytykiem, i wielkim krytykiem; ale to rzemiosło wydało mu się szalbierstwem. Artykuły jego warte były tyle, co książki, powiadał. Skusiły go zyski teatru; ale, niezdolny do powolnej i wytrwałej pracy, jakiej wymaga dawkowanie scenicznych efektów, zmuszony był stowarzyszyć się z pewnym wodewilistą, nazwiskiem du Bruel<sup>55</sup>, który wprowadzał w życie jego pomysły i stale obracał je w sztuczki „robiące kasę”, pełne konceptu, zawsze skrojone na miarę jakiegoś aktora lub aktorki. Oni dwaj wynaleźli Florynę<sup>56</sup>, aktorkę nad wyraz „kasową”. Upokorzony tą spółką, przypominającą braci syjamskich, Natan wystawił sam, w Komedii Francuskiej<sup>57</sup>, wielki dramat, który upadł z wszelkimi honorami wojennymi, pod salwą piorunujących artykułów. W młodości pokusił się wspiąć na deski wielkiego szlachetnego francuskiego teatru wspaniałą sztuką romantyczną w rodzaju *Pinto*. Było to w epoce wszechwładnego panowania klasycyzmu: Odeon stał się przez trzy wieczory widownią takich burz, że sztuki zabroniono. W oczach wielu ludzi, ta druga sztuka uchodziła, jak i pierwsza, za arcydzieło, i zyskała mu więcej reputacji niż wszystkie kasowe sztuki napisane do spółki; ale była to opinia świata zażywającego mało posłuchu, świata znawców i prawdziwych ludzi smaku.

— Jeszcze jeden podobny upadek — rzekł mu Emil Blondet — a staniesz się nieśmiertelnym.

<sup>54</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>du Bruel — patrz: *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Floryna — patrz: *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Komedia Francuska — Comédie-Française, francuski teatr narodowy. [przypis edytorski]

Ale, miast kroczyć tą trudną drogą, Natan, z konieczności, wrócił do pudru i muszek osiemnastowiecznego wodewilu, do sztuki z kostiumami i przeróbek scenicznych. Mimo to uchodził za wielki umysł, który nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa. Rzucił się też zresztą i w „wysoką” literaturę: wydał trzy powieści, nie licząc tych, które hodował „pod prasą”, niby rybki w słoju. Jedna z tych trzech książek, pierwsza — jak u wielu pisarzy, którzy umieli stworzyć jedynie pierwsze dzieło — zyskała świetne powodzenie. Utwór ten, nierozważnie wysunięty wówczas na pierwszy plan, prawdziwe dzieło artysty, Natan rad był, przy każdej sposobności, nazywać najpiękniejszą książką epoki, jedynym romansem współczesnym. Mimo to skarżył się bardzo na wymagania sztuki; był jednym z tych, którzy najbardziej przyczynili się do skupienia wszystkich dzieł, obrazu, posągu, książki, budowli, pod jednym sztandarem Sztuki. Zaczął od tomu poezji, który zyskał mu miejsce w plejadzie współczesnych piewców; w tomiku tym znajdował się mglisty poemacik, cieszący się dość znaczną popularnością. Zmuszony brakiem majątku do płodności, przeczulał się od teatru do prasy i od prasy do teatru, rozprasając się, rozdrabniając i wciąż wierząc w swą wenę. Rozgłos jego nie był tedy rzeczą prywatną, jak u wielu agonizujących „sław”, podtrzymywanych tytułami utworów będących „w przygotowaniu”. Natan miał wszystkie cechy genialnego człowieka; gdyby wstąpił na rusztowanie, jak miewał na to chętkę, mógłby uderzyć się w czoło, na wzór Andrzeja Chénier<sup>58</sup>. Owładnięty ambicją polityczną, widząc tuzin autorów, profesorów, metafizyków i historyków, którzy zdolali się docisnąć do władzy podczas przewrotów między 1830 a 1833, żałował iż nie pisze artykułów politycznych miast uprawiać literaturę. Uważał się za wyższego od tych parweniuszów, których powodzenie obudziło w nim palącą zazdrość. Należał do tych umysłów zazdrosnych o wszystko, zdolnych do wszystkiego, którzy każde cudze powodzenie uważają za osobistą krzywdę i obijają się o tysiąc punktów świetlnych, nie mogąc się ustalić przy żadnym. W tej chwili, przechodził od saint-simonizmu do republikanizmu, aby zawrócić może do ministerializmu. Węszył we wszystkich kątach za kością do ogryzienia, i szukał bezpiecznego miejsca, z którego, zasłonięty od razów, mógłby szczekać i stać się groźnym; ale, ku swemu wstydnemu, nie zdołał osiągnąć tego, aby wszechwładny de Marsay<sup>59</sup> raczył go brać na serio. De Marsay, który stał wówczas na czele rządu, bardzo lekko szacował autorów, nie znajdując w nich tego, co Richelieu nazywał zmysłem ciągłości, lub, lepiej jeszcze, ciągłością myśli. Zresztą wszelkie ministerium liczyłoby na ustawiczny nieład w interesach Raula. Wcześniej czy później potrzeba musiała go doprowadzić do sytuacji, w której przyjmuje się a nie dyktuje warunki. Prawdziwy, a starannie ukrywany charakter Raula, zgodny jest z jego charakterem publicznym. Jest to komediant w dobrej wierze, egotyczny tak jak gdyby Państwo to był *on*, i bardzo zręczny deklamator. Nikt nie umie lepiej grać podniosłych uczuć, ubierać się w koturny, stroić w piękności moralne, licytować samego siebie w słowach i pozować na Alcesta, postępując jak Filint<sup>60</sup>. Egoizm jego drepce osłonięty zbroją z malowanego kartonu i często dosięga ukrytego celu, jaki sobie zamierzył. Człowiek ten, leniwy do ostatecznych granic, nigdy nie zrobił nic inaczej, jak tylko party ostrogą konieczności. Ciągłość pracy obróconej ku stworzeniu budowli jest mu czymś nieznanym; ale, w paroksyzmie wściekłości, w jaki wprawi go draśnięta próżność lub pościg wierzyiciela, przeskakuje Eurotas i tryumfalnie przebywa najcięższe przełęczę ducha. Następnie, wyczerpany, zdziwiony, iż coś stworzył, popada z powrotem w marazm uciech Paryża. Znowu zjawia się nieubłagana konieczność: zastaje go bezsilnym; wówczas Natan abdykuje i zniża się do kompromisów. Wiedziony fałszywym pojęciem swej gwiazdy oraz przyszłości, której miarę bierze z kariery jednego z dawnych kolegów, jednego z rzadkich talentów ministerialnych, wysuniętego na czoło przez rewolucję lipcową, Natan, gdy chodzi o wydobyć się z doraźnego kłopotu, pozwala sobie, w stosunku do tych, którzy mu są oddani, na bezwzględności sumienia, zagrzebane w tajnikach życia prywatnego, o których nikt nie mówi i nie skarży się na nie. Elastyczność jego serca, bezwstyd uścisku dłoni, którym jednako szafuje wobec każdej

<sup>58</sup>Chénier, André de (1762–1794) — poeta francuski, skazany przez sąd rewolucyjny na śmierć na gilotynie. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>de Marsay — jedna z ukochanych przez Balzaka figur *Komedii ludzkiej*, świetny dandys i lew salonowy, dostał się po 1830 do steru władzy. [przypis tłumacza]

<sup>60</sup>pozować na Alcesta, postępując jak Filint — Alcest i Filint to postacie z *Mizantropa* Moliera. [przypis edytorski]

przywary, każdego nieszczęścia, każdej zdrady, każdego przekonania, uczyniły go nie-tykalnym jak konstytucyjnego króla. Grzeszek powszedni, który rozpętałby straszliwy gwałt na człowieka wielkiego charakteru, u niego jest niczym; postępek wątpliwy pod względem etycznym zaledwie że coś waży, każdy usprawiedliwia go, usprawiedliwiają w ten sposób samego siebie. Człowiek, który byłby skłonny nim gardzić, podaje mu rękę, lękając się, iż może go potrzebować. Ma tylu przyjaciół, ilu pragnie nieprzyjaciół. Ta pozorną dobroduszość, która wprowadza w błąd naiwnych i nie wyklucza żadnej zdrady, która pozwala sobie i usprawiedliwia wszystko, która podnosi głośny krzyk, otrzymawszy cios, ale wnet go przebacza, jest jedną z charakterystycznych cech dziennikarza. Ta *kamaraderia*, słowo ukute przez człowieka znającego życie, kazi najpiękniejsze dusze: ściera z nich dumę, zabija źródło wielkich czynów i uświęca nikczemność ducha. Wymagając tej mdłości sumienia u całego świata, pewni ludzie zabezpieczają sobie rozgrzeszenie za swoje przewierstwo, za swoje koziołki polityczne. Oto w jaki sposób najbardziej oświecona część narodu staje się najmniej godną szacunku. Biorąc z literackiego punktu widzenia, brakuje Natanowi wykształcenia i stylu. Jak większość młodych *arywistów* literatury, wylewa dziś na papier to, czego nauczył się wczoraj. Nie ma ani czasu, ani cierpliwości: nie obserwuje, lecz słucha. Niezdolny powziąć szeroko i silnie zbudowanego planu, ratuje się poniekąd rozmachem rysunku. *Robi w namiętności*, wedle terminu gwary literackiej, ponieważ w sferze namiętności wszystko jest prawdziwe; podczas gdy zadaniem geniusza jest szukać, poprzez przypadkowość prawdy, tego co musi wydać się prawdopodobne całemu światu. Bohaterowie jego to wydeptę indywidualności, które, zamiast budzić idee, budzą jedynie ulotne sympatie; nie łączą się z wielkimi interesami życia i tym samym nie reprezentują nic; ale Natan ratuje się błyskotliwością umysłu i tymi szczęśliwymi trafami, które gracze w bilard ochrztili brzydkim mianem. Jest to zręczny myśliwiec strzelający w lot myśli, które opuszczają się na Paryż lub też wznoszą się z niego. Płodność jego nie jest własnością jego, ale epoki; żyje chwilą, i, aby nad nią panować, przesadza jej doniosłość. Wreszcie nie jest szczery, styl jego jest kłamstwem; jest w nim, jak mówił hrabia Feliks, coś z jarmarcznego kuglarza. Pióro jego czerpie atrament w gabinecie aktorki, i to się czuje. Natan przedstawia obraz dzisiejszej młodej Literatury, jej fałszywych wielkości i prawdziwych nędz; wciela ją z całym kaprysem rysunku w jej pięknościach, z jej głębokimi upadkami, życiem mieniącym się od wrzących kaskad, nagłych klęsk, niespodzianych tryumfów. Jest to prawdziwe dziecko tego wieku żartego zazdrością, w którym tysiączne rywalizacje, pod osłoną systemów, hodują, we własnym interesie, hydrę anarchii, mszcząc się za swe niepowodzenia; tego wieku, który chce mienia bez pracy, glorii bez talentu i powodzenia bez trudu; ale który, po wielu buntach i utarczkach, siada potulnie u wspólnej misy w oficynach władzy. Kiedy tyle młodych ambicji wyruszyło pieszo i wszystkie naznaczyły sobie schadzki w tym samym punkcie, muszą wyniknąć z tego zderzenia woli, niesłychane nędze, zajadłe walki. W tej okropnej bitwie najbrutalniejszy lub najzręczniejszy egoizm osiąga zwycięstwo.

Kiedy, w charakterze wroga nowej dynastii, wprowadzono Raula do salonu pani de Montcornet, fałszywa wielkość tego trybuna znajdowała się w pełnym rozkwicie. Uznawano w nim satyryka politycznego de Marsayów, Rastignaków, la Roche-Hugonów, świeżych tryumfatorów władzy. Emil Blondet, który wprowadził Natana, sam ofiara swoich nieszczęsnych wahań i wstępu do czynu, trwał dalej w roli wiecznego kpiarza, nie trzymając z nikim a żyjąc ze wszystkimi. Był przyjacielem Raula, przyjacielem Rastignaka, przyjacielem Montcorneta.

— Ty przedstawiasz trójkąt polityczny — mawiał śmiejąc się de Marsay, kiedy go spotkał w Operze; — ta forma geometryczna przystoi tylko Bogu, który nie ma nic do roboty; ale ludzie ambitni powinni iść linią krzywą, która, w polityce, jest najkrótszą drogą.

Oglądany na odległość, Raul Natan był bardzo pięknym meteorem. Moda uprawniała jego styl i wzięcie. Pożyczony republikanizm dawał mu chwilowo ową jansenistyczną surowość, uprzywilejowaną pozę obrońców sprawy ludowej, z których zresztą drwił sobie w duchu. Poza to nie jest bez wdzięku w oczach kobiet. Kobiety lubią działać cuda, kruszyć skały, topić charaktery, które wydają się z brązu. Tualeta moralna była tedy wówczas u Raula w harmonii z jego strojem. Musiał być, i stał się w istocie, dla Ewy znudzonej rajem przy ulicy *du Rocher*, węzłem mieniącym się, barwnym, pełnym wy-

mowy, o magnetycznym wzroku, harmonijnych ruchach, który zgubił pierwszą kobietę. Skoro hrabina Maria ujrzała Raula, doświadczyła owego wewnętrznego skurczu, którego gwałtowność wprawia w przerażenie. Rzekomy wielki człowiek wywarł na nią, swoim spojrzeniem, wpływ fizyczny, który przeniknął aż do serca i wprowadził w nie zamęt. Uczucie to sprawiło jej przyjemność. Purpurowy płaszcz, jakim rozgłos okrył na chwilę ramiona Natana, olśnił naiwną kobietę. Skoro podano herbatę, Maria opuściła miejsce, na którym, wśród kilku kobiet zajętych rozmową, zmiłkła na widok tego niezwyklego zjawiska. Milczenie to zwróciło uwagę jej udanych przyjaciółek. Hrabina zbliżyła się do kwadratowej kanapy umieszczonej w środku salonu, gdzie perorował Raul. Przystanąła tam, ująwszy pod ramię panią Oktawową de Camps. Zaczynała ta kobieta zachowywać dla siebie tajemnicę mimowolnych drgnień, jakimi zdradzało się wewnętrzne poruszenie hrabiny. Mimo że oko rozkochanej lub zdjętej podziwem kobiety wypromienia z siebie niepojęte słodycze, Raul, zmieniony w tej chwili w prawdziwy fajerwerk, nadto był przepelniony swymi epigramami, które strzelały jak race, inwektywami roztaczanymi nagle jak słońca świetlne, iskrzącymi portretami, które kreślił ogniwą smugą, aby zauważyć naiwny podziw biednej małej Ewy ukrytej w grupie otaczających go dam. Ciekawość ta, podobna pędowi, jaki rzuciłby cały Paryż w stronę botanicznego ogrodu, aby tam ujrzeć jednorozca (w razie gdyby znaleziono taki okaz wśród słynnych gór na księżycu, jeszcze nietkniętych stopą Europejczyka), upaja dusze podrzędnej miary w tym samym stopniu, w jakim zasmuca umysły naprawdę wyższe. Raula ona zachwycała; za nadto tedy należał do wszystkich kobiet, aby mieć oczy dla jednej.

— Uważaj, droga — rzekła do ucha Marii słodka i urocza towarzysza — oddał się stąd.

Hrabina spojrzała na męża, aby, jednym z tych spojrzeń, które mężowie nie zawsze rozumieją, poprosić go o ramię; Feliks przeprowadził ją.

— Mój drogi panie — rzekła pani d'Espard do ucha Raula — szczęśliwe ładaco z pana. Zawróciłeś dziś wieczór niejedną głowę: między innymi i główkę tej uroczej kobietki, która opuściła nas tak nagle.

— Czy nie wiesz, co miała na myśli margrabina d'Espard? — spytał Raul Blondeta, cytując mu słowa tej wielkiej damy, skoro, między pierwszą a drugą po północy, znaleźli się mniej więcej sami.

— Ba! Dowiaduję się właśnie, że hrabina de Vandenesse rozkochała się w tobie na umór. Można ci pozazdrościć.

— Nie widziałem jej — rzekł Raul.

— Och! zobaczysz ją, hultaju — rzekł Emil Blondet parszcząc śmiechem. — Lady Dudley zaprosiła cię na bal umyślnie po to, abyś ją spotkał.

Raul i Blondet wyszli wraz z Rastignakiem<sup>61</sup>, który ofiarował im swój powóz. Wszyscy trzej zaczęli się śmiać z tego zebrania podsekretarza stanu konstytucyjnego Rządu, dzikiego republikanina i politycznego ateusza.

— Gdybyśmy tak machnęli kolacyjkę na koszt bieżącego porządku rzeczy? — rzekł Blondet, który chciał wskrzesić dawne tradycje „kolacyjek”.

Rastignac zawiózł ich do Vergygo, odesłał powóz i wszyscy trzej siedli do stołu, analizując współczesne społeczeństwo i śmiejąc się rabelaisowskim śmiechem. Po paru szklanceczkach, Rastignac i Blondet zaczęli radzić swemu papierowemu wrogowi, aby nie zaniedbał kapitalnej zdobyczy, która mu się oddaje w ręce. Dwaj wyjadacze nakreślili drwiącym stylem historię hrabiny Marii de Vandenesse; skalpelem cynizmu i ryłcem konceptu przeorali to niewinne dzieciństwo, to małżeństwo bez chmurki. Blondet winnował Raulowi spotkania kobiety, która była w życiu winna jedynie paru lichych rysuneków pastelem, chudych pejzaży akwarelą, pantofli wyhaftowanych dla męża, sonat wykonanych z najbardziej zbożną intencją; przyszytej przez osiemnaście lat do spódnicy matczynej, zamarynowanej w praktykach religijnych, wychowalnej przez Feliksa i *skruszałej* w małżeństwie w samą miarę, aby się stać godnym przysmakiem miłości. Przy trzeciej flaszcze szampańskiego Natana przeszedł do wywnętrzeń szerszych, niż sobie na nie kiedykolwiek pozwolił.

<sup>61</sup>Rastignac — patrz: *Ojciec Goriot, Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

— Moi drodzy — rzekł — znacie stosunki wiążące mnie z Floryną, znacie moje życie, nie zdziwi was, kiedy się przyznam, że absolutnie nie mam pojęcia o smaczku miłości hrabiny. Często czułem się bardzo upokorzony myślą, że nie mogę sobie zafundować Beatryczy, Laury, inaczej niż na papierze! Kobieta szlachetna i czysta, to jak sumienie bez zmazy, odbijające nas naszym własnym oczom pod piękną postacią. Gdzie indziej możemy się zbrukać; ale tam zostajemy wielcy, dumni, nieskalani. Gdzie indziej prowadzimy życie od stu diabłów; ale tam wdycha się spokój, świeżość, zieloność oazy.

— Jedź dalej, moje dziecko — rzekł Rastignac — rzuń modlitwę z *Mojżesza* na czwartej strunie, jak Paganini<sup>62</sup>.

Raul siedział niemy, z martwym i stępiętym wzrokiem.

— Ten plugawy parobek ministerialny nie rozumie mnie — rzekł po chwili milczenia.

Tak więc, podczas gdy biedna Ewa, przy ulicy *du Rocher*, układała się na spoczynek w białych prześcieradłach wstydu, przerażała się rozkoszą, z jaką przysłuchiwała się rzekomemu wielkiemu poecie i bujała między głosem wdzięczności dla Feliksa a złoconymi słowami węża, te trzy wytarte dusze deptały po tkliwych i białych kwiatach jej rodzącej się miłości. Och! gdyby kobiety znały cyniczny ton, jaki ci mężczyźni, tak cierpliwi, tak obleśni przy nich, przybierają zdala od nich! jak sobie drwią z tego, co ubóstwiają! Jakże analizował i rozbiierał błazeński żart tę świeżą, wdzięczną i wstydliwą istotę; ale też co za tryumf! Im więcej traciła osłon, tym więcej jawiła piękności.

W tej chwili Maria porównywała Raula i Feliksa, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, na jakie wystawia się serce czyniąc podobne zestawienia. Trudno znaleźć w świecie większy kontrast, niż zaniedbany, żywiołowy Raul a Feliks de Vandenesse, wypielegnowany jak strojnisia, ubrany na ostatni guzik, obdarzony uroczą *disinwolturą*<sup>63</sup>, zwolennik angielskiej elegancji, do jakiej zaprawiła go niegdyś lady Dudley. Taki kontrast przemawia do wyobraźni kobiet, dość skłonnych do przerzucania się z jednej ostateczności w drugą. Hrabina, osoba cnotliwa i nabożna, zabroniła samej sobie myśleć o Raulu; obudziwszy się nazajutrz w swoim rajku, wyrzucała sobie, że jest niewdzięczną żoną.

— Co sądzisz o Raulu Natanie? — spytała przy śniadaniu męża.

— Kuglarz jarmarczny — odparł hrabia — jeden z tych wulkanów, które się uspokajają za pomocą trochy złotego piasku. Hrabina de Moncornet źle czyni, przyjmując go u siebie.

Odpowiedź ta zmroziła Marię, tym bardziej iż Feliks, wtajemniczony w kulisy literackiego światka, poparł swój sąd dowodami, opowiadając, co wiedział z życia Raula, życia na wskroś nieporządnego, splecionego z życiem modnej aktorki Floryny.

— Ten człowiek ma dar — rzekł w końcu — ale nie ma ani wytrwania, ani cierpliwości, które go uświęcają i czynią boskim narzędziem. Chce narzucić się światu, próbując żyć na stopie, na której nie może się utrzymać. Prawdziwe talenty, ludzie pracowici, szanowni, nie postępują w ten sposób: kroczą odważnie swoją drogą, godzą się ze swą nędzą i nie pokrywają jej szychem<sup>64</sup>.

Myśl kobiety obdarzona jest nieprawdopodobną elastycznością: kiedy otrzyma cios maczugi, ugina się na pozór zmiążdżona, i wraca do formy w danym czasie i okolicznościach.

— Feliks z pewnością ma słuszość — rzekła sobie zrazu hrabina.

Ale, w trzy dni później, myślała o wężu, przyciągana tym słodkim zarazem i okrutnym uczuciem, które budził w niej Raul, a którego Vandenesse, nieszczęściem dla siebie, nie dał jej nigdy poznać. Państwo Feliksowie udali się na bal do lady Dudley, gdzie de Marsay pojawił się w świecie po raz ostatni, umarł bowiem w dwa miesiące później, zostawiając reputację męża stanu olbrzymiej miary, którego doniosłość, zdaniem Blondeta, nie dość jeszcze zrozumiano. W zebraniu tym, odznaczającym się skupieniem wielu aktorów politycznego dramatu, bardzo zdumionych, iż znaleźli się razem, Vandenesse i hrabina zastali Raula Natana. Była to jedna z pierwszych uroczystości wielkiego świata. Salony przedstawiały magiczny wygląd: kwiaty, diamenty, świetne fryzury, całe puzdra<sup>65</sup> klejnotów, wszystkie wyszukania stroju. Można by przyrównać ów salon do pysznej cieplarni, w której bogaty amator gromadzi najwspanialsze rzadkości. Ten sam blask, ta

<sup>62</sup>*Paganini, Niccolò* (1782–1840) — włoski wirtuoz skrzypiec i kompozytor. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*disinwoltura* — dziś: dezynwoltura, czyli swobodne, nieco lekceważące zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*szych* — nitka owinięta drucikiem, w hacie stosowana, by imitować złoto. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*puzdro* — skrzynka z przegródkami. [przypis edytorski]

sama delikatność tkanin. Przemysł<sup>66</sup> ludzki, zda się, wystąpił do walki z żywymi tworam. Wszędzie gazy białe lub barwne jak skrzydła najpiękniejszej ważki, krepy, koronki, blondyny, tiule mieniające się niby kapryśne twory świata owadów, powycinane, sfalowane, pozębione, nitki pajęczne ze złota, srebra, mgły jedwabiu, kwiaty haftowane przez wróżki lub ukwiecone przez spętanych geniuszków, pióra barwione ogniami tropików, spływające z dumnych głów w kształt wierzby płaczącej, perły skręcone w warkocze, materie prążkowane, wycinane, wyciskane, jak gdyby geniusz arabesek<sup>67</sup> wspomagał przemysł francuski swym podszeptem. Zbytek ten harmonizował ze zgromadzonymi tam pięknosciami. Oko pieściło najbielsze ramiona, jedne koloru ambry<sup>68</sup>, drugie lśniące tak, iż można by mniemać, że są szlifowane, te o połysku satyny, inne matowe i pulchne, jak gdyby Rubens ulepił je ze swej farby, słowem wszystkie odcienie, jakie człowiek znalazł dla białości. Widziało się oczy błyszczące jak onyksy lub turkusy, okolone czarnym aksamitem lub jasnymi frędzlami; owale twarzy przypominające najwładzniejsze typy różnych krajów, czoła wzniosłe i majestatyczne, to znów łagodnie wysklepione jakby od kłębiących się myśli, lub płaskie, jak gdyby się krył pod nimi niezwykły opór; następnie — niemały urok tych festynów zgotowanych dla wzroku — biusty pełne, takie, jak je lubił Jerzy IV, lub rozdzielone modą XVIII wieku, lub ściśnięte ku sobie, jak pragnął Ludwik XV; ale ukazywane śmiało bez osłonek, lub pod owymi ładnymi marszczonymi napiersnikami z portretów Rafaela. Najładniejsze nóżki napięte w kroku tanecznym, kibicie omdlewające w objęciach walca, ścigały oczy nawet najbardziej obojętnych. Szmery najśłodszych głosów, szelesty sukien, szepty tańca, zderzenia walczących, towarzyszyły kapryśnej muzyce. Paleczka wróżki zdawała się kierować tym duszącym czarodziejstwem, melodią zapachów, światłami iryzującymi w kryształach dźwigających zapalone świece, obrazami mnożonymi przez zwierciadła. To zebranie najpiękniejszych kobiet i najpiękniejszych strojów odrzynało się od czarnej masy mężczyzn, w której zwracały uwagę wytworne, delikatne i poprawne profile szlachty, płowe wąsy i poważne twarze Anglików, pełne uroku fizjonomie francuskiej arystokracji. Wszystkie orderzy Europy migotały na piersiach, zawieszane na szyi, lub opadające na biodra. Kiedy się patrzyło na ten świat, przedstawiał on nie tylko błyszczące barwy w stroju, miał duszę, żył, myślał, czuł. Ukryte namiętności dawały mu fizjonomie; podchwycilibyście wymienione sprytnie spojrzenia, spostrzegli młode dziewczęta oszołomione i zaciekawione, dyszące powstrzymanym pragnieniem, zawistne kobiety wymieniające złośliwości pod wachlarzem lub obsypujące się przesadnymi komplementami. Wystrojone, ufryzowane, upachnione towarzystwo rzucało się w szal zabawy, który uderzał do głowy niby zawrotne opary. Zdawało się, że, ze wszystkich tych ciał, jak ze wszystkich serc, wydzielają się uczucia i myśli, które się zagęszczały, i których masa oddziaływała podniecająco na osoby nawet najchłodniejsze.

W momencie największego ożywienia tego odurzającego wieczoru, w kącie złoconego salonu, w którym grało paru bankierów, ambasadorowie, dawni ministrowie i stary, cyniczny lord Dudley, który przypadkiem się zjawił, pani Feliksowa de Vandenesse uczuła nieprzemyślany pociąg porozmawiania z Natanem. Być może ulegała owemu szalowi balu, który często wydarł wyznania najbardziej powściągliwym.

Na widok tego igrzyska i przepychów świata, w który wstępował po raz pierwszy, Natan uczuł w sercu ukąszenie zdwojonej ambicji. Widząc Rastignaka, którego młodszy brat otrzymał właśnie infułę w dwudziestym siódmym roku, którego szwagier, Marcjał de la Roche-Hugon, był ministrem, który sam był wicesekretarzem stanu i miał, wedle głosu opinii, zaślubić jedyną córkę barona de Nucingen; widząc w ciele dyplomatycznym nieznanego pisarza, tłumacza zagranicznych pism dla dziennika, który od 1830 stał się dynastycznym, widząc wreszcie wyrobników *artykułu*, którzy przeszli do Rady Stanu, profesorów, którzy wyrosli na parów Francji, ujrzał z bólem, że wszedł na złą drogę, głosząc zwalenie tej arystokracji, w której błyszczą szczęśliwe talenty, zęczność uwieńczona powodzeniem, istotne wyższości. Blondet, tak nieszczęśliwy, tak wyzyskiwany w dziennikarstwie, ale tak dobrze przyjmowany w tym świecie, mogący jeszcze, gdyby chciał,

<sup>66</sup>przemysł — tu: przemysłność. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>ambra — składnik perfum, wydzielany przez gruczoły przewodu pokarmowego kaszalota. [przypis edytorski]



wejść na drogę fortuny dzięki stosunkowi z panią de Montcornet, stał się w oczach Natana uderzającym przykładem wszechpotęgi „towarzystwa”. W głębi serca postanowił zdrwić sobie z przekonań na wzór de Marsaya, Rastignaka, Blondeta, Talleyranda<sup>69</sup>, patrona tej sekty, liczyć się tylko z faktami, wykręcać je na swoją korzyść, widzieć w każdym systemie broń, i nie zakłócać społeczeństwa tak dobrze urządzonego, tak pięknego, tak zgodnego z naturą.

— Przyszłość moja — powiedział sobie — zawisła<sup>70</sup> od kobiety należącej do tego świata.

W tej myśli, powziętej w ogniu palącego pragnienia, spadł na hrabinę de Vandenesse niby jastrząb na zdobycz. Ta urocza istota, tak ładna w stroiku z marabutów, przywodzącym na myśl rozkoszną miękkość obrazków Lawrenca i harmonizującym ze słodyczą jej charakteru, uległa wrażeniu kipiącej energii oszalałego ambicją poety. Lady Dudley, której oku nic nie uchodziło, ułatwiła tę rozmowę — wydając hrabiego de Vandenesse na łup pani de Manerville. Silna swoim dawnym wpływem, kobieta ta ujęła Feliksa w sidła mocno drażliwych wyjaśnień, zwierzeń upiększonych rumieńcami, żalów delikatnie rzuconych niby kwiaty pod jego stopy, rekryminacji, w których występowała w swojej obronie, aby wywołać jego zarzuty. Para zwaśnionych kochanków rozmawiała pierwszy raz tak poufnie. Podczas gdy dawna Beatrice jej męża rozgrzebywała popiół wygasłych rozkoszy, aby w nim odnaleźć jakich parę węgielków, pani Feliksowa de Vandenesse odczuwała te gwałtowne wzruszenia, o jakie przyprawia kobietę pewność, iż schodzi z prostej drogi i stąpa po zakazanym terenie: wzruszenia, które nie są bez uroku i które budzą tyle uspiionych potęg.

Dramaturg, dobrze bity w Szekspirze, rozwinął swe nędze, opowiedział swą walkę z ludźmi i losem, uchylił rąbek wielkości bez podstaw, nieznanego politycznego geniuszu, życia bez szlachetniejszego przywiązania. Nie mówiąc o tym ani słowa wprost, nasunął uroczej kobiecie myśl odegrania wobec niego szczytnej roli, jaką gra Rebeka w *Iwanhoe*: kochać, otaczać opieką. Wszystko odbyło się w eterycznych regionach uczucia. Niezapominajki nie są bardziej błękitne, lilie bardziej czyste, czoła serafinów bardziej białe, niż były w tej rozmowie obrazy, rzeczy, oraz rozjaśnione, promienne czoło artysty, który mógłby posłać rozmowę swoją wprost do drukarni. Natan dobrze się wywiązał z roli kuszącego płaza; zamigotał przed oczyma hrabiny wszystkimi barwami nieszczęsnego jabłka. Maria opuściła bal szarpana wyrzutami, które podobne były do nadziei, lechtana pochwałami głaskającymi jej próżność, poruszona w najgłębszych zakątkach serca, ujęta przez swoje cnoty, uwiedziona litością dla nieszczęścia.

Być może pani de Manerville przyciągnęła Vandenesse aż do salonu, gdzie żona jego rozmawiała z Natanem; może przybył tam sam, szukając Marii, aby już odjechać; może rozmowa, którą prowadził, obudziła jakieś drzemające żale... Jak bądź się rzeczy miały, kiedy hrabina zbliżyła się, aby przyjąć ramię męża, zauważyła iż czoło jego powleka chmurą smutku i zadumy. Hrabina zlekła się, czy mąż nie zauważył czego. Gdy została sama w karecie z Feliksem, rzuciła mu uśmiech pełen domyślników i rzekła:

— Czy mi się zdawało, czy w istocie rozmawiałeś z panią de Manerville?

W chwili, gdy powóz wjeżdżał w bramę, Feliks nie zdołał jeszcze wybrnąć z pełnych wdzięku przekomarzań, w jakie zaplątała go żona. Był to pierwszy podstęp dyktowany przez miłość. Maria uczuła się szczęśliwa, iż odniosła tryumf nad człowiekiem, który, aż dotąd, zdawał się tyle od niej wyższy. Zakosztowała pierwszy raz radości, jaką w tych drobnych bitwach daje uczucie wygranej.

Między ulicą Basse-du-Rempart i Neuve-des-Mathurins, na trzecim piętrze mizernego i brzydkiego domu Raul posiadał małe mieszkanie, nagie, opuszczone i zimne. Tu miał rezydencję dla obcej publiczności, dla neofitów<sup>71</sup> literackich, wierzycieli, natrętów i różnych nudziarzy, których osadza się w miejscu na progu swego poufnego życia. Jego istotne mieszkanie, jego pełna egzystencja, reprezentacja mieściły się u panny Floryny, aktorki wprawdzie drugorzędnej, ale którą, od dziesięciu lat, przyjaciele Nata-

<sup>69</sup>Talleyrand, Charles-Maurice de (1754–1838) — polityk i dyplomata francuski, wielokrotny minister spraw zagranicznych. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>zawisnąć (daw.) — zależeć. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>neofita — osoba, która niedawno przyjęła nową religię bądź doktrynę. [przypis edytorski]

na, dzienniki, uczynni autorowie, wszrubowywali<sup>72</sup> między znakomości sceniczne. Od dziesięciu lat Raul przywiązał się do tej kobiety tak, iż spędzał u niej pół życia; jadał u niej, kiedy nie podejmował przyjaciół ani też nie miał proszonego obiadu. Z ostatecznym stopniem zepsucia Floryna łączyła przemile zalety umysłu, które rozwinęło u niej obcowanie z artystami, a które subtelniały z każdym dniem pod wpływem światowego wyrobienia. Bogactwa duchowe uchodzą za rzadki przymiot u aktorów, tak naturalnym jest przypuszczenie, iż ludzie, którzy trawią życie na wystawianiu wszystkiego zewnątrz, nie posiadają nic wewnątrz! Ale, jeżeli zważyć niewielką liczbę aktorów i aktorek każdej epoki, oraz mnogość autorów dramatycznych i czarujących kobiet, jaką wydaje ta gmina, ma się wszelkie prawo odeprzeć te opinie. Polega ona na wiekuistym zarzucie stawianym artystom dramatycznym, których oskarża się w czambuł, że zatracają swe osobiste uczucia w plastycznym wyrażeniu namiętności, podczas gdy oni obracają na to jedynie siły umysłu, pamięci i wyobraźni. Wielcy aktorzy to istoty, które, wedle określenia Napoleona, umieją pochwycić łączące nici, jakie natura rzuciła między zmysłami a myślą. Molier i Talma byli, w podeszłym wieku, bardziej rozkochani, niż się to zdarza zwyczajnym ludziom.

Zmuszona przysłuchiwać się rozmowom dziennikarzy którzy odgadują i obliczają wszystko, pisarzy którzy wszystko przewidują, obserwować pewnych ludzi politycznych czyhających w jej saloniku na momenty szczerości u drugich, Floryna przedstawiała mieszaninę demona i anioła, która czyniła ją godną amfitrionką tych wygów: czarowała ich zimną krwią. Zepsucie jej umysłu i serca podobało się im nieskończenie. Mieszkanie Floryny, wzbogacone wotami<sup>73</sup> miłości, jawiło ów krańcowy przepych właściwy kobietom, które, mało dbałe o cenę rzeczy, dbają jedynie o rzeczy same i dają im wartość swego kaprysu; które, w przystępie gniewu, łamią wachlarz lub puzderko<sup>74</sup> godne królowej, a podnoszą głośny krzyk, gdy kto stłucze fajansową miseczkę ich pieska. Jadalnia Floryny, pełna najwykwintniejszych darów, może posłużyć za obraz bezładu tego królewskiego i niedbałego zbytku.

Ściany, sufit nawet, pokrywały boazerie rzeźbione w prawdziwym dębie, ożywione nitkami matowego złota. Tutaj pociągnął oczy świetny szkic Decampsa; tam rzeźbiona figura anioła trzymającego kropielnicę, dar Antonina Moine; dalej powabny obrazek Eugeniusza Deveria, posępna figura hiszpańskiego alchemika pędzla Ludwika Boulanger, autograf lorda Byrona pisany do Karoliny, a oprawny w heban rzeźbiony dłutem Elschoeta; naprzeciwko list Napoleona do Józefiny. Wszystko to rozmieszczone bez symetrii, ale z niepochwytną sztuką. Była w tym jakaś zalotność i niedbałość zarazem, dwie właściwości, które kojarzą się jedynie u artystów. Na drewnianym, uroczym rzeźbionym kominku — nic prócz oryginalnej florenckiej statuetki, przypisywanej Michałowi Aniołowi: faun odkrywający kobietę pod skórą młodego pasterza. Oryginał tej figurki znajduje się w skarbcu wiedeńskim. Po obu stronach świeczniki, które wyszły spod dłuta z czasów Odrodzenia. Zegar Boule'a na postumencie z szyldkretu<sup>75</sup>, inkrustowanym<sup>76</sup> arabeskami<sup>77</sup> z miedzi, widniał na konsolce, między dwiema figurkami ocalałymi z grabieży jakiegoś opactwa. W rogach błyszczwały na piedestałach lampy o królewskim przepychu, którymi fabrykant opłacił jakąś szumną reklamę swego systemu. Na wsporniku etażerki puszyły się srebrne nakrycie, sumiennie nabyte w pojedynku miłosnym, w którym jakiś lord uznał przewagę francuskiego narodu; serwis porcelanowy — słowem zbytek artysty, który nie ma innego kapitału prócz swego umeblowania. Sypialnia w kolorze fioletowym była marzeniem aktorki w początkach jej kariery: aksamitne firanki podbite białym jedwabiem, upięte na tiulowych zasłonach; sufit z białego kaszmiru podkreślonego fioletowym atłasem; u stóp łóżka dywan z gronostajów; pod oponami<sup>78</sup>, podobnymi do wywróconej lilii, znajdowała się lampka, aby można było czytać dzienniki

<sup>72</sup>wszrubować — dziś popr.: wśrubować, „wkręcić się” w środowisko. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>wotum — tu: przedmiot stanowiący pamiątkę. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>puzderko — mała skrzynka z przegródkami. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>szyldkret a. szylkret — tworzywo pozyskiwane ze skorup żółwi morskich. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>inkrustowany — dekorowany poprzez układanie na powierzchni wzoru, zwykle z wyrafinowanych materiałów w rodzaju masy perłowej czy rzadkich odmian drewna. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

jeszcze przed ich wyjściem. Żółty salonik, ożywiony ornamentami w kolorze florentyńskiego brązu, harmonizował z tym przepychem; ale dokładny opis uczyniłby te stronicie nazbyt podobnymi do ogłoszenia licytacji z wyroku trybunału. Aby znaleźć porównanie dla wszystkich tych pięknych rzeczy, trzeba by iść o dwa kroki stamtąd, do Rotszylda.

Zofia Gringoult, która, pospolitym dziś obyczajem, przybrała imię Floryny, rozpoczęła karierę, mimo swej piękności, na podrzędnych scenach. Powodzenie i los zawdzięczała Raulowi Natanowi. Skojarzenie tych dwojga artystów, nierzadkie w teatralnym i literackim świecie, nie przynosiło ujmę Raulowi, który zachowywał wszelkie pozory należne swemu wybitnemu stanowisku. Mimo to fortuna Floryny nie posiadała trwałych podstaw. Bieżące dochody pochodziły z gaży, z gościnnych występów w czasie urlopu i ledwie wystarczały na stroje i gospodarstwo. Natan nastręczał jej, tu i ówdzie, kontrybucje, jakimi okładał nowopowstające przedsięwzięcia przemysłowe; ale, mimo że zawsze znajdowała w nim pomoc i oparcie, oparcie to nie było ani regularne, ani pewne. Ta niepewność, to życie w powietrzu, nie przerażało Floryny. Wierzyła w swój talent, wierzyła w swoją piękność. Jej niezłomna wiara miała coś komicznego dla tych, którzy słyszeli, jak, wobec przyjacielskich przestróg, hipotekowała na tych danych swoją przyszłość.

— Będę miała miliony, kiedy mi przyjdzie ochota — mówiła. — Mam już pięćdziesiąt franków renty na Wielkiej księdze.

Nikt nie pojmował, w jaki sposób, przy swej urodzie, mogła pozostać siedem lat nieznaną. W rzeczywistości Floryna wstąpiła na scenę jako figurantka w trzynastym roku; w dwa lata później debiutowała w pokątnym teatryku na bulwarach. W piętnastu latach uroda ani talent nie istnieją: kobieta jest wówczas zadatkim, obietnicą. W tej chwili aktorka miała lat dwadzieścia osiem — moment, w którym piękność francuskich kobiet dochodzi pełni blasku. Malarze widzieli we Florynie przede wszystkim ramiona lśniącej białości, zabarwione w okolicy karku oliwkowymi tonami, ale jędrne i gładkie; światło ślizgało się po nich niby po sztuce mory<sup>79</sup>. Kiedy odwracała głowę, szyja jej tworzyła cudowne zagięcia, przedmiot podziwu rzeźbiarzy. Na tej tryumfalnej szyi mała głowa rzymskiej imperatorowej, wytworna i delikatna, krągła i energiczna głowa Poppei, rysy regularne, lecz pełne wyrazu, gładkie czoło kobiet, które pędzą od siebie precz troski i refleksje, które ustępują łatwo, ale zacinają się też na kształt mułów i wówczas nie słuchają niczego. Czoło to, wycięte niby jednym uderzeniem dłuta, podnosiło blask pięknych popielatych włosów, prawie zawsze rozdzielonych na przodzie w dwie równe części, po rzymsku, i spięte w pukiel w tyle głowy, aby ją przedłużyć i podnieść swą barwą białosc karku. Czarne i delikatne brwi, jakby narysowane przez chińskiego malarza, służyły za oprawę miękkim powiekom, w których widniała siatka różowych żyłek. Żrenice, migocące żywym światłem, ale pocętkowane ciemnymi prążkami, dawały jej spojrzeniu okrutną nieruchomość dzikich zwierząt i odsłaniały zimną przebiegłość kurtyzany. Cudowne oczy gazeli były szare i ocienione długimi rzęsami: czarujący kontrast, potęgujący jeszcze wyraz skupionej i spokojnej rozkoszy. Obwódki koło oczu nosiły cechy znużenia, ale Floryna umiała w artystyczny sposób toczyć źrenice na skraj albo ku górze, aby coś obserwować lub aby udawać zamyślenie; umiała je ustalić, każąc im strzelać całym blaskiem bez poruszenia głowy, nie wytrącając twarzy z jej nieruchomości: sztuczka wyuczona ze sceny. Ta nieodparta gra źrenic aktorki, żywość jej spojrzeń, kiedy ogarniała nimi całą salę, szukając w niej kogoś, czyniły jej oczy czymś najstraszliwszym, najśłodszym, najniezwykłym w świecie. Róż zniszczył rozkoszne i przejrzyste tony policzków; ale, jeżeli nie mogła już rumienić się ani blednąć, posiadała w zamian delikatny nosek, wycięty w różowe i namiętne nozdrza, sposobny do wyrażania ironii i prześmiechu Molierowskich subrettek<sup>80</sup>. Usta zmysłowe i hojne, równie podatne do sarkazmu, jak do miłości, zdobne były dwiema bruzdkami, którymi warga górna łączyła się z nosem. Biały podbródek, nieco gruby w rysunku, zwiastował pewną żywiołowość w igraszkach miłości. Ręce i ramiona godne były królowej. Nogę natomiast miała krótką i grubą, niezatarty znak niskiego pochodzenia. Nigdy żadne dziedzictwo nie było przedmiotem większych utrapień. Floryna próbowała wszystkiego, z wyjątkiem amputacji, aby ją zmienić. Nogi jej były uparte jak Bretończycy, którym zawdzięczała życie; oparły się wszystkim uczonej, wszystkim kuracjom.

<sup>79</sup>*mora* — rodzaj tkaniny jedwabnej, ozdobionej falistym deseniem. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*subretka* (daw.) — pokojówka. [przypis edytorski]

Floryna nosiła długie i wypchane od wewnątrz trzewiki, aby nadać rysunek stopie. Była średniego wzrostu, zagrożona otyłością, ale dość giętka w pasie i dobrze zbudowana. Pod względem moralnym — znała na wylot wszystkie mizdrzenia się, scenki, zaprawy i przywilności swego zawodu; dawała im osobliwy smak, przybierając minki dziecka, i wślizgując, pośród niewinnych śmieszków, swoją szelmowską filozofię. Na pozór ignorantka, roztrzepana, znała się bardzo dobrze na finansach i na całym prawodawstwie handlowym. Przeszła przez tyle nędzy, nim doszła dni swego wątpliwego sukcesu! Schodziła, aż do dzisiejszego pierwszego piętra, przez tyle pięter i tyle przygód! Znała życie, począwszy od tego, które zaczyna się przy kawałku chleba z serem, aż do tego, które wysysa pączki z ananasów; od tego, które gotuje i myje się w żelaznym garnku na poddaszu, aż do tego, które zwohuje całe wiece brzuchatych majordomów<sup>81</sup> i bezczelnych kuchcików. Umiała podtrzymywać kredyt, nie zabijając go. Znała wszystko to, czego nie znają uczciwe kobiety; umiała mówić każdym językiem; gminność płynęła u niej z doświadczeń życia, szlachectwo z wytwornej piękności. Trudna do podchwycenia, podejrzewała zawsze wszystko jak szpieg, jak sędzia lub stary polityk, i, dzięki temu, wszystko umiała przeniknąć. Znała sposoby postępowania z kupcami i wszystkie ich sztuczki, znała ceny wszystkich rzeczy jak taksator lombardu. Kiedy spoczywała wyciągnięta na szezlongu jak młoda oblubienica, biała i świeża, trzymając w ręku rolę i ucząc się jej, rzeklibyście szesnastoletnie dziecko, naiwne, nieświadome, wątłe, bez innej broni prócz swej niewinności. Niechby zjawił się wówczas jaki niewczesny wierzyciel, zrywała się na nogi jak pantera i klęła jak stary huzar.

— Ech, mój panie, pańskie natręctwo jest dostatecznym procentem od sumy, jaką jestem winna — mówiła; — dość mam pańskiego widoku, przyślij mi pan komornika, wolę to niż pańską tępą facjatę<sup>82</sup>.

Floryna wydawała przemile obiady, koncerty i wieczory bardzo uczęszczane: grywano u niej diabelnie grubo. Przyjaciółki jej były wszystkie ładne. Nigdy stara kobieta nie pojawiła się w jej salonie: nie wiedziała co to zazdrość, uważała ją zresztą za pewne przyznanie się do niższości. Znała niegdyś Koralię<sup>83</sup>, *Drętwę*<sup>84</sup>, znała Tullię, Eufrazję, Akwilinę, panią du Val Noble<sup>85</sup>, Marietę<sup>86</sup>, wszystkie te kobiety, które snują się nad Paryżem niby babie lato w powietrzu, o których nikt nie wie, skąd przychodzą ani dokąd idą, dziś królowe, jutro niewolnice; dalej aktorki, rywalki swoje, śpiewaczki, słowem całe to wyjątkowe społeczeństwo kobiet tak dobroczynne, tak urocze w swojej beztrosce, których cygańskie życie zagarnia tych, co się dadzą porwać w zawrotny taniec jego pustoty, werwy, lekceważenia przyszłości. Mimo że życie cygańskie przewalało się w domu Floryny w całym swym bezładzie, pod rozigraniem artystki królowa mieszkania miała dziesięć palców i umiała rachować jak nikt z jej gości. Tam odbywały się tajemne saturnalia literatury i sztuki, pomieszanych z polityką i finansami. Tam żądza panowała wszechwładnie; tam, *spleen*<sup>87</sup> i kaprys były święte, jak u mieszczki honor i cnota. Tam schodzili się Blondet, Finot, Stefan Lousteau — siódmy kochanek Floryny, który uchodził za pierwszego — felietonista Felicjan Vernou, Couture, Bixiou, niegdyś Rastignac, krytyk Klaudiusz Vignon, bankier Nucigen, du Tillet, muzyk Konti, słowem ta piekielna legia najbardziej nieubłaganych rachmistrzów we wszelakim rodzaju; następnie przyjaciele śpiewaczek, tancerek i aktorek, które żyły z Floryną. Cały ten światek nienawidził się lub kochał, zależnie od okoliczności. Ten dom otwarty, gdzie wystarczało być sławnym, aby zyskać przyjęcie, był czymś niby zamtuż<sup>88</sup> ducha, galery inteligencji: nie wchodziło się doń, nie uszczknawszy legalnie kęsa fortuny, nie przebywszy dziesięciu lat nędzy, nie zdławiwszy paru świętych uczuć, nie nabywszy sławy jakiego bądź rodzaju; przez książki albo kamizelki, dramat lub faeton nowego kroju. Tam knuło się szelmowskie sztuczki, roztrząsało środki prowadzące do fortuny, drwiło z zamieszek, jakie podszczyło się wczoraj, ważyło widoki zwyczajki i zniżki giełdowej. Każdy członek, wychodząc stamtąd, przywdziewał

<sup>81</sup> *majordomus* — zwierchnik nad służbą. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *facjata* (daw., pot.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *Koralia* — patrz: *Stracone złudzenia*. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *Drętwą* — patrz: *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *pani du Val Noble* — patrz: *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *Marieta* — patrz: *Kawalerskie gospodarstwo*. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *spleen* (ang.) — nuda i przygnębienie, wynikające z poczucia beznadziejności życia. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *zamtuz* (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

z powrotem liberię<sup>89</sup> swoich przekonań; tam mógł, nie narażając się, krytykować własne stronnictwo, przyznawać wiedzę i zręczność przeciwnikom, dawać upust myślom, do których nikt głośno się nie przyznaje; słowem, mówić wszystko między ludźmi zdolnymi do zrobienia wszystkiego. Paryż jest jedynym miejscem na świecie, gdzie istnieją owe eklektyczne<sup>90</sup> domy, w których wszystkie smaki, przywary, wszystkie mniemania mają, w przyzwoitej formie, prawo obywatelstwa. Toteż nie jest jeszcze powiedziane, iż Floryna ma zawsze zostać drugorzędną aktorką. Życie Floryny nie jest zresztą bynajmniej próżniacze ani godne zazdrości. Wiele osób, uwiedzionych pysznym piedestałem, jaki teatr stwarza dla kobiety, wyobraża sobie aktorki tonące w uciechach nieustającego karnawału. W głębi niejednej izdebki odźwiernego, pod poszyciem niejednego poddasza, biedne istoty marzą, za powrotem z widowiska, o perłach i diamentach, sukniach naszywanych złotem i wspaniałych futrach; widzą same siebie w promiennych fryzurach, oklaskiwane, kupowane na wagę złota, ubóstwiane, wydzierane, ale żadna z nich nie zna istotnych warunków tego życia cyrkowego konia, w jakim aktorka zniewolona jest, pod grozą grzywny, do prób, do wspólnych czytań sztuk, do nieustannego studiowania nowych ról. A żyjemy w epoce, w której grywa się w Paryżu dwieście do trzystu sztuk rocznie! Podczas każdego przedstawienia Floryna zmienia dwa albo trzy razy kostium i wraca często do garderoby wyczerpana, wpół martwa. Wówczas zmuszona jest, przy pomocy kosmetycznych środków, usuwać z twarzy róż albo blasz<sup>91</sup>, wyczesać puder, jeżeli grała rolę z XVIII wieku. Zaledwie miała czas zjeść obiad. Aktorce, kiedy gra, nie wolno ani ścisnąć się, ani jeść, ani mówić. Floryna, tak samo, nie ma czasu wieczerzać. Za powrotem z tych widowisk, które, za naszych czasów, trwają niemal do poranka, czyż nie czekają jej obowiązki toalety nocnej, wydania dyspozycji? Położywszy się o pierwszej lub drugiej, musi wstać dosyć wcześnie, aby powtórzyć rolę, zamówić kostiumy, odbyć naradę z krawcową, przymierzyć, następnie zjeść śniadanie, odczytać czułe bileciki, odpowiedzieć na nie, konferować z dyrektorami klaki<sup>92</sup>, aby zapewnić sobie wejście i zejście ze sceny, wyrównać rachunki tryumfów z ubiegłego miesiąca oraz zakupić je hurtownie na miesiąc bieżący. Za czasów św. Genesta, aktora kanonizowanego, który wypełniał swoje powinności religijne i nosił włosienicę, można przypuszczać, iż teatr nie wymagał tak ogromnej sumy energii. Często, aby móc wymknąć się po mieszczańsku na trawkę, na wieś, Floryna musi udąć chorobę. Te czysto mechaniczne zajęcia niczym są w porównaniu do intryg, które trzeba prowadzić, do utrapień zranionej miłości własnej, stronnictwo autorów, ról wydartych lub do wydarcia, wymagań aktorów, dokuczliwości rywalek, wyzysku dyrektorów, dziennikarzy, co wszystko wymagałoby nowej doby w ciągu dnia. Aż dotąd nie wspomnieliśmy jeszcze nic o sztuce, o wyrażeniu namiętności, o szczegółach mimiki, o warunkach sceny, gdzie tysiąc lornetek odkrywa plamy na każdym słońcu, które to sprawy zużywały życie, myśl takiego Talmy, Lekaina, Barona, Kontata, Clairon, Champmeslé. W tych piekielnych kulisach miłość własna nie ma płci: artysta, który tryumfuje, mężczyzna czy kobieta, ma przeciw sobie mężczyzn i kobiety. Co do strony majątkowej, to, mimo iż gaża Floryny jest znaczna, nie pokrywa wydatków garderoby teatralnej, która, nie licząc kostiumów, wymaga niezmiernie dużo długich rękawiczek, trzewików, i nie wyklucza toalet wieczorowych i spacerowych. Jedna trzecia tego życia schodzi na żebraniu, druga na trzymaniu się w pozycji, trzecia na bronieniu się: wszystko w nim jest pracą. Jeśli kobieta kosztuje w nim namiętnie chwil szczęścia, to dlatego, że są jakby ukradzione, rzadkie, długo wyczekiwane, znalezione przypadkiem wśród ohydnych przymusowych uciech i uśmiechów dla parteru. Dla Floryny potęgą Raula była niby opiekuńcze berło. Oszczędzał jej wielu przykrości, wielu trosk, jak niegdyś wielcy panowie swoim kochankom, jak dziś niektórzy starcy, którzy biegną błagać dziennikarzy, kiedy jakieś słowo w brukowym świstku zraniło ich bożyszcze. Trzymała się go więcej niż kochanka, trzymała się go jak podpory, dbała oń jak o ojca, oszukiwała go jak męża; ale byłaby dlań poświęciła wszystko. Raul był skarbem bezcennym dla próżności artystki, dla spokoju miłości własnej, dla przyszłości w teatrze. Bez poparcia wielkiego autora nie ma wielkiej aktorki: Champmeslé zawdzięcza wszystko Racine'owi, jak panna Mars Mo-

<sup>89</sup>liberia — oficjalny mundur służby. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>eklektyczny — łączący elementy różnych stylów. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>blasz a. blansz — bielidło. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>klaka — grupa ludzi wynajętych w celu oklaskiwania sztuki teatralnej. [przypis edytorski]

nvelowi i Andrieux'mu. Floryna natomiast nie mogła nic uczynić dla Raula; pragnęłaby bardzo być mu użyteczną lub potrzebną. Liczyła na lep przyzwyczajenia, była zawsze gotowa otworzyć swoje salony, rozwinąć zbytek swego stołu dla jego projektów, dla jego przyjaciół; pragnęła wreszcie być dlań tym, czym pani de Pompadour dla Ludwika XV<sup>93</sup>. Aktorki zazdrościły losu Floryny, jak znów niejeden z dziennikarzy zazdrościł losu Raula. Obecnie ci, którym znane jest dążenie duszy do sprzeczności i przeciwieństw, rozumieją łatwo, iż, po dziesięciu latach tego rozrzuconego, cygańskiego życia, pełnego wzlotów i upadków, zabaw i wizyt komornika, przednówek i orgii, pociągał Raula powab czystej i niewinnej miłości, spokojny i harmonijny dom wielkiej pani, tak samo jak hrabina Feliksowa pragnęła w swoje życie monotonne od nadmiaru szczęścia wprowadzić udreki namiętności. To prawo życia jest zarazem prawem wszystkich sztuk, które istnieją jedynie przez kontrasty. Dzieło stworzone bez tego środka jest najwyższym wyrazem geniuszu, jak klasztor najwyższym wysiłkiem chrześcijaństwa.

Wróciwszy do domu, Raul zastał słówko od Floryny, przyniesione przez pokojówkę. Niezwyciężona senność nie pozwoliła mu go odczytać; ułożył się do łóżka w świeżym upojeniu niewinnej miłości, której brakowało jego życiu. W kilka godzin później przeczytał w liście kilka ważnych nowin, o których Rastignac ani du Marsay nie puścili ani pary. Dzięki pewnej niedyskrecji aktorka dowiedziała się, że Izba ma być rozwiązana tuż po posiedzeniu. Raul udał się natychmiast do Floryny i posłał po Blondeta. W buduarze aktorki Emil i Raul, z nogami wyciągniętymi przed kominkiem, zanalizowali sytuację polityczną Francji w r. 1834. Po jakiej stronie znajdują się lepsze widoki fortuny? Przeszli, w tym przegładzie, republikanów czystych, republikanów z prezydenturą, republikanów bez republiki, *konstytucyjnych* bez dynastii, konstytucyjnych dynastycznych, ministeriałów absolutystycznych; następnie prawicę kompromisową, prawicę arystokratyczną, prawicę legitymistyczną, *henrykopiętową* i karlistyczną. Co się tyczy stronnictwa oporu i stronnictwa ruchu, nie było się co wahać: to by było tyle, co dysputować o życiu lub śmierci.

Polityka

W epoce tej ogromna ilość dzienników stworzonych dla każdego odcienia, świadczyła o przerażającym zamęcie politycznym, który można by nazwać kulinarnie *bigosem*. Blondet, najbardziej jasnowidzący umysł epoki, ale jasnowidzący dla drugich, nigdy dla siebie, podobny do tych adwokatów, którzy lichy prowadzą własne interesa, był niezrównany w takich poufnych dyskusjach. Poradził tedy Natanowi, aby nie zmieniał frontu w sposób gwałtowny.

— Napoleon powiedział: nie da się zrobić młodej republiki ze starej monarchii. Toteż, mój drogi, zostań bohaterem, podporą, twórcą lewego centrum przyszłej Izby, a staniesz się figurą polityczną. Raz dopuszczony, raz dostawszy się do rządu, człowiek może być, czym chce, bierze wszelkie przekonania, które są górą!

Natan postanowił stworzyć codzienne pismo polityczne, stać się w nim absolutnym panem, przyczepić do tego dziennika jeden z owych małych dzienniczków, od których roi się w prasie, i ustalić związki z jakimś tygodnikiem. Prasa była środkiem tyłu karier dokoła niego, że Natan nie słuchał przestrogi Blondeta, który nie radził zbytnio polegać na tej myśli. Blondet wykazał mu, że jest to zły interes, tyle było wówczas dzienników które wydzyrały sobie abonentów, i tak bardzo prasa wydawała się zużyta. Raul, silny rzekomymi „przyjaciółmi” i własną odwagą, zerwał się pełen wiary; podniósł się dumnym ruchem i rzekł:

- Zwycięzę!
- Nie masz ani grosza!
- Napiszę dramat!
- Padnie.
- To padnie — rzekł Natan.

Przebiegł, ścigany przez Blondeta, który myślał, że Natan oszalał, apartament Floryny; następnie objął chciwym okiem nagromadzone tam bogactwa: wówczas Blondet zrozumiał.

— Jest tu z jakie sto i więcej tysięcy franków — rzekł Emil.

<sup>93</sup>Ludwik XV (1710–1774) — król Francji z dynastii Burbonów, ożeniony z Marią Leszczyńską. [przypis edytorski]

— Tak — rzekł wzdychając Raul, przystanąwszy przed wspaniałym łóżkiem Floryny; — ale wolalbym zostać na resztę życia przekupniem obwarzanków i żyć kartoflami bez omasty, niż sprzedać z tego bodaj jedną łyżkę.

— Nie łyżkę — rzekł Blondet — ale wszystko! Ambicja jest jak śmierć, musi położyć rękę na wszystkim, wie, że życie depce jej po piętach.

— Nie! po sto razy nie! Przyjąłbym wszystko od wczorajszej hrabiny, ale odbierać Florynie jej gniazdko?...

— Tak, jej warsztat, zapewne, to rzecz poważna...

— Wedle tego, co zrozumiałam, chcesz brać się do polityki zamiast do teatru — rzekła Floryna, ukazując się nagle.

— Tak, dziecko — rzekł dobrodusznie Raul, ujmując ją lekko za kark i całując w czoło. — Krzywisz się? Czy źle wyjdiesz na tym? Czy pan minister nie potrafi, lepiej od dziennikarza, uzyskać dla królowej sceny lepszego *engagement*? Czy nie będziesz miała ról i urlopów?

— Skąd weźmiesz pieniędzy? — rzekła.

— Od wuja — odparł Raul.

Floryna знаła *wuja* Raula. To słowo symbolizowało lichwę, tak jak, w popularnym narzeczu, ciotka oznacza pożyczkę na zastaw.

— Nie niepokój się, mój klejnocie — rzekł Blondet do Floryny, klepiąc ją po ramionach — wystaram mu się o udział Massola<sup>94</sup>, adwokata, który, jak wszyscy adwokaci, chciałby pewnego dnia zostać ministrem sprawiedliwości, du Tilleta, który chce być posłem, Finota, który tkwi jeszcze w małym dzienniczku, Planfcina, który chce być referendarzem i macza palce w jakimś tygodniku. Tak, ocalę go wbrew niemu samemu: ściagniemy Stefana Lousteau<sup>95</sup>, który poprowadzi felieton, Klaudiusza Vignon, który obejmie krytykę; Felicjan Vernou będzie panną do wszystkiego; adwokat będzie kręcił, du Tillet zajmie się Giełdą i przemysłem, i zobaczymy, dokąd dojdą te wszystkie wyteżone wole i ci niewolnicy zebrani do kupy.

— Do szpitala lub do ministerium, tam gdzie idą ludzie zrujnowani na ciele i duchu — rzekł Raul.

— Kiedy ich podejmujesz?

— Tu — rzekł Raul — za pięć dni.

— Powiesz mi, ile ci będzie trzeba — rzekła po prostu Floryna.

— Hm, adwokat, du Tillet i Raul nie mogą puścić się na wodę, nie wnosząc każdy jakich stu tysięcy — rzekł Blondet — W ten sposób dziennik może iść półtora roku; co wystarcza, aby w Paryżu wybić się lub upaść.

Floryna kiwnęła głową z aprobującą miną. Przyjaciele wsiedli do dorożki, aby się puścić na połów biesiadników, piór, myśli i interesów. Piękna aktorka znowuż sprawdziła czterech możliwych handlarzy mebli, starożytności, obrazów i klejnotów. Zagroziła im publiczną licytacją, w razie gdyby oszczędzali swoje sumienie na lepszą sposobność. Grając średniowieczną rolę, wpadła — jak mówiła — w oko pewnemu angielskiemu lordowi, chce tedy ulokować w gotówce cały ruchomy majątek, aby uchodzić za biedną i skłonić go do ofiarowania wspaniałego pałacu, który umeblowałaby w sposób idący o lepsze z Rotszyldami. Mimo całej sztuki, jaką rozwinęła, aby ich omotać, ofiarowali tylko siedemdziesiąt tysięcy za urządzenie, które warte było sto pięćdziesiąt tysięcy. Targ w targ, Floryna ofiarowała się oddać wszystko za tydzień za osiemdziesiąt.

— Macie wóz albo przewóz — rzekła.

Dobito targu. Skoro kupcy ustąpili z placu, aktorka zaczęła skakać z radości jak pagórki króla Dawida. Szalała po prostu z uciechy, nie przypuszczała, iż posiada takie bogactwa. Kiedy przyszedł Raul, zaczęła udawać urazę. Wyrzucała mu, że ją chce porzucić, zastanowiła się nad tym: ludzie nie przechodzą tak z jednego stronnictwa do drugiego, ani z teatru do Izby, bez przyczyny: czuje w tym rywalkę! Co to znaczy instynkt! Kazała sobie zaprzysiąc wieczną miłość. W pięć dni później wydała najwspanialszą w świecie ucztę. Chrzest dziennika, którego imię utonęło już w fali zapomnienia, odbył się w potokach wina i konceptów, przysięg wierności, koleżeństwa i niezłomnej przyjaźni. Po licznych

<sup>94</sup>Massol — patrz: *Ostatnie wcielenie Vautrina*. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Stefan Lousteau — patrz: *Stracone złudzenia, Muza z zaścianka*. [przypis edytorski]

opisach orgii znamiennych dla tego okresu literatury, a tak rzadkich i skromnych na poddaszach, gdzie kreślono te opisy, trudno odmalować ucztę Floryny. Jedno słowo tylko. O trzeciej po północy Floryna mogła się rozebrać i położyć, jak gdyby była sama, mimo że nikt nie wyszedł. Świeczniki epoki spały jak susły. Kiedy, wczesnym rankiem, tragarze, posłańcy i rzemieślnicy przyszli wynosić cały przepych głośniejszej aktorki, zaczęła się śmiać, widząc jak draby biorą te „sławy” niby wielkie meble i składają na podłodze. W ten sposób powędrowały w świat owe piękne rzeczy. Floryna posiadała wszystkie swoje wspomnienia w składach kupców, gdzie nikt z wyglądu nie mógłby poznać, u kogo i jak te kwiaty zbytku zostały nabyte. Zostawiono Florynie, zgodnie z warunkami umowy, pewne rzeczy zastrzeżone aż do wieczora: łóżko, stół i serwis, aby mogła podać gościom śniadanie. Zasnawszy pod wytwornymi oponami bogactwa, sławy literackie obudziły się w zimnych i ogołoconych ścianach nędzy, upstrzonych gwoździami, zbezczeszczonych pstrokacizną brudu, która kryje się pod dywanami, niby sznurki poza dekoracjami Opery.

— Patrzcie, patrzcie, fantują<sup>96</sup> Florynę, biedne kobiecie! — wykrzyknął Bixiou<sup>97</sup>, jeden z biesiadników. — Dalej! Do portmonetek! subskrypcja!

Słyszając te słowa, zgromadzenie zerwało się na nogi. Wszystkie kieszenie, wypróżnione do szczętu, dały trzydzieści siedem franków, które Raul szydlerczo przyniósł śmieszce. Szczęśliwa kurtyzana wychyliła głowę z poduszek i rozsypała na koldrę stos biletów bankowych. Raul przywołał Blondeta.

— Zrozumiałem — rzekł Blondet. — Szelmaczka załatwiła się z tym, nic nam nie mówiąc. Ślicznie, aniołku.

Czyn ten sprawił, iż aktorkę wniesiono w tryumfie i w negliżu do jadalni, na barkach przyjaciół, którzy pozostali jeszcze. Adwokat i bankierzy poszli już. Wieczorem Floryna była w teatrze przedmiotem szalonych owacji. Rozgłos jej poświęcenia obiegł widownię.

— Wołałabym, aby mnie oklaskiwano za talent — rzuciła Florynie rywalka na korytarzu garderoby.

— Pragnienie bardzo naturalne u artystki, którą sławia dotąd tylko za jej... uczynność — odparła Floryna.

W ciągu wieczoru, pokojówka Floryny zainstalowała panią w pasażu Sandrié, w mieszkaniu Raula. Dziennikarz miał rozbić obóz w domu, gdzie pomieszczono redakcję.

Taką była rywalka pani de Vandenesse. Fantazja Raula zespoliła niby ogniem aktorkę z hrabiną; potworny węzeł, który pewna księżna, za Ludwika XV, przecięła, każąc otruć pannę Lecouvreur; zemsta bardzo usprawiedliwiona, kiedy się zważy ogrom zniewagi.

Floryna nie krępowała początków miłości Raula. Przewidując kłopoty pieniężne w jego trudnym przedsięwzięciu, poczyniła zabiegi o półroczny urlop. Raul poparł energicznie te starania i przeprowadził je tak pomyślnie, iż stał się przez to tym droższym sercu Floryny. Ze zdrowym rozsądkiem kmiotka z bajki La Fontaine'a, który krząta się koło obiadu, podczas gdy panowie rozprawiają, aktorka udała się po złote runo na prowincję i za granicę, aby zapewnić byt sławnemu człowiekowi w czasie pościgu za władzą.

Aż do dziś niewielu malarzy pokusiło się o obraz miłości takiej, jaką jest ona w wysokich warstwach społecznych, pełna wzniosłości i tajemnych nędz, straszliwa w swoich pragnieniach dławionych przez najgłupsze, najpospolitsze przypadki, uśmiercona często znużeniem. Być może to studium odsłoni kilka jej strzępów. Nazajutrz po balu wydanym przez lady Dudley, nie uczyniwszy, nie usłyszawszy nawet najbardziej nieśmiałego oświadczenia, Maria wierzyła, iż jest kochaną przez Raula wedle programu swoich marzeń, Raul zaś wiedział, iż Maria pasowała go w duszy na kochankę. Mimo iż żadne z nich nie doszło do tego przełomu, w którym tak mężczyźni, jak kobiety skracają preliminaria<sup>98</sup>, oboje pomknęły szybko do celu. Raul, nasycony rozkoszą, tęsknił za światem idealnym; podczas gdy Maria, daleka od myśli o występku, nie wyobrażała sobie, aby mogła wyjść z tego świata. Toteż nie było miłości bardziej czystszej i niewinnej w uczynkach niż miłość Raula i Marii; ale też nie było miłości bardziej namiętnej i rozkosznej w myśli. Hrabina natchnęła się pojęciami godnymi czasów rycerstwa, ale na wskroś unowożytnionymi. W duchu tej roli, odraza męża dla Natana nie była już przeszkodą dla jej miłości. Im mniej by Raul

<sup>96</sup>fantować — zabierać mienie ruchome, np. na potrzeby egzekucji długu. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Bixiou — patrz: *Kawalerskie gospodarstwo, Stracone złudzenia, Muza z zaścianka, Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>preliminaria — wstępne rozmowy. [przypis edytorski]



zasługiwał na szacunek, tym czułaby go dłoń więcej. Płomienna wymowa poety więcej miała oddźwięku w jej łonie, niż w sercu. Litość zbudziła się na głos pożądania. Ta królowa cnót uświęciła niemal w oczach hrabiny wszystkie wzruszenia, rozkosze, gwałtowne burze miłości. Wydało się jej pięknym być dla Raula Opatrznością na ziemi. Co za słodka myśl! białą i wątłą ręką podtrzymywać tego kolosa, którego glinianych nóg nie chciała widzieć, tchnąć życie tam, gdzie go brakowało, być potajemnie twórczynią wielkiej przyszłości, pomagać genialnemu człowiekowi w zmaganiu się z losem i pokonaniu go, haftować dłoń szarfę na turniej, dostarczać broni, dać mu amulet przeciw czarom i balsam na rany! U kobiety wychowanej jak Maria, religijnej i szlachetnie myślącej jak ona, miłość musiała być pełnym rozkoszy miłosierdziem. Stąd pochodziła jej śmiałość. Pyszna wzgarda, z jaką czyste uczucia depcą ostrożność, podobna jest do bezwstydu kurtyzan. Z chwilą gdy, za pomocą sofistycznego rozróżnienia, upewniła się, iż nie narusza wiary małżeńskiej, hrabina rzuciła się całą siłą w rozkosz kochania. Najdrobniejsze okoliczności nabrały dla niej uroku. Buduar, w którym myślała o *nim*, zmienił się w sanktuarium. Nawet ładne biureczko budziło w jej duszy tysiąc rozkoszy przez myśl o korespondencji: miała odbierać, ukrywać listy, odpowiadać na nie! Tualeta, ta wspaniała poezja życia kobiety, wyczerpana lub zapoznana przez Marię-Anielę, objawiła się na nowo, przybrana niepostrzeżoną dotąd magią. Ileż rozkoszy w obmyślanu stroju, po to aby się *jemu* podobać, aby *jemu* przynieść zaszczyt! Oddała się z naiwnym zapalem tym czarującym błahostkom, które zajmują tyle miejsca w życiu Paryżanek, i dają tak bogate znaczenie wszystkiemu co się widzi u nich, w nich, na nich. Bardzo mało kobiet biega po sklepach bławatnych, modniarkach, krawcach jedynie we własnym interesie. Zestarzawszy się, nie myślą już o stroju. Skoro, w czasie przechadzki, ujrzyje postać kobietą, zatrzymującą się na chwilę przed szybą wystawy, przypatrzcie się jej dobrze: „Czybym mu się podobała...?” Oto zdanie wypisane na rozjaśnionych czołach, w oczach błyszczących nadzieją, w uśmiechu igrającym na wargach.

Bał lady Dudley odbył się w sobotę; w poniedziałek hrabina wybrała się do Opery, parta pewnością ujrzenia Raula. Raul stał, w istocie, na schodkach prowadzących do krzeseł. Spuścił oczy, kiedy hrabina weszła do łoży. Pani de Vandenesse zauważyła z rozkoszą staranność, jaką „kochanek” jej rozwinął w tualetcie! Ów człowiek, tak oporny prawom elegancji, kędziory miał starannie uczesane, połyskujące i wonne; kamizelka odpowiadała wymaganiom mody, krawat wykwiłtnie zawiązany, koszula lśniła nienaganną powierzchnią. Przy panującej wówczas wszechwładnie żółtej rękawiczce, ręce wydały się jej bardzo białe. Raul skrzyżował ramiona na piersi, jak gdyby pozował do portretu, wspaniała swą obojętnością dla całej sali, pełen źle powstrzymywanej niecierpliwości. Oczy jego, mimo że spuszczone, zwracały się wyraźnie ku obramieniu z czerwonego aksamitu, na którym spoczywała ręka Marii. Feliks, siedzący w drugim kącie łoży, zwrócony był plecami do Natana. Przebiegła hrabina umieściła się w ten sposób, aby mogła patrzeć w stronę kolumny, o którą opierał się Raul. Od jednego tedy zamachu Maria doprowadziła tego niepospolitego człowieka, iż wyrzekł się swego *cynizmu* w kwestii ubrania. Zarówno najbardziej pospolita, jak i najwyższa kobieta doznaje upojenia, widząc w tego rodzaju metamorfizie pierwszy symbol swej władzy. Wszelka zmiana jest przyznaniem się do niewoli.

— Miały słuszność, to wielka rozkosz czuć się zrozumianą — rzekła w duchu, wspominając maksymy niegodziwych nauczycielek.

Skoro kochankowie objęli salę owym szybkim rzutem oka, który spostrzeża wszystko, wymieniali porozumiewawcze spojrzenie. Było to dla obojga tak, jak gdyby jakaś niebiańska rosa odświeżyła ich serca spalone wyczekiwaniem. „Jestem od godziny w piekle, obecnie zaś otwiera mi się niebo — mówiły oczy Raula. — Wiedziałam, że tu jesteś, ale czyż jestem wolna? — powiadały oczy hrabiny. Złodzieje, szpiegi, kochankowie, dyplomaci, słowem wszyscy niewolnicy — i oni tylko — znają zasoby i rozkosze spojrzenia. Oni jedni wiedzą, ile porozumienia, słodyczy, inteligencji, gniewu i występku mieni się w migotaniu tego światła przepojonego duszą. Raul uczył, jak jego miłość spina się pod ostrogami konieczności, ale wzrasta na widok przeszkód. Między stopniem, na którym tkwił, a łożą hrabiny Feliksowej de Vandenesse było zaledwie trzydzieści stóp, a niepodobieństwem mu było unicestwić tę przestrzeń. Dla człowieka pełnego rozpędu,

który, aż dotąd, niewiele znajdował oddalenia pomiędzy pragnieniem a użyciem, ta otchłań wysłana suchym łędem, ale niepodobna do przebycia, budziła żądzę skoczenia aż do hrabiny ruchem tygrysa. W paroksyzmie wściekłości, próbował zmacać teren. Skłonił się jawnie hrabinie, która odpowiedziała lekkim i wzgardliwym skinieniem głowy, jakim kobiety umieją swoim wielbicielom odjąć ochotę powtarzania jeszcze raz tej próby. Hrabia Feliks zwrócił się, aby zobaczyć kto to taki; spostrzegł Natana, nie uklonił mu się, zmierzyl go oczyma, jakby żądając rachunku za jego śmiałość i odwrócił się z wolna, rzucając parę słów, w których pochwalał niewątpliwie fałszywą wzgardę hrabiny. Drzwi łoży były, całkiem oczywiście, zamknięte dla Natana, który obrzucił Feliksa piekielnym spojrzeniem. Pani d'Espand, jedna z najbardziej dumnych i nieprzystępnych kobiet owego czasu, widziała wszystko z łoży; umyślnie podniosła głos, dając jakieś zdawkowe brawo. Raul, który znajdował się tuż pod jej łożem, odwrócił się w końcu; skłonił się i otrzymał w zamian wdzięczny uśmiech, który zdawał się tak wyraźnie mówić: „Jeżeli cię wypędzają stamtąd, chodź tutaj!” iż Raul opuścił swoją kolumnę i poszedł złożyć wizytę pani d'Espard. Czuł potrzebę pokazania się tam, aby nauczyć tego panicza de Vandenesse, że sława warta jest szlachectwa i że przed Natanem wszystkie uherbione drzwi otwierają się na oścież. Margrabina kazała mu usiąść na wprost siebie na przedzie; chciała wziąć Raula na śledztwo.

— Pani Feliksowa de Vandenesse czarująca jest dziś wieczór — rzekła, komplementując go za jej tualetę jak gdyby za świeżo puszczonej w świat książkę.

— Tak — odparł Raul obojętnie — w marabutach jest jej bardzo do twarzy; ale też jest im wierna, miała je już przedwczoraj — dodał niedbałym tonem, aby tą krytyką oddalić urocze współnictwo, o jakie zdawała się go pomawiać margrabina.

— Zna pan przysłowie? — odparła. — Nie ma dobrej uczyty bez jutra.

W grze na słowa literackie sławy nie zawsze są równie mocne jak margrabiny. Raul starał się ratować udając naiwność, co jest często ostatnią deską ratunku ludzi inteligentnych.

— Przysłowie sprawdziło się dla mnie — rzekł, obrzucając margabinę miękkim spojrzeniem.

— Drogi panie, pański madrygał przychodzi zbyt późno, abym go miała przyjąć — odparła śmiejąc się. Nie róbże pan takiego niewiniątka; więc cóż, znajdowałeś widocznie wczoraj rano, na balu, iż pani de Vandenesse cudownie wygląda w marabutach; wie o tym, włożyła je znowu dla pana. Kocha cię, pan ją ubóstwiasz; przyszło to nieco prędko, ale, w zasadzie, nie widzę nic naturalniejszego. Gdybym się myliła, nie skręcałbyś w tej chwili rękawiczki jak człowiek, który wścieka się, że jest tu obok mnie, miast znajdować się w łoży swego bożyszcza, od której trzyma go z dala oficjalna wzgarda, i że słyszy po cichu to, co chciałby słyszeć mówione bardzo głośno.

Raul w istocie szarpał kurczowo rękawiczkę, odsłaniając rękę zdumiewająco białą.

— Uzyskała od pana — ciągnęła margrabina, przyglądając się uparcie tej ręce w sposób najbardziej impertynencki — ofiary, jakich towarzystwo nie mogło wymóc na tobie. Musi być zachwycona swym tryumfem, będzie zeń bez wątpienia nieco próżna, ale, na jej miejscu, byłabym nią bardziej jeszcze. Dotąd jest tylko sprytną kobiecinką, zacznie uchodzić za kobietę genialną. Odmalujesz ją nam w jakiejś czarującej książce, z tych, których sekret posiadasz ty jeden. Mój drogi panie, nie zapominaj tam o Vandenesse, zrób to dla mnie. Doprawdy, nadto jest pewny siebie. Nie przebaczyłabym tej promiennej miny samemu Jowiszowi Olimpijskiemu, jednemu z bogów mitologicznych, wolnemu, jak powiadają, od wszelkiej przygody.

— Pani — wykrzyknął Raul — przypisujesz mi duszę bardzo niską, jeżeli sądzisz mnie zdolnym frymarczenia<sup>99</sup> mymi wzruszeniami, mą miłością. Tego rodzaju podłostki literackie wydają mi się czymś gorszym, niż angielski zwyczaj zarzucania kobiecie postronka na szyję i prowadzenia jej na targ.

— Ale ja znam Marię, sama tego zażąda od pana.

— Niezdolna jest do tego — odparł Raul z ogniem.

— Znasz ją pan tedy dobrze?

<sup>99</sup>frymarczyć (pogardl.) — kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

Natan zaczął się śmiać z samego siebie, fabrykanta scen, który dał się złapać na sztuczkę sceniczną.

— Nie tam gra się komedię — rzekł, ukazując rampę — ale tu, w tej łoży.

Ujął lornetkę, i, dla dodania sobie swobody, zaczął rozglądać się po sali.

— Gniewa się pan na mnie? — rzekła margrabina, spoglądając nań spod oka. Tak czy inaczej, czyż nie musiałam wpaść na trop pańskiej tajemnicy? Pogodzimy się z łatwością. Przyjdź pan do mnie, przyjmuję co srode; droga Marychna nie opuści ani wieczoru, skoro pana raz zastanie. Ja zyskam na tym. Niekiedy zachodzi do mnie między czwartą a piątą; będę dobra dla was, zamieszczam pana w liczbie uprzywilejowanych, którym dozwalam wstępu o tej godzinie.

— Mój Boże — rzekł Raul — co to jest świat! Powiadają o pani, że pani jest zła.

— Ja! — rzekła — jestem, gdy trzeba. Czyż nie musimy się bronić? Ale co do pańskiej hrabiny, przepadam za nią; będziesz z nią szczęśliwy, doprawdy jest urocza. Jesteś pierwszym, którego imię będzie wyryte w tym sercu z ową dziecinną radością, jaka każe wszystkim kochankom, nie wyłączając kaprali, wycinać swoje litery na korze drzew. Pierwsza miłość kobiety to rozkoszny owoc. Później, widzi pan, w naszej tkliwości, w naszych staraniach, jest dużo sztuki. Stara kobieta, jak ja, może wszystko powiedzieć, nie lęka się już nikogo, nawet dziennikarza. Otóż, w dojrzałym wieku, umiemy dać wam szczęście, ale, kiedy zaczynamy kochać, same jesteśmy szczęśliwe i dajemy wam w ten sposób tysiąc rozkoszy miłości własnej. Wszystko jest u nas wtedy czarująco niespodziewane, serce pełne jest naiwności. Nadto pan jesteś poetą, aby nie przekładać kwiatów nad owoce. Powiesz mi, co myślisz o tym za pół roku!

Raul, jak każdy winowajca, rzucił się w system zaprzeczeń; ale to znaczyło tylko dostarczyć broni tej groźnej zapaśniczce. Zagmatwany niebawem w misterne węzły owej sprytnej, niebezpiecznej rozmowy, w jakiej celują Paryżanki, ulął się, iż pozwolił wymknąć się z ust wyznaniom, które margrabina natychmiast spożytkuje w swoich drwinach; wycofał się tedy ostrożnie, widząc wchodzącą lady Dudley.

— I cóż — rzekła Angielka — jak daleko zaszli?

— Kochają się do szaleństwa, Natan zwierzył mi się przed chwilą.

— Pragnęłabym, aby był brzydszy — odpada lady Dudley obrzucając hrabiego Feliksa spojrzeniem bazyliuszka. — Poza tym odpowiada w zupełności moim życzeniom: jest synem Żyda tandeciarza<sup>100</sup>, zmarłego jako bankrut w pierwszych dniach małżeństwa. Matka była katoliczką, tak iż on sam, na nieszczęście, jest chrześcijaninem.

Pochodzenie to, które Natan ukrywał troskliwie, doszło świeżo do wiadomości lady Dudley; cieszyła się z góry przyjemnością, z jaką spożytkuje je kiedyś, ku tym większemu pogębieniu Vandenessa.

— A ja dopiero co zaprosiłam go do siebie! — rzekła margrabina.

— Czyż nie był u mnie wczoraj? — odparła lady Dudley. — Są, moja złota, przyjemności, które drogo musimy opłacać.

Wieść o wzajemnej miłości Raula i hrabiny de Vandenesse krążyła w świecie podczas tego wieczoru, przy czym nie obyło się bez zapytań i powątpiewania; ale przyjaciółki hrabiny, lady Dudley, panie d'Espard i de Manerville broniły jej z niezręcznym zapałem, który mógł obudzić nieco wiary w tę pogłoskę. Zwyciężony koniecznością, Raul udał się we srode wieczór do margrabiny d'Espard, gdzie znalazł całą zbierającą się tam śmietankę. Ponieważ Feliks nie towarzyszył żonie, Raul zdołał wymienić z Marią parę zdań bardziej wymownych akcentem niż treścią. Hrabina, którą pani Oktawowa de Camps ostrzegła o plotkach, zrozumiała ważność swego zachowania w obliczu świata i dała to zrozumieć Raulowi.

Wśród świetnego zebrania oboje mieli tedy za całą przyjemność owe wzruszenia, tak głęboko wówczas wnikaające w istotę człowieka, jakie dają myśli, głos, ruchy, postawa ukochanej osoby. Dusza czepia się z całą siłą tych błahostek. Niekiedy, dwie pary oczu wlepiają się z dwu stron w jakiś przedmiot, wyciskając w nim, można powiedzieć, myśli zaplatające się o siebie. Podziwia się, w czasie rozmowy, lekko wysuniętą nóżkę, rękę która drga nieco, palce igrające z ujmowanym i porzucanym w znaczący sposób klejnotem. To już nie myśli, ani słowa, ale rzeczy mówią: mówią tak bardzo, że często rozkochany

<sup>100</sup>tandeciarz — handlarz starzyzną. [przypis edytorski]

mężczyzna zostawia innym troskę o przyniesienie filiżanki, cukierniczki, czego bądź żąda ukochana kobieta, z obawy, aby nie okazać swego pomieszania oczom, które zdają się nic nie widzieć, a widzą wszystko. Miriady<sup>101</sup> pragnień, szalonych życzeń, niedorzecznych myśli przepływają jakby zdławione w spojrzeniach. Wówczas, uścisk ręki odkradziony tyśiącznym oczom Argusa<sup>102</sup> nabywa wymowy długiego listu i rozkoszy pocałunku. Miłość potęguje się wówczas wszystkim tym, czego sobie wzbrania, i wspiera się na wszystkich przeszkodach aby urósł tym wyżej. Słowem, bariery te, które częściej się przeklina niż łamie, miłość rąbie na kawałki i wrzuca do ognia, aby go podsyć. Wówczas kobiety mogą zmierzyć rozciągłość swego panowania ową małością, do jakiej dochodzi olbrzymia miłość, która skupia się sama w sobie, kryje się w zmienionym spojrzeniu, w nerwowym skurczu, poza zdawkową formułką grzeczności. Ileż razy, na samym rozstaniu, kobieta wynagradza jednym słowem tajemne cierpienia, nieznaczące frazesy całego wieczora! Raul, człowiek mało liczący się ze światem, wyładował swą furię w rozmowie, i był świetny. Ściany salonu napełniły się rykiem lwa, zrodzonym z przymusu, którego artyści tak bardzo niezdolni są unosić. Ta wściekłość Rolandowa, iskrzenie się ducha, który łamał, druzgotał wszystko, posługując się szyderstwem jak maczugą, upoiły Marię i zainteresowały zebranie tak, jakby patrzono na byka upstrzonego chorągiewkami, szalejącego w hiszpańskim cyrku.

Salon

— Próżno wszystko walisz na ziemię, nie zrobisz pustki dokoła siebie — szepnął mu Blondet.

Te słowa otrzeźwiły Raula, przestał dawać widowisko ze swego podrażnienia. Margrabina podeszła doń ofiarując filiżankę herbaty i rzekła dość głośno, aby pani de Vandenesse mogła usłyszeć:

— Jest pan doprawdy paradny; niech pan zajrzy do mnie czasem o czwartej.

Raul uczył się obrażony słowem *paradny*, mimo że użyto go, aby posłużyło za paszport dla zaproszenia. Zaczął przysłuchiwać się, jak ci aktorzy, którzy przyglądają się sali, zamiast pamiętać, iż są na scenie. Blondet zlitował się nad nim.

— Mój drogi — rzekł, pociągając go do kąta — zachowujesz się w świecie tak, jakbyś był u Floryny. Tutaj nikt się nie unosi, nie robi długich artykułów; każdy rzuca, od czasu do czasu, sprytne słówko, przybiera spokojną minę w chwili, gdy ma największą ochotę wyrzucić ludzi przez okno, drwi nieznacznie, udaje, że zaledwie wyróżnia kobietę, którą ubóstwia, i nie tarza się po ziemi jak osioł na gościńcu. Albo wykradnij panią de Vandenesse, albo zachowuj się jak gentleman. Zanadto jesteś kochankiem z własnych książek.

Natan słuchał ze spuszczoną głową, był niby lew spowity w prześcieradła.

— Nigdy noga moja tu nie postanie — rzekł. — Ta margrabina z porcelanki za drogo sprzedaje mi swoją herbatę. Znajduje mnie *paradnym*! Rozumiem teraz, dlaczego Saint-Just<sup>103</sup> wyprawiał cały ten świeatek na gilotynę.

— Wrócisz jutro.

Blondet miał słuszość. Namiętności są równie podłe, jak okrutne. Nazajutrz, po długim bujaniu między: „Pójdę, nie pójdę”, Raul opuścił swoich współników w pełni ważnej dyskusji i pobiegł do pani d'Espard. Widząc, jak szumnie wjeżdża świetny kabriolet Rastignaka, podczas gdy on płacił u bramy dorożkę, Natan uczył ukąszenie próżności, postanowił mieć wytworny kabriolet i obowiązkowo *grooma*<sup>104</sup>. Pojazd hrabiny stał w dziedzińcu. Na ten widok serce Raula wzdęło się rozkoszą. Maria kroczyła pod ciśnieniem swych pragnień z regularnością wskazówki zegara poruszanej sprężyną. Hrabina znajdowała się w małym saloniku, przy kominku, wyciągnięta w fotelu. Zamiast spojrzeć w stronę Natana, kiedy go oznajmiono, patrzyła nań w lustrze, pewna, iż pani domu zwróci się ku niemu. Miłość, nękana czujnością oczu świata, zmuszona jest uciekać się do tych drobnych podstępów: daje życie zwierciadłom, zarekawkom, wachlarzom, mnóstwu rzeczy, których użyteczność nie od razu jest zrozumiała i których wiele kobiet używa, nie posługując się nimi.

Miłość niespełniona

<sup>101</sup>*miriada* (z gr.) — dziesięć tysięcy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*Argus* (mit. gr.) — stuoki olbrzym, pilnujący nimfy Io na rozkaz Hery. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Saint-Just, Louis de* (1767–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*groom* (ang.) — tu: chłopiec stajenny. [przypis edytorski]

— W chwili gdy pan wchodził — rzekła pani d'Espard, zwracając się do Natana i wskazując spojrzeniem de Marsaya — pan minister twierdził właśnie, że rojaliści i republikańscy są na drodze do porozumienia; musi pan coś o tym wiedzieć?

— A gdyby i tak było — rzekł Raul — gdzież w tym zbrodnia? Nienawidzimy tego samego, jesteśmy zgodni w nienawiści, różnimy się jedynie w miłości, oto wszystko.

— Skojarzenie conajmniej dziwne — rzekł de Marsay, obejmując rzutem oka hrabinę Feliksovą i Raula.

— Nie będzie trwale — rzekł Rastignac, który zanadto nieco myślał o polityce, jak wszyscy nowicjusze władzy.

— Co myślisz o tym, droga? — spytała pani d'Espard hrabiny.

— Nie rozumiem się nic na polityce.

— Wciągnie się w nią pani — rzekł de Marsay — i wówczas staniesz się podwójnie naszą przeciwniczką.

Natan i Maria zrozumieli to odezwanie dopiero, gdy de Marsay odszedł. Rastignac udał się za nim, zaś pani d'Espard przeprowadziła ich aż do drzwi pierwszego salonu. Kochankowie nie myśleli już o przycinkach ministra, sycili się tymi kilkoma minutami, które mieli dla siebie. Maria podała żywo rękę bez rękawiczki Raulowi, który ucałował ją, jak gdyby miał osiemnaście lat. Oczy hrabiny wyrażały taką pełnię szlachetnej czułości, iż Raul uczuł pod powiekami ową łzę, jaką mają zawsze na usługi mężczyźni o nerwowym temperamencie.

— Gdzie panią widzieć? mówić z panią? rzekł. Umarłbym, gdyby zawsze trzeba było maskować głos, spojrzenia, serce, miłość.

Wzruszona tą łzą, Maria przyrzekła być w lasku na przejażdżce za każdym razem, kiedy nie będzie zbyt brzydko. Przyrzeczenie to sprawiło Raulowi więcej szczęścia, niż mu go dała Floryna przez pięć lat.

— Mam tyle rzeczy do powiedzenia! Tak cięży mi milczenie, na które jesteśmy skazani.

Hrabina patrzyła nań z upojeniem, nie mogąc odpowiedzieć, kiedy weszła margrabina.

— Jak to! nie umiał pan nic odpalić de Marsayowi? — rzekła wchodząc.

— Trzeba szanować zmarłych — odparł Raul. — Czy nie widzi pani, że on dogasa? Rastignac jest jego siostrą miłosierdzia, ma nadzieję znaleźć kompensatę w testamencie.

Hrabina udała, że ma wizyty i pożegnała się, aby się nie zdradzić. Za cenę tego kwadransu Raul poświęcał swój najszacowniejszy czas i najbardziej palące interesy. Maria nie знаła jeszcze szczegółów tego życia ptaka na gałęzi, życia splecionego z najbardziej zawiłymi interesami, z najbardziej pochłaniającą pracą. Kiedy dwie istoty, zespolone wiekuiącą miłością, prowadzą życie zacieśnione z każdym dniem węzłami zwierzeń, wspólnym roztrząsaniem wylaniających się trudności; kiedy dwa serca wymieniają co wieczór lub rano swoje zale, jak usta wymieniają westchnienia, spotykają się w tych samych niepokojach, drżą wspólnie na widok przeszkody, wówczas wszystko się liczy: kobieta wie, ile miłości kryje się w umkniętym spojrzeniu, ile wysiłku w darowanej chwili; współdziała, krząta się, biegnie, żyje nadzieją, szamocze się wraz z mężczyzną zajęтым, udręczonym; szemrania swoje zwraca przeciw okolicznościom; nie wątpi już, zna i ocenia szczegóły życia.

Ale, w początkach uczucia, kiedy rozwija się tyle żaru, nieufności, wymagań, kiedy ludzie nie znają się wzajem; ale wobec kobiet niezatrudnionych, u których drzwi miłość powinna być zawsze na posterunku; ale wobec tych, które, szrubując<sup>105</sup> przesadnie swój punkt honoru, żądają posłuszeństwa we wszystkim, nawet wówczas, gdy nakazują błąd zdolny zrujnować człowieka, miłość nakłada w Paryżu, w naszej epoce, niemożliwe wysiłki. Kobiety światowe żyją dotąd pod władzą tradycji XVIII wieku, gdzie każdy miał pewne i określone stanowisko. Mało kobiet zna kłopoty istnienia większości mężczyzn, którzy wszyscy mają jakąś pozycję do zdobycia, wyrabiającą się sławę, fortunę do umocnienia. Dzisiaj ludzie, których egzystencja jest niewzruszona, liczy się na palcach; jedynie starcy mają czas kochać, młodzi ludzie żeglują na galerach ambicji jak Natan. Kobiety, jeszcze nie dość pogodzone z tą odmianą w obyczajach, same mając czasu do zbytku, przypisują równą jego ilość tym, którzy nie mają go dosyć; nie wyobrażają sobie innych zatrudnień,

<sup>105</sup>szrubując — dziś popr.: śrubując. [przypis edytorski]

innych celów niż ich własne. Gdyby kochanek zwyciężył lernejską hydrę<sup>106</sup>, aby przybyć na schadzkę, nie ma żadnej zasługi; wszystko zachodzi w cień wobec szczęścia oglądania go; czują dlań wdzięczność jedynie za swoje wzruszenia, nie dowiadując się, co kosztują. Skoro one, w ciągu swoich beczynnych godzin, wymyślą jedną z owych sztuczek, które mają na zawołanie, pyszną się nią jak klejnotem. Ty skręciłeś sztaby żelazne jakiejś konieczności, podczas gdy one wzuły mitenki<sup>107</sup>, przywdziały płaszczyk jakiegoś podstępu; im należy się palma i nie próbuj się o nią spierać! Mają zresztą słuszność: w jaki sposób nie skruszyć wszystkiego dla kobiety, która kruszy wszystko dla was? Wymagają tyle, ile dają. Wracając, Raul spostrzegł, jak trudno mu będzie równocześnie prowadzić romans w *świecie*, dziesięciokonny wóz dziennikarstwa, sztuki teatralne i swoje zabagnione interesy.

— Dziennik będzie dziś haniebny — rzekł do siebie — nie będzie mojego artykułu, i to w drugim numerze!

Pani Feliksowa de Vandenesse była trzy razy w lasku Bulońskim; nie mogąc spotkać Raula, wracała zrozpaczona, niespokojna. Natan nie chciał się tam pokazać inaczej, niż w blasku księżycy prasy. Obrócił cały tydzień na wyszukanie pary koni, przyzwoitego kabrioletu i *grooma*, na przekonywanie współników o konieczności oszczędzania czasu równie cennego, jak jego, i pomieszczenia jego ekwipażu w ogólnych kosztach dziennika. Wspólnicy, Massol i du Tillet, zgodzili się tak chętnie na to życzenie, iż stali się w jego oczach najpocziwszymi chłopcami pod słońcem. Bez tej pomocy życie byłoby dla Raula niemożliwe; stało się zresztą tak ciężkie, mimo iż przeplatane najbardziej delikatnymi rozkoszami idealnej miłości, iż wielu ludzi nawet najtęższej konstytucji<sup>108</sup> nie poddałoby takim ekspensom<sup>109</sup>. Gwałtowna i szczęśliwa miłość zajmuje już wiele miejsca w zwyczajnej egzystencji; ale kiedy podnosi oczy na kobietę postawioną tak wysoko, jak pani de Vandenesse, musi pochłonąć życie człowieka zajętego jak Raul. Oto wymagania, jakie namiętność jego narzucała mu przed wszystkimi innymi. Trzeba mu było znajdować się prawie codziennie, między drugą a trzecią, konno, w lasku Bulońskim, w stroju najbardziej próżniaczego gentlemana. Tam dowiadywał się, w jakim domu, w jakim teatrze ujrzy wieczorem panią de Vandenesse. Opuszczał salony dopiero koło północy, schwytywszy w lot parę zdań długo wyczekiwanych, kilka okruchów czułości uszczkniętych pod stołem, w przejściu drzwi lub na wsiadającym do powozu. Maria, która pchnęła go w wielki świat, uzyskiwała dlań zaproszenia na obiady w domach, gdzie bywała sama. Czyż to nie całkiem proste? Przez dumę, porwany namiętnością, Raul nie śmiał mówić o swej pracy. Trzeba było być posłusznym kapryśnym zachceniom niewinnej władczyni, a równocześnie śledzić debaty parlamentarne, wir polityki, czuwać nad redakcją i wystawić dwie sztuki, z których dochód był nieodzowny. Wystarczyło, aby pani de Vandenesse zrobiła minkę, kiedy Raul chciał się zwolnić od bytności na balu, koncercie, przechadzce, aby poświęcił swoje interesy dla jej przyjemności. Opuszczając towarzystwo około pierwszej lub drugiej nad ranem, wracał pracować aż do ósmej lub dziewiątej, ledwie że spał trochę, budził się, aby konferować co do opinii dziennika z wpływowymi ludźmi, od których był zawisły, aby rozstrząsać tysiąc i jedną wewnętrzną kwestię pisma. Dziennikarstwo styka się, w naszej epoce, ze wszystkim; z przemysłem, z interesami publicznymi i prywatnymi, z nowymi przedsięwzięciami, ze wszystkimi ambycjami literatury i jej płodami. Zmęczony, wyczerpany, Natan biegł z gabinetu redakcyjnego do teatru, z teatru do Izby, z Izby do któregoś z wierzycieli, a równocześnie trzeba mu było okazywać się spokojnym, szczęśliwym wobec Marii, galopować u drzwiczek jej powozu ze swobodą człowieka bez trosk, który nie zna innych trudów niż trudy szczęścia. Kiedy, za cenę tyłu nieznanych poświęceń, otrzymywał jedynie bardzo słodkie słowa, najtkliwsze zapewnienia wiecznego przywiązania, gorące uściska dłoni uzyskane w ciągu paru chwil samotności, namiętne wykrzykniki odwzajemniające jego zaklęcia, sądził iż jednak popelnia pewną naiwność, tając olbrzymią cenę, jaką płaci te drobne daniny uczucia. Sposobność do wyjaśnień niedługo dała na siebie czekać. W piękny kwietniowy dzień, hrabina przyjęła ramię Natana w ustronnej okolicy lasku Bulońskiego; zamierzała mu wytoczyć miluchną sprzeczkę,

<sup>106</sup> *hydra lernejska* (mit. gr.) — wielogłowy potwór, zabity przez Heraklesa. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *mitenki* — rękawiczki częściowo odsłaniające palce. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *konstytucja* — tu: budowa, organizm. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *ekspens* (daw.) — wydatek (tu również w sensie: wydatek energii). [przypis edytorski]

mającą za przedmiot owe *nic*, na których kobiety umieją wznosić góry. Zamiast powitać go z uśmiechem na ustach, z czołem promiennym od szczęścia, z oczyma ożywionymi jakąś sprytną i wesołą myślą, ukazała się poważna i surowa.

— Co pani? — spytał Natan.

— Niech się pan nie zajmuje tymi drobiazgami; powinien pan wiedzieć, że kobiety to dzieci.

— Czy uraziłem czym panią?

— Byłażbym tutaj?

— Ale nie uśmiechasz się do mnie, nie wydajesz się szczęśliwa, że mnie widzisz.

— Dąsam się, nieprawdaż? — rzekła, spoglądając nań z ową poddańczą minką, za pomocą której kobiety umieją przybierać wygląd ofiary.

Natan szedł obok z uczuciem niepokoju, ze ściśniętym sercem, przygnębiony.

— Będzie to zapewne — rzekł po chwili milczenia — coś z rzędu owych błahych obaw, owych mglistych podejrzeń, które pani stawia powyżej największych spraw życia; ma pani sztukę przeważania szali świata, rzucając na wagę ułamek słomki, źdźbło.

— Ironia?... Spodziewałam się tego — rzekła spuszczać głowę.

— Mario, czy nie widzisz, aniele mój, że rzekłem te słowa, aby ci wydrzeć tajemnicę?

— Moja tajemnica będzie zawsze tajemnicą, nawet wówczas kiedy ją panu zwierzę.

— Dobrze więc, powiedz...

— Nie kochasz mnie — ciągnęła, rzucając mu owo skośne i podstępne spojrzenie, jakim kobiety umieją tak chytrze indagować<sup>110</sup> mężczyznę, wówczas gdy go chcą dręczyć.

— Nie Kocham?... — wykrzyknął Natan.

— Tak, zajmuje się pan zbyt wieloma rzeczami. Czym ja jestem pośród całego tego ruchu? zapomnianą przy każdej sposobności. Wczoraj byłam w Lasku, czekałam na pana...

— Ależ...

— Włożyłam dla pana nową suknię i pan się nie zjawił; gdzie byłeś?

— Ale...

— Nie wiedziałam. Jadę do pani d'Espard, nie zastaję tam pana.

— Ale...

— Wieczorem, w Operze, oczu nie spuściłam z balkonu. Za każdym razem, kiedy drzwi się otwierały, serce biło mi tak, że mało nie pękło.

— Ale...

— Cóż za wieczór! Nie ma pan nawet pojęcia o tych burzach serca.

— Ale...

— Życie ściera się w takich wzruszeniach...

— Ale...

— Zatem? — rzekła.

— Tak, życie ściera się — rzekł Natan — i pani, w kilka miesięcy, pochłoniesz moje. Twoje szalone wymówki wydzierają mi również moją tajemnicę... Ha! Nie Kocham cię?... Znadto Kocham...

Odmalował żywo swoje położenie, opowiedział prace nocne, wyszczególnił obowiązki wiążące go o oznaczonych godzinach, konieczność wywalczenia sukcesu, nienasycone wymagania dziennika, gdzie jest się zniewolonym sądzić, wcześniej od ogółu, wypadki, nie myśląc się pod groźą utraty władzy, wreszcie ileż pośpiesznych studiów nad kwestiami, które w tej gorączkowej epoce przepływają równie pośpiesznie, jak chmury!

Raul zmazał łatwo swoje winy. Margrabina d'Espard powiedziała mu: nie ma nic bardziej naiwnego niż pierwsza miłość. Okazało się niebawem, iż hrabina winną była przez nadmiar miłości. Kobieta Kochająca oddziałuje na wszystko rozkoszą, skruczą lub przyjemnością. Widząc roztaczające się przed nią to olbrzymie życie, hrabina uczuła podziw. Już wprzód Natan wydał się jej bardzo wielkim, obecnie stał się wzniosłym. Oskarżała siebie, iż nadto go Kocha, prosiła, aby przychodził, kiedy może; spłaszczyła te mozoły ambitnego człowieka spojrzeniem podniesionym ku niebu. Będzie czekała! Odtąd potrafi poświęcić swoje przyjemności. Chcąc być jedynie podnóżkiem, była przeszkodą!... płakała z rozpacz.

— Kobiety — rzekła ze łzami w oczach — mogą tedy tylko Kochać; mężczyźni mają

Miłość, Praca

<sup>110</sup>indagować — wypytywać. [przypis edytorski]

tysiąc sposobów działania: my możemy jedynie myśleć, modlić się, ubóstwiać.

Tyle miłości wymagało nagrody. Rozejrzała się jak słowik, który chce sfrunąć z gąsienicy do źródła, czy jest sama w pustkowiu, czy cisza nie kryje jakiego świadka, następnie podniosła głowę ku Raulowi, który pochylił swoją; pozwoliła mu uszczknąć pocałunek, pierwszy, jedyny jakiego miała użyć pokątnie, i uczuła się w tej chwili bardziej szczęśliwą niż kiedykolwiek od lat pięciu. Raul uczył, iż otrzymał zapłatę za wszystkie trudy. Oboje szli, nie bardzo wiedząc dokąd, drogą z Auteuil do Boulogne. Trzeba było wracać do pojazdów; posuwali się z wolna, owym równym i rytmicznym krokiem, który znają kochankowie. Raul miał wiarę w ten pocałunek, dany z ową skromną prostotą, jakiej używa świętość uczucia. Wszystko złe płynęło ze świata, nie z tej kobiety tak zupełnie mu oddanej. Raul nie żałował udręczeń swego opętanego życia, o których Maria musiała zapomnieć w ogniu pierwszego pragnienia, jak wszystkie kobiety, które nie widzą, godzina po godzinie, straszliwych walk owych wyjątkowych egzystencji. Przejęta tym pełnym wdzięczności podziwem jaki cechuje miłość kobietą, Maria biegła pewnym, zwinnym krokiem po delikatnym piasku bocznej alei, mówiąc, jak i Raul, mało, ale z serca i do serca. Niebo było czyste, drzewa puszczały pączki, tysiączne brunatne pędzle ożywiały się tu i ówdzie zielonymi perłami. Krzewy, brzozy, wierzby, topole barwiły się pierwszą, delikatną, jeszcze przezrystą zielonością. Żadna dusza nie zdoła się oprzeć podobnym harmoniom. Miłość dała hrabinie zrozumieć naturę, tak jak jej wytłumaczyła społeczeństwo.

— Chciałabym, abyś nie kochał nikogo przede mną! — rzekła.

— Twoje życzenie jest spełnione... Objawiliśmy sobie wzajem prawdziwą miłość.

Mówił prawdę. Przybierając, wobec tego młodego serca, pozę czystości, Raul wziął się na lep własnych frazesów. Zrodzona zrazu wyłącznie z wyrachowania i próżności, miłość jego stała się szczerą. Zaczął od kłamstwa, skończył na tym, iż mówił prawdę. Istnieje zresztą u każdego pisarza trudne do zdławienia uczucie, które skłania go do podziwu wobec moralnego piękna. Wreszcie, w miarę ponoszonych ofiar, człowiek przywiązuje się do istoty, która ich wymaga. Damy światowe, tak samo jak kurtyzany, mają instynkt tej prawdy; może nawet praktykują ją bez świadomości. Toteż, po pierwszym wylewie wdzięczności i zdumienia, hrabina oczarowana była, iż natchnęła kogoś tyłą poświęcenia, iż zmusiła do przezwyciężenia tylu trudności. Była miłością człowieka godnego jej. Raul nie wiedział, do czego zobowiąże go fałszywa wielkość; kobiety bowiem nie pozwalają kochankowi zejść z piedestału. Nie przebacza się bogu najmniejszej małości. Maria nie znała słowa-zagadki, jakie Raul zwierzył przyjaciółom na wieczery u Veryego. Walka tego pisarza w ostatnich szeregach zajęła dziesięć pierwszych lat młodości; chciał być kochany przez jedną z królowych wielkiego świata. Próżność, bez której miłość jest bardzo wątła, powiedział Chamfort<sup>111</sup>, podtrzymywała jego namiętność i miała ją wzmacniać z dnia na dzień.

— Czy możesz mi przysiąc — rzekła Maria — że nie należysz i nie będziesz nigdy należał do żadnej kobiety?

— Zarówno nie byłoby w moim życiu czasu dla innej kobiety, jak nie byłoby dla niej miejsca w moim sercu — odpowiedział, szczerzy w tej chwili, tak bardzo gardził Floryną.

— Wierzę ci — rzekła.

Skoro doszli do alei, w której czekały powozy, Maria porzuciła ramię Natana, który przybrał postawę pełną szacunku, tak jakby ją właśnie spotkał; przeprowadził ją z odkrytą głową aż do pojazdu; następnie pomknął za nią aleją Karola X, wdychając pył wznoszący się spod kół kolaski i ścigając wzrokiem pióra w kształcie wierzby płaczącej powiewające na wietrze.

Mimo szlachetnych wyrzeczeń Marii, Raul, party namiętnością, znajdował się wszędzie, gdzie ona była; ubóstwiał tę niezadowoloną zarazem i szczęśliwą minkę, jaką przybierała hrabina, daremnie siłąc się go polajać, iż trwoni czas tak bardzo mu potrzebny. Maria ujęła w ręce kierunek prac Raula, udzieliła mu formalnych rozkazów co do użytku godzin, nie wychodziła z domu, aby mu odjąć wszelki pozór do rozproszeń. Czytywała co rano dziennik, stała się heroldem sławy Stefana Lousteau, felietonisty, który wydał się jej

<sup>111</sup> Chamfort, *Sébastien-Roch de* (1741–1794) — francuski literat epoki Oświecenia, autor licznych maksym i złotych myśli. [przypis edytorski]



czarujący, Felicjana Vernon, Klaudiusza Vignon, słowem wszystkich współpracowników Natana. Wpłynęła na Raula, aby oddał sprawiedliwość de Marsayowi, kiedy umarł, i przeczytała z upojeniem wielką i piękną pochwałę, jaką Raul skreślił dla zmarłego ministra, potępiając zarazem jego machiawelizm i nienawiść mas. Była oczywiście obecna w prosceniowej<sup>112</sup> łoży *Gymnase*, ma premierze sztuki, na którą Natan liczył i której sukces zdawał się olbrzymi. Dała się oszukać burzy kupionych oklasków.

— Nie byłaś dzisiaj pożegnać się z *Włochami*? — spytała lady Dudley, do której udała się po przedstawieniu.

— Nie, byłam na premierze w *Gymnase*.

— Nie mogę ścierpieć wodewilu<sup>113</sup>. Jestem na tym punkcie jak Ludwik XIV<sup>114</sup> na punkcie Teniersów<sup>115</sup> — rzekła lady Dudley.

— Ja — rzekła pani d'Espard — uważam, że autorowie zrobili postępy. Wodewil zmienił się dziś w urocze komedie, pełne dowcipu i wymagające dużo talentu; toteż bawię się na nich przednio.

— Aktorzy są zresztą wyborni — rzekła Maria. W *Gymnase* grali dziś wieczór znakomicie; sztuka trafiała im do przekonania, dialog jest żywy, dowcipny.

— Jak u Beaumarchais'go<sup>116</sup> — rzekła lady Dudley.

— Pan Natan nie jest jeszcze Molierem; ale... — rzekła pani d'Espard, patrząc na hrabinę.

— Robi wodewile — rzekła pani Karolowa de Vandenesse.

— I zwala ministeria — dodała pani de Manerville.

Hrabina milczała; byłaby chciała odpowiedzieć wyostrzonym epigramem; czuła, iż serce jej wzbiera od napływu wściekłości; nie znalazła nic lepszego nad odpowiedź:

— Będzie je może stwarzał.

Wszystkie kobiety wymieniły wzrok tajemniczego porozumienia. Skoro Maria de Vandenesse odeszła, Mioïna de Saint-Héren wykrzyknęła:

— Ależ ona ubóstwia Natana!

— I nawet nie kryje się z tym zbyt — rzekła pani d'Espard.

Nadszedł maj; Vandenesse zabrał żonę na wieś, gdzie jedyną jej pociechą były namiętne listy Raula, do którego pisywała codziennie.

Nieobecność hrabiny byłaby mogła wyratować Raula z otchłani, w której postawił nogę, gdyby Floryna była przy nim; ale był sam, pośród przyjaciół, którzy stali się tajonymi wrogami od chwili, gdy objawił chęć górowania nad nimi. Współpracownicy nienawidzili go w danej chwili, gotowi zresztą podać mu rękę i pocieszyć w razie upadku, a ubóstwiać go w razie tryumfu. Tak toczy się światek Literacki. Lubi się tam jedynie niższych od siebie. Każdy jest nieprzyjacielem tego, kto dąży do wywyższenia. Ta powszechna zawiść dziesięciokrotnia widoki ludzi miernych, którzy nie budzą zazdrości ani podejrzeń. Ci posuwają się swoją drogą na sposób kretów, i, mimo swej tępoty, zdobywają w „Monitorze” tłuste posadki, podczas gdy ludzie z talentem biją się jeszcze u drzwi, aby sobie przeszkodzić wejść. Głucha nieprzyjaźń tych rzekomych przyjaciół, którą Floryna byłaby przemknęła z wrodzoną kurtyzanom sztuką odgadnięcia prawdy wśród tysiąca hipotez, nie była największym niebezpieczeństwem. Dwaj współnicy, adwokat Massol i bankier du Tillet, umyślili zaprząć jego zapal do wozu, w którym się rozpierali, wyparować<sup>117</sup> go, gdy już nie będzie zdolny dostarczać dziennikowi żeru, i pozbawić go tej wielkiej siły z chwilą, gdy oni zechcą się nią posłużyć. Dla nich Natan reprezentował pewną sumę do pożarcia, potęgę literacką o sile dziesięciu piór do zużycia. Massol, jeden z tych adwokatów, którzy sztukę mówienia bez końca biorą za wymowę, którzy, wedle znanej definicji, posiadają sekret znudzenia mówiąc wszystko, plaga zgromadzeń, na których obniżają wszelką rzecz,

<sup>112</sup>*prosceniowy* — znajdujący się na proscenium, tj. na odsłoniętej części sceny, znajdującej się przed kurtyną. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*wodewil* — komedia lub farsa z wstawkami w formie piosenek i scenek baletowych. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji z dynastii Burbonów, zwolennik absolutyzmu, określany jako Król Słońce. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Teniers* — nazwisko rodziny malarzy holenderskich: David Teniers starszy (1582–1649), David Teniers młodszy (1610–1690), David Teniers III (1638–1685). [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Beaumarchais, Pierre-Augustin* (1732–1799) — pisarz i dramaturg francuski, autor komedii takich jak *Wesele Figara* czy *Cyrulik sewilski*. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*wyparować* — tu: wyprzać. [przypis edytorski]

chcąc, za każdą cenę, wysunąć się na pierwszy plan, nie marzył już o tece Sprawiedliwości; widział, jak, w ciągu czterech lat, przesunęło się pięciu czy sześciu tych dygnitarzy i zniechęcił się do ministerialnego fraka. Jako odszkodowanie za tekę chciał katedry fakultetu prawnego, miejsca w Radzie Stanu, wszystko zaprawne krzyżem Legii Honorowej. Du Tillet i Nucingen gwarantowali mu krzyż i godność referendarza<sup>118</sup>, jeżeli będzie im szedł na rękę; osądził, iż dają większe gwarancje niż Natan i słuchał ich ślepo. Aby lepiej uspić Raula, ludzie ci pozwalali mu wykonywać w dzienniku władzę bez kontroli. Du Tillet posługiwał się dziennikiem jedynie w interesach giełdowych, na których Raul nic się nie rozumiał; ale przez barona de Nucingen zawiadomił już Rastignaka, że dziennik będzie po cichu popierał rząd, pod jedynym warunkiem, aby wspomógł jego kandydaturę w zastępstwie p. de Nucingen, przyszłego para Francji. Nucingen został, swego czasu, posłem w jakimś zapadłym kącie o szczupłej liczbie wyborców, dokąd obecnie wysyłano dziennik obficie i *gratis*. Tak więc Raul był igraszką w rękę bankiera i adwokata, którzy z nieskończoną przyjemnością patrzyli na to, jak króluje w dzienniku. Korzystając ze wszystkich przewag, zgarniając wszystkie owoce miłości własnej i inne, Natan, zachwycony, uważał współników, jak w czasie owej kwestii funduszy *lokomocyjnych*, za najpocziwszych chłopców w świecie, i sądził, że ich wyprowadził w pole. Nigdy ludzie wyobraźni, dla których nadzieja jest podstawą życia, nie chcą sobie powiedzieć, że w interesach najniebezpieczniejszym momentem jest ten, kiedy wszystko idzie wedle ich życzeń. Była to chwila tryumfu, z której zresztą skorzystał Natan, zdobywając sobie wejście w świat polityczny i finansowy; du Tillet przedstawił go Nucingenom. Pani de Nucingen przyjęta jak najlepiej Raula, nie tyle dla<sup>119</sup> niego, ile dla pani de Vandenesse; ale kiedy natrąciła<sup>120</sup> parę słów o hrabinie, Natan sądził, iż okaże niepospolitą delikatność czyniąc sobie parawan z Floryny; rozwiódł się z zadowoloną z siebie szlachetnością nad stosunkiem swoim z aktorką, niepodobnym do zerwania. Czyż opuszcza się pewne szczęście dla paru zalotnych minek arystokratki? Natan, wodzony za nos przez Nucingena i Rastignaka, przez du Tilleta i Blondeta, użyczył szumnie swego poparcia oportunistom, celem stworzenia ich przelotnego gabinetu. Następnie, aby dojść do władzy czystym, uchylił się ostentacyjnie od korzyści w kilku przedsiębiorstwach, które zawiązały się przy pomocy dziennika; on, który nie wahał się „wpakować” przyjaciół i postąpić sobie niezbyt skrupulatnie z paroma przemysłowcami w pewnych krytycznych momentach! Kontrasty te, zrodzone z próżności i ambicji, spotyka się w wielu podobnych egzystencjach. Potrzeba, aby płaszcz był wspinały dla publiczności, ściąga się tedy sukno u przyjaciół, aby pozatykać dziury. Mimo to, w dwa miesiące po wyjeździe hrabiny, Raul przeżył kwadransik, który, pośród całego tryumfu, zdjął go pewnym niepokojem. Du Tillet zaliczył już naprzód sto tysięcy franków. Pieniądze dane przez Florynę, pierwszy wkład Natana, pochłonął *fiskus* i koszta puszczenia w ruch pisma, które były olbrzymie. Trzeba było myśleć o przyszłości. Bankier przyszedł pisarzowi z pomocą, przyjmując jego weksle<sup>121</sup> na pięćdziesiąt tysięcy z terminem czteromiesięcznym. W ten sposób du Tillet trzymał Raula na uzdzie. Przy pomocy tego dodatku koszta dziennika były zapewnione na pół roku. W oczach niektórych pisarzy to wieczność. Zresztą przy pomocy anonsów<sup>122</sup>, komiwojażerów<sup>123</sup>, dzięki złudnym korzyściom ofiarowanym abonentom, zebrano ich dwa tysiące. Ten połowiczny sukces ośmielał do rzucania banknotów w to palenisko. Jeszcze trochę wysiłków talentu, niech przyjdzie jakiś proces polityczny, pozorne prześladowanie, i Raul stawał się jednym z owych nowoczesnych kondotierów<sup>124</sup>, których atrament zastępuje dzisiaj dawny proch armatni. Na nieszczęście, układ ten zawarto w chwili gdy Floryna wróciła, przywożąc około pięćdziesięciu tysięcy franków. Zamiast stworzyć sobie fundusz rezerwowowy, Raul, pewien powodzenia, które było mu tak nieodzowne, już upokorzony iż poprzednio przyjął pieniądze aktorki, urosłszy wewnątrz we własnych oczach przez swą miłość, odurzony podstępny pochwałami swych dworaków, oszukał Florynę co do położenia

<sup>118</sup>referendarz — urzędnik administracji państwowej. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>dla (daw.) — ze względu na. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>natrącić (daw.) — wspomnieć, zahaczyć o jakiś temat. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>weksel — dokument zobowiązujący do zapłaty pewnej sumy w określonym terminie. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>anons — ogłoszenie. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>komiwojażer — podróżujący przedstawiciel handlowy. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>kondotier — najemnik. [przypis edytorski]

i zmusił ją, aby użyła tej sumy na stworzenie na nowo domu. Aktorka, której nie było trzeba dwa razy tego powtarzać, wpakowała się w trzydzieści tysięcy franków długu. Wynajęła rozkoszny domek, cały dla siebie, przy ulicy Pigalle, gdzie wróciło jej dawne towarzystwo. Dom dziewczyny postawionej tak jak Floryna stanowił neutralny teren, bardzo sposobny dla ambitnych polityków, którzy traktowali<sup>125</sup>, jak Ludwik XIV u Holendrów, bez Raula o Raula. Natan zachował na powrót aktorki sztukę, której główna rola znakomicie się jej nadawała. Sztuka ta, rodzaj dramatycznego wodewilu, miała być pożegnaniem Raula ze sceną. Dzienniki, których ta uprzejmość dla Raula nic nie kosztowała, przygotowały taką owację dla Floryny, że Komedia Francuska<sup>126</sup> zaczęła mówić o *engagement*<sup>127</sup>. Felietoniści wskazywali we Florynie następczynię panny Mars. Tryumf ten dostatecznie oszołomił aktorkę, aby jej przeszkodzić w studiowaniu terenu, po którym kroczył Natan; żyła w świecie uczt i festynów. Królując nad tym dworem pełnym cisnących się suplikantów<sup>128</sup>, ten za swoją książką, ten za sztuką, ten za tancerką, za teatrem, za przedsiębiorstwem, za reklamą, pogrążała się we wszystkich rozkoszach potęgi prasy, widząc w nich przedświt ministerialnych wpływów. Wedle głosu tych, którzy ją odwiedzali, Natan był wielkim mężem politycznym. Natan nie przerachował się w swoim przedsięwzięciu, będzie posłem, z pewnością i ministrem przez jakiś czas, jak tylu innych. Aktorki z trudnością powiadają *nie* temu, co im schlebia. Krytyki teatralne przyznawały Florynie zbyt wiele talentu, aby mogła nie ufać dziennikowi i tym, co go robią. Zbyt mało знаła mechanizm prasy, aby troszczyć się o środki. Dziewczęta z rodzaju Floryny widzą zawsze jedynie rezultaty. Co do Natana, wierzył wówczas, że, z następną sesją, dojdzie do upragnionego celu, wraz z dwoma dziennikarzami, z których jeden, wówczas minister, starał się wyparować kolegów, aby się umocnić. Po półrocznej nieobecności Natan ujrzał Florynę z przyjemnością i wrócił niedbale do swych przyzwyczajzeń. Ciężkie brzemie tego życia zahaftowywał tajemnie najpiękniejszymi kwiatami idealnej miłości oraz przyjemnościami, jakie siała w nim Floryna. Listy jego do Marii były arcydziełem miłości, wdzięku i stylu. Natan czynił z niej światło swego życia, nie przedsięwziął nic, nie poradziwszy się swego dobrego geniusza. Zrozpaczony, iż znajduje się po stronie gminu, chciał chwilaми chwycić się sztandaru arystokracji, ale, mimo iż mistrz nad mistrze w ekwilibrystyce pióra, widział absolutną niemożliwość przeskoczenia z lewicy na prawicę; łatwiej było zostać ministrem. Cenne listy Marii spoczywały w portfelu z tajemniczym zamkiem, ofiarowanym przez Hureta czy Ficheta, jednego z dwóch mechaników, bijących się w tej chwili w Paryżu na ciosy anonsów i afiszów, który z nich wykona bardziej nieprzenikniony i dyskretny zamek. Portfel ten spoczywał w nowym buduarze Floryny, gdzie Raul pracował. Nie ma istoty łatwiejszej do oszukania, niż kobieta, której się zwykło wszystko mówić; nie wystrzega się niczego, sądzi że wszystko widzi i wie. Zresztą, od czasu powrotu, aktorka patrzyła na życie Natana i nie widziała w nim nic nieprawidłowego. Nigdy nie wpadłaby na myśl, że portfel ten, ledwie że zauważony, zamykany bez afektacji, zawiera skarby miłości, listy rywalki, które, zgodnie z prośbą Raula, hrabina adresowała do redakcji. Położenie Natana zdawało się tedy nad wyraz świetne. Miał wielu przyjaciół. Dwie sztuki napisane do spółki dostarczały środków zbytku i odejmowały wszelką troskę o przyszłość. Zresztą nie troszczył się absolutnie o wiarygodność du Tilleta, swego druha.

— Jak podejrzewać przyjaciela? — powiadał, kiedy, w pewnych momentach, Blondet, w swoim zwyczaju analizowania wszystkiego, wyrażał niejaki obawy.

— Ależ nieprzyjaciół nie potrzebujemy podejrzewać — mówiła Floryna.

Natan bronił du Tilleta. Du Tillet był to najlepszy, najuczynniejszy, najzacniejszy człowiek. Ta egzystencja tancerza na linie bez drążka utrzymującego równowagę przerażały każdego, nawet obojętnego świadka, gdyby przeniknął jej tajemnicę; ale du Tillet patrzył na nią ze stoicyzmem i z suchym okiem parweniusza. Przyjacielska dobroduszość w stosunkach z Natanem kryła piekielne szyderstwo. Jednego dnia, uściśnął mu dłoń wychodząc od Floryny i patrzył, jak wsiada do kabrioletu.

— Pędzi to do Lasku z miną urodzonego księcia — rzekł do Stefana Lousteau, wcielonego zawistnika — a za pół roku znajdzie się może pod kluczem za długi.

<sup>125</sup>traktować — tu: negocjować. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Komedia Francuska — Comédie-Française, francuski teatr narodowy. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>engagement (fr.) — angaż, zatrudnienie. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>suplikant — petent, osoba przedstawiająca prośbę. [przypis edytorski]

— On? Nigdy! — wykrzyknął Lousteau; — Floryna do tego nie dopuści.

— Któż ci ręczy, mój chłopcze, że będzie dbała oń jeszcze? Co do ciebie, który wart go jesteś tysiąc razy, będziesz z pewnością za pół roku naszym naczelnym redaktorem.

W październiku zapadł termin weksli; du Tillet odnowił je uprzejmie, ale na dwa miesiące, pomnożone eskontem<sup>129</sup> i nową pożyczką. Pewien zwycięstwa, Raul czerpał w worku, nie myśląc o przyszłości. Pani de Vandenesse miała wrócić za kilka dni, o miesiąc wcześniej niż zwykle, sprowadzona szalonym pragnieniem widzenia Natana; nie chciał tedy kłopotów pieniężnych w chwili, gdy znów zaczynało się dlań życie walki. Korespondencja, w której pióro zawsze jest śmielsze od słowa, w której przystrojona kwiatami myśl wszystkiego sięga i wszystko może powiedzieć, doprowadziła hrabinę do najwyższego stopnia egzaltacji; widziała w Raulu jednego z najświetniejszych geniuszów epoki, szlachetne i zapoznane serce bez skazy i godne ubóstwienia; widziała go ściągającego rychło śmielszą rękę na różdżkę władzy. Niebawem słowo jego, tak piękne w miłości, zagrzmi z trybuny. Maria żyła już tylko tym życiem, zamkniętym niby klamrami globusu, w których środku znajduje się świat. Niewrażliwa na spokojne słodczy małżeństwa, istniała wzruszeniami tego zawrotnego życia, dawkowanymi umiejętnym i rozkochanym piórem; całowała te listy pisane pośród szczytnych walk myśli, odkradane godzinom wytężonej pracy i czuła całą ich cenę. Była pewną, że jest jedyną miłością i że ma za rywalki, jeno ambicję i sławę. W ten sposób, w swojej samotni, żyła całą pełnią sił, czuła się szczęśliwa, iż tak dobrze wybrała: Natan był aniołem. Na szczęście wyjazd hrabiny na wieś i zapory, jakie istniały między nią a Raulem, ukreśliły głowę plotkom wścibskiego świata. W ostatnich dniach października Maria i Raul podjęli tedy swoje przechadzki w Lasku; aż do chwili, w której salony się otworzą, mogli się widywać jedynie tam. Raul mógł nieco swobodniej kosztować czystych, niezrównanych rozkoszy swego idealnego życia i kryć je przed Floryną: pracował nieco mniej, dziennik wszedł już na regularniejszą tory, każdy redaktor znał swoje obowiązki. Zaczął mimo woli czynić porównania, które, bez uszczerbku dla hrabiny, wypadły wszystkie na korzyść aktorki. Zmiażdżony na nowo wysiłkami, na jakie skazywała go miłość dla kobiety z wielkiego świata, absorbująca wraz serce jego i głowę, Raul znalazł nadludzkie siły aby istnieć naraz na trzech teatrach: świata, dziennika i kulis. W chwili gdy Floryna, która była mu wdzięczna za wszystko, która dzieliła niemal pracę jego i niepokoje, ukazywała się i znikła w porę, sypiąc mu garściami rzeczywiste szczęście, bez frazesów, bez akompaniamentu wyrzutów, hrabina, o nienasyconych oczach, o czystym łonie, zapoznawała te olbrzymie prace i wysiłki czynione często, aby ją widzieć na chwilę. Miał dążyć do panowania, Floryna pozwalała się brać, opuszczać, brać na nowo, z gibkością kota, który spada na cztery łapy i wstrząsa uszkami. Ta łatwość obyczajów zgadza się doskonale z potrzebami człowieka myśli; każdy artysta byłby z niej korzystał, jak to czynił Natan, nie porzucając pościgu za tym pięknym idealnym uczuciem, i za tą wspaniałą namiętnością, która czarowała instynkty poety, jego ukryte kulty, próżnostki społeczne. Przekonany o katastrofie, jaka byłaby następstwem niedyskrecji, powiedział sobie: „Hrabina ani Flora nie dowiedzą się o niczym!” Były tak daleko jedna od drugiej! Z początkiem zimy Raul znów ukazał się w świecie na szczycie blasku: stał się niemal osobistością. Rastignac, który postradał tekę usuniętą z powodu śmierci de Marsaya, wspierał się na Raulu i wspierał jego swymi pochwałami. Wówczas pani de Vandenesse zapragnęła dowiedzieć się, czy jej mąż zmienił zdanie co do Natana. Po upływie roku zagadnęła znowu o niego, w mniemaniu że zyskała prawo do wspaniałego odwetu, tak miłego sercu każdej kobiety, nawet najszlachetniejszej, najmniej ziemskiej; można bowiem iść o zakład, że anioły, kupiąc się<sup>130</sup> koło Świętego świętych, podlegają jeszcze walkom miłości własnej.

— Brakowało mu jeszcze tego, aby się stał zabawką w ręku intrygantów — odparł hrabia.

Feliks, któremu doświadczenie światowca i polityka pozwalały widzieć jasno, przeniknął położenie Raula. Wytłumaczył spokojnie żonie, że zamach Fiesehiego miał za rezultat to, iż skupił ludzi obojętnych dokoła interesów zagrożonych w osobie Ludwika Filipa. Dzienniki bez wyraźnie zdecydowanej barwy stracą w tych warunkach abonentów, po-

<sup>129</sup> *eskonto* — dyskonto; potrącenie części wartości weksli wykupionych przed terminem. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *kupić się* — skupiać się, grupować. [przypis edytorski]

nieważ dziennikarstwo uprości się wraz z polityką. Jeżeli Natan postawił swą fortunę na kartę dziennika, padnie wkrótce. Ten rzut oka, tak prosty, tak jasny, mimo iż udzielony w intencji oświetlenia obojętnej kwestii przez człowieka, który umiał obliczać widoki każdej partii, przeraził panią de Vandenesse:

— Interesuje cię tedy ta figura? — zapytał Feliks żony.

— Ot, jak człowiek, którego dowcip mnie bawi, którego rozmowa mnie zajmuje.

Odpowiedź tę rzuciła tak naturalnym tonem, iż hrabia nie domyślił się niczego.

Nazajutrz, o czwartej, u pani d'Espard, Maria i Raul mieli ściszym głosem długą rozmowę. Hrabina wyraziła obawy, które Raul rozproszył, szczęśliwy iż może podkopać szyderstwem małżeńską wielkość Feliksa. Natanowi też leżał odwet na sercu. Odmalował hrabiego jako umysł małej miary, wstecznika, który chce sądzić rewolucję lipcową<sup>131</sup> skąd Restauracji, który wzdraga się widzieć tryumf klasy średniej, nowe siły społeczeństwa, przemijające lub trwale, ale rzeczywiste. Pojęcie wielkich panów stało się już niemożliwe, nadchodziło królestwo prawdziwych wyższości. Zamiast wziąć pod rozwagę pośrednie i bezinteresowne przestrogi wytrawnego i obojętne w danej kwestii polityka, Raul wdrapał się na szczydła i udrapował się w purpurę powodzenia. Któż kobieta nie uwierzy raczej kochankowi niż mężowi? Pani de Vandenesse, upewniona, zaczęła tedy to życie stłumionych podrażnień, drobnych ukradkowych radości, tajemnych uścisków ręki, jakimi żyła poprzedniej zimy. Ta gra pociąga w końcu kobietę poza zamierzone granice, o ile mężczyzna, którego kocha, ma nieco determinacji i zniecierpliwi się przeszkodami. Szczęściem dla niej, Raul, ostudzany przez Florynę, nie był niebezpieczny. Zresztą pochłonęły go interesa, które nie pozwoliły mu korzystać ze swego szczęścia. Mimo to nagły cios, jaki groziłby Natanowi, wznowione przeszkody, zniecierpliwienie, mogły popchnąć hrabinę w przepaść. Raul przejrzał to usposobienie Marii; wśród tego, pod koniec grudnia, du Tillet zażądał spłaty weksli. Bogaty bankier, który powiadał, iż jest w kłopotach, poradził Raulowi, aby pożyczył tę sumę na dwa tygodnie u lichwiarza, niejakiego Gigonnet, dwudziestopięcioprocentowej opatrności młodych ludzi w potrzebie. Za kilka dni dziennik będzie miał znaczny wpływ z odnowionej prenumeraty, kasa się napelni wszystkie trudności się ułożą. Zresztą, dlaczego Natan nie miałby napisać sztuki? Przez ambicję, Natan chciał spłacić dług za wszelką cenę. Du Tillet dał Raulowi list do lichwiarza, w myśl którego Gigonnet wyliczył potrzebną sumę na weksle z terminem dwudziestodniowym. Zamiast szukać przyczyn podobnej łatwości kredytu, Raul żałował że nie zażądał więcej. W ten sposób zachowują się ludzie wybitni potęgą myśli; w poważnych faktach życia widzą jedynie przedmiot do żartu! Można by rzec, iż chowają wszystkie zdolności duchowe na swe dzieła, i, z obawy uszczuplenia ich, nie posługują się nimi w sprawach osobistych. Raul opowiedział układ z lichwiarzem Blondetowi i Florynie; odmalował im całego Gigonnet, jego pokoik, schodki, astmatyczny dzwonek z wiszącą sarnią nóżką, zużytą słomiankę, wygasły kominek zarówno jak spojrzenie; uśmiali się wspólnie z tego nowego *wuja*; i nie zastanawiali się ani nad du Tillem, rzekomo w kłopotach pieniężnych, ani nad lichwiarzem, tak łatwo rozwiązującym sakiewkę. Ot, kaprysy!

— Wziął tylko piętnaście ad sta<sup>132</sup> — rzekł Blondet — powinieś mu być podziękować. Przy dwudziestu pięciu od sta przestajemy się kłaniać tym panom; lichwa zaczyna się od pięćdziesięciu od sta: za tę taryfę pogardza się nimi.

— Co? pogardza! — rzekła Floryna. — Gdzież jest przyjaciel, który by pożyczył na tę stopę, nie przybierając min dobroczyńcy?

— Ma słuszność, szczęśliwy jestem, że już nic nie jestem winien du Tilletowi.

Czym się tłumaczy ten brak przenikliwości w osobistych sprawach u ludzi przyzwyczajonych wszystko przenikać? Być może duch nie może być na wszystkich punktach doskonały; być może artyści zanadto żyją w chwili obecnej, aby studiować przyszłość; być może zanadto dobrze spostrzegają śmieszności, aby dojrzeć pułapkę, i sądzą, iż nikt by nie śmiał z nich zadrwić. Przyszłość nie dała na siebie czekać. W trzy tygodnie potem weksle zaprotestowano; ale Floryna poczyniła starania w trybunale handlowym i uzyskała dwadzieścia pięć dni czasu na zapłatę. Raul ogarnął swoje położenie, zażądał rachunków: wynikało z nich, że wpływy dziennika pokrywają zaledwie w dwóch trzecich koszta i że

<sup>131</sup>rewolucja lipcowa — trwała we Francji od 27 do 29 lipca 1830 i udaremniła próbę przywrócenia monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>piętnaście ad sta — piętnaście procent. [przypis edytorski]

abonament słabnie. Wielki człowiek stał się niespokojny i ponury, ale tylko dla Floryny, której się zwierzył. Floryna poradziła mu, aby wziął zaliczkę na przyszłe sztuki teatralne, sprzedając je ryczałtem i zrzekając się tantiemy. Tym sposobem uzyskał Natan dwadzieścia tysięcy i spłacił dług do czterdziestu tysięcy. 10 lutego dwadzieścia pięć dni dobiegło końca. Du Tilliet, który nie chciał Natana na konkurenta w okręgu wyborczym, gdzie miał sam stawać, zostawiając Massolowi inny okręg oddany rządowi, polecił Gigonnetowi, aby ścigał Raula w najostrejszy sposób. Człowiek przywalony długami nie może forsować swej kandydatury. Dom karny w Clichy mógł pochłonąć przyszłego ministra. Floryna sama znajdowała się w nieustannej styczności z komornikami z przyczyny osobistych długów; w przesileniu tym, jako jedyny środek pozostawało jej tylko owo *Ja! Medei*, meble bowiem były zajęte. Ambitny pisarz słyszał ze wszystkich stron trzask walenia się w świeżym gmachu, wzniesionym bez fundamentów. Zaledwie już mając dość sił, aby podtrzymać tak rozległe przedsięwzięcie, czuł się niezdolnym podjąć je na nowo; miał tedy zginąć pod ruinami swej fantazji. Miłość hrabiny dawała mu jeszcze jakieś przebliski życia; ożywał swą maskę, ale wewnątrz nadzieja zamarła. Nie podejrzewał du Tillieta, widział jedynie lichwiarza. Rastignac, Blondet, Lousteau, Vernou, Finot, Massol strzegli się pilnie oświecić tego człowieka, który się okazał tak niebezpiecznie żywotnym. Rastignac, pragnący wrócić do władzy, wspierał po cichu grę Nucingena i du Tillieta. Inni doświadczali nieskończonych rozkoszy, patrząc na agonię jednego z kamratów, który zuchwale pokusił się zostać ich władcą. Żaden nie byłby pisał słowa Florynie; przeciwnie, chwalono przed nią Raula. „Natan ma barki zdolne udźwignąć świat, da sobie radę, wszystko pójdzie cudownie”.

— Wczoraj zyskaliśmy dwóch abonentów — mówił Blondet z poważną miną — Raul będzie posłem. Skoro budżet przejdzie, ukaze się dekret rozwiązania Izby.

Natan, ścigany, nie mógł już liczyć na lichwę, Floryna, zafantowana, mogła już liczyć jedynie na traf namiętności zbudzonej w jakim dudku, który nigdy nie zjawia się w porę. Przyjaciele Natana byli to wszystko ludzie bez pieniędzy i kredytu. Dekret uwięzienia zabijał jego nadzieje jako męża politycznego. Na domiar nieszczęść, zabrnął w olbrzymie prace zapłacone z góry; nie widział dna w otchłani nędzy, w którą się miał stoczyć. W obliczu tych klęsk odwaga opuściła go. Czy hrabina de Vandennesse zostanie mu wierna, czy też ucieknie oden daleko? Kobiety wciąga zazwyczaj w tę przepaść jedynie pełna miłość, ich zaś uczucie nie skuło wzajem z sobą tajemniczymi więzami szczęścia. Ale, gdyby nawet hrabina podążyła za nim za granicę, zostałaby bez majątku, ogołocona i biedna, i byłaby tylko jednym ciężarem więcej. Dusza pośledniej miary, człowiek żyjący jedynie ambicją, jak Natan, musiał widzieć i ujrzał w istocie w samobójstwie miecz zdolny przeciąć te gordyjskie węzły. Myśl, iż ma upaść w obliczu tego świata, w który się wcisnął, nad którym chciał zapanować, iż ma zostawić tam hrabinę tryumfującą i stać się z powrotem zabłoconym piechurkiem, była mu nie do zniesienia. Szaleństwo tańczyło i podzwaniało ironicznymi dzwoneczkami u wrót urojonego pałacu zamieszkałego przez poetę. Doszedłszy do tego krańca, Natan oczekiwał przypadku, chcąc się zabić aż w ostatecznej konieczności.

W ciągu ostatnich dni, wypełnionych gotowaniem wyroku, ogłoszeniem nakazu osobistego pojmania, Raul obnosił wszędzie, pomimo woli, ów chłodno posepny wyraz, jaki człowiek umiejący obserwować mógł zauważyć u ludzi skazanych na samobójstwo lub obmyślających je. Grobowe myśli, jakimi się pieszczą, stroją ich czoło w szare i mgliste pomrocza; uśmiech ich ma coś złowrogiego, ruchy są uroczyste. Nieszczęśnicy chcą, zdawałoby się, wyssać do ostatka złocący się owoc życia; spojrzenia ich sondują przy każdej sposobności głąb serca, słyszą w powietrzu dzwon pogrzebowy, przy niczym nie mogą skupić uwagi. Jednego wieczora, w salonach lady Dudley, Maria spostrzegła te przerażające objawy: Raul został sam na kanapce w buduarze, podczas gdy wszyscy rozmawiali w salonie. Hrabina stanęła w drzwiach, on nie podniósł głowy, nie usłyszał ani oddechu Marii, ani szelestu jedwabnej sukni: patrzył na kwiat w dywanie, z oczami martwymi, otępiłymi bólem: wołał raczej umrzeć niż abdykować. Nie każdemu dany jest piedestał Św. Heleny<sup>133</sup>. Zresztą samobójstwo srożyło się wówczas w Paryżu; czyż nie musi być ono ostatnim słowem społeczeństwa niedowiarków! W tej chwili właśnie Raul posta-

Samobójstwo

<sup>133</sup>Wyspa Św. Heleny — miejsce wygnania Napoleona I. [przypis edytorski]

nowił umrzeć. Zwątpienie mierzy się miarą powziętych nadziei, dla Raula nie było tedy innego wyjścia jak grób.

— Co tobie? — rzekła Maria biegnąc ku miemu.

— Nic — odparł.

Istnieje, między kochankami, sposób wymówienia owego *nic*, który oznacza coś wręcz przeciwnego. Maria ruszyła ramionami.

— Dziecko z ciebie! — rzekła. — Zdarzyło ci się jakie nieszczęście?

— Nie mnie — rzekł. — Zresztą i tak dowiesz się o tym zbyt wcześnie, Mario — dodał tkliwie.

— O czym myślałeś, kiedym weszła? — spytała tonem słodkiego rozkazu.

— Chcesz wiedzieć prawdę?

Skloniła głowę.

— Myślałem o tobie, powiadałem sobie, iż, na moim miejscu, niejeden mężczyzna chciałby być kochanym bez zastrzeżeń: kochasz mnie tak, nieprawdaż?

— Tak — rzekła.

— I — ciągnął Raul, ujmując ją wpół i przyciągając ku sobie, aby ją pocałować w czoło bez względu na niebezpieczeństwo — zostawiam cię czystą i bez wyrzutów. Mogę cię wciągnąć w przepaść, i oto pozostajesz na brzegu w całej chwale, bez zmazy. Jednakże jedna myśl mnie gnębi...

— Jaka?

— Będziesz mną gardzić.

Uśmiechnęła się dumnie.

— Tak, nie uwierzysz nigdy w świętość mojej miłości; a zresztą, będą mnie zozydzać, wiem o tym. Kobiety są zdolne pojąć, iż, z głębi naszego śmietnika, podnosimy oczy ku niebu, aby tam ubóstwiać bez podziału jakąś Marię. Mieszą do tej świętej miłości mizerne kwestie; nie rozumieją, że ludzie wysokiej inteligencji i szerokiej poezji mogą wyzwolić duszę z użycia, aby ją zachować dla jakiegoś ubóstwianego ołtarza. A jednak, Mario, kult ideału bardziej jest żarliwy u nas, niż u was: znajdujemy go w kobiecie, która nawet go u nas nie szuka.

— Po co ten felieton? — rzekła drwiąco jak kobieta pewna siebie.

— Opuszczam Francję; dlaczego i jak, dowiesz się jutro z listu, który ci przyniesie mój służący. Żegnaj, Mario.

Raul wyszedł, przyciągnąwszy hrabinę do piersi w straszliwym uścisku i zostawił ją otepiałą z bólu.

— Co tobie, droga? — rzekła margrabina d'Espard wchodząc — cóż ci takiego powiedział p. Natan? Pożegnał nas z wielce melodramatyczną miną. Jesteś może zanadto rozsądna, albo zanadto nierozsądna.

Hrabina ujęła pod ramię hrabinę d'Espard, aby wrócić do salonu, który opuściła w kilka chwil później.

— Idzie może na pierwszą schadzkę — rzekła lady Dudley do margrabiny.

— Przekonam się — odparła pani d'Espard wychodząc i każąc jechać za powozem hrabiny.

Ale pojazd pani de Vandenesse skierował się ku przedmieściu św. Honoriusza. Kiedy pani d'Espard skręcała do siebie, ujrzała, że hrabina Feliksowa jedzie dalej w stronę ulicy de Rocher. Maria położyła się, nie mogła jednak usnąć. Spędziła noc na czytaniu jakiejś podróży do bieguna, nie rozumiejąc ani słowa. O wpół do dziewiątej rano otrzymała od Raula list i otworzyła go spiesznie. List zaczynał się od tych klasycznych słów:

„Ukochana moja; kiedy ten papier znajdzie się w twych rękach, mnie już nie będzie...”

Nie dokończyła, zmięła papier nerwowym skurczem, zadzwoniła na pannę służącą, narzuciła spiesznie peniuar<sup>134</sup>, obuła pierwsze z brzegu trzewiki, zawinęła się w szal, wzdęła kapelusz; następnie wyszła, polecając panie służącej, aby powiedziała hrabiemu, że udała się do siostry, pani du Tillet.

— Gdzie zostawiłeś pana? — spytała służącego Raula.

— W redakcji.

— Chodźmy tam — rzekła.

<sup>134</sup>peniuar — elegancka odmiana kobiecego stroju domowego. [przypis edytorski]

Ku wielkiemu zdziwieniu całego domu wyszła pieszo, przed dziewiątą rano, miotana wyraźnym szaleństwem. Szczęściem dla niej, panna służąca poszła powiedzieć hrabiemu, że pani otrzymała od pani du Tillet list, który wstrząsnął nią niesłychanie, i że pobięła do siostry w towarzystwie oddawcy. Vandenesse czekał, aż żona wróci i udzieli wyjaśnień. Hrabina wsiadła do dorożki i pomknęła do redakcji. O tej godzinie rozległe apartamenty zajmowane przez dziennik w starym domostwie przy ul. Feydeau były opustoszałe; znajdował się w nich jedynie służący redakcyjny, bardzo zdziwiony widokiem młodej i ładnej kobiety, pomykającej wespół przytomnie i pytającej o p. Natana.

— Z pewnością jest u panny Floryny — odparł, biorąc hrabinę za rywalkę, która chce zrobić scenę zazdrości.

— Gdzie pracuje tutaj?

— W gabinecie, od którego klucz nosi przy sobie.

— Chcę tam wejść.

Służący zaprowadził ją pod drzwi ciemnego pokoiku wychodzącego na dziedziniec. Hrabina, otworzywszy okno przyległego pokoju, mogła widzieć przez okno gabinetu, co się dzieje wewnątrz: Natan rzeźił, wpołleżąc na swoim fotelu naczelnego redaktora.

— Wysadź drzwi i milcz! oplacę twoje milczenie — rzekła. — Nie widzisz, że p. Natan kona?

Służący pobiegł do drukarni po sztabę żelazną, którą zdołał otworzyć drzwi. Raul truł się jak zwykła szwaczka przy pomocy piecyka do węgla. Skończył właśnie list do Blondeta, w którym prosił go, aby upozorował jego samobójstwo nagłym udarem mózgowym. Hrabina przybyła na czas; kazała przenieść Raula do dorożki, i, nie wiedząc, gdzie go ratować, zajęła do hotelu, wzięła pokój i poszła po lekarza. W ciągu kilku godzin Raul znalazł się poza niebezpieczeństwem, ale hrabina nie opuściła jego wezglowia, zanim nie uzyskała generalnej spowiedzi. Skoro złamany wielki człowiek wylał w jej serce owe straszliwe elegie bólu, wróciła do domu, wydana na pastwę wszystkich mąk, wszystkich myśli, które, poprzedniego dnia, oblegały czoło Natana.

— Znajdę sposób na wszystko — rzekła, aby wlać weń życie.

— I cóż, co się stało siostrze? — spytał Feliks, widząc żonę z powrotem. Wydajesz mi się bardzo zmieniona.

— To straszna historia, co do której trzeba mi zachować najgłębszą tajemnicę — odparła, odzyskując dość siły, aby udać spokój.

Aby być samą i oddać się spokojnie myślom, hrabina pojechała wieczór do *Włochów*, następnie udała się wylać serce na sercu pani du Tillet, opowiadając jej strasliwą ranną scenę, prosząc o radę i pomoc. Ani jedna, ani druga nie mogła wiedzieć wówczas, że to du Tillet rozpałił ogień w owym pospolitym piecyku, którego widok tak przeraził hrabinę Feliksovą de Vandenesse.

— Ma tylko mnie na świecie — rzekła Maria do siostry — i ja go nie opuszczę.

To słowo zawiera tajemnicę wszystkich kobiet: są heroiczne wówczas, kiedy mają pewność, iż są wszystkim dla wielkiego i nieskalanego człowieka.

Du Tillet słyszał mniej lub więcej wiarygodne pogłoski o miłości bratowej dla Raula; ale należał do tych, którzy przeczyli tym wieściom, lub uważali je za niepodobne do pogodzenia ze stosunkiem Raula i Floryny. Aktorka wypędziłaby hrabinę lub odwrotnie. Ale, kiedy, wróciwszy do domu, ujrzał szwagierkę, której twarz zwiastowała mu już w teatrze gwałtowne wstrząśnienie, odgadł, iż Raul zwierzył się hrabinie ze swoich utrapień: zatem hrabina kochała go, zatem przysłała prosić Marii-Eugenii o sumę, jaką był winien staremu Gignonnet. Pani du Tillet, która nie znała tajemnic tej przenikliwości, z pozorów nadnaturalnej, okazała takie zdumienie, iż podejrzenia du Tilleta zmieniły się w pewność. Bankier sądził, iż pochwycił w rękę nici tajemnic Natana. Nikt nie wiedział, iż nieszczęśnik znajduje się w łóżku przy ulicy du Mail, w umeblowanym pokoju, pod nazwiskiem służącego redakcyjnego, któremu hrabina przyrzekła pięćset franków, jeśli dochowa sekretu. Jakoż Franciszek Quillet sumiennie opowiedział odźwiernej, iż Natan zasłabł wskutek nadmiernie wyczerpanej pracy. Du Tillet nie zdziwił się, iż nie widzi Natana. Było naturalnym, iż dziennikarz ukrywa się, wobec wydanego już dekretu uwięzienia. Skoro szpicle przyszedli zasięgnąć wiadomości, dowiedzieli się, iż rankiem dama jakaś zjawiła się, aby uprowadzić naczelnego redaktora. Upłynęły dwa dni, nim odkryli numer



dorożki, wzięli na spytki woźnicę, rozpoznali, przetrząsnęli hotel, w którym przychodził do życia biedny dłużnik. Tak więc roztropne kroki poczynione przez Marię zyskały Natanowi trzydniową zwłokę.

Obie siostry spędziły okrutną noc. Podobna katastrofa rzuca jaskrawy odbłask na całe życie: oświetla jego czeluści, zaułki bardziej niż szczyty, które dotąd zaprzętały spojrzenia. Wstrząśnięta straszliwym obrazem młodego człowieka umierającego w fotelu, w obliczu swego dziennika, spisującego po rzymsku ostatnie myśli, poczciwa pani du Tillet nie miała innej troski, prócz tej, aby mu przyjść z pomocą, aby wrócić życie tej duszy, przez którą żyła jej siostra. Jest w naturze naszego umysłu widzieć skutki, zanim się zanalizuje przyczyny. Eugenia umocniła się w powziętym zamiarze, mianowicie aby zwrócić się do baronowej Delfiny de Nucingen, u której miała być na obiedzie; nie wątpiła o powodzeniu. Wspaniałomyślna, jak wszystkie osoby, których nie ścisnęły jeszcze polerowane stalowe tryby nowożytnego społeczeństwa, pani du Tillet postanowiła wziąć wszystko na siebie.

Ze swej strony hrabina, szczęśliwa iż ocalała już życie Natanowi, strawiła noc na obmyśleniu sposobów wydobycia czterdziestu tysięcy franków. W tego rodzaju przesileniach kobiety są cudowne. Wiedzione swym uczuciem, dochodzą do kombinacji, które zdumiałyby złodziei, spekulantów i lichwiarzy, gdyby te trzy klasy mniej lub więcej patentowanych przemysłowców mogły czemukolwiek się dziwić. Hrabina sprzedawała w myśli swoje diamenty, zamierzając nosić fałszywe. Postanawiała poprosić o tę sumę Vandenessa dla siostry, już raz wprowadzonej w grę; ale za wiele miała szlachetności duszy, aby się nie cofnąć przed tymi poniżającymi środkami; obmyślała je i odtrącała natychmiast. Pieniądze Vandenessa dla Natana! Wzdrygnęła się w łóżku, przerażona własną zbrodniczością. Kazać wprawiać fałszywe diamenty! Mąż spostrzegłby się w końcu. Chciała iść prosić o tę sumę Rotszyldów, którzy mają tyle złota, arcybiskupa Paryża, który powinien wspierać biednych, przeskakując w ten sposób od jednej religii do drugiej, żebrząc wszędzie. Rozpaczwała, iż znajduje się z dala od rządu; niegdyś byłaby zdołała pożyczyć potrzebne pieniądze w pobliżu tronu. Myślała o tym, aby się uciec do ojca. Ale dawny urzędnik żywił niechęć do nielegalności; dzieci jego miały sposobność przekonać się, jak mało sympatyzował z sercowymi nieszczęściami; nie chciał o tym słyszeć, stał się mizantropem<sup>135</sup>; miał wstręt do wszelkich komplikacji miłosnych. Co do hrabiny de Granville, ta żyła w Normandii w swoim majątku, ciuając grosze i modląc się, kończąc swoje dni pośród księży i worków srebra, zimna aż do ostatniej chwili. Gdyby nawet Maria miała czas dotrzeć do Bayeux, czyż matka dałaby jej tyle pieniędzy, nie wiedząc, na jaki użytek? Zmyślić długi? Tak, być może, dałaby się wzruszyć swej ulubienicy. Zatem, w razie niepowodzenia, hrabina udałaby się do Normandii. Hrabia de Granville nie odmówiłby pomocy w upozorowaniu podróży, udzielając fałszywej wiadomości o ciężkiej chorobie, jaką rzekomo nawiedziła jego żonę. Straszliwe widowisko, które przeraziło ją dziś rano, pomoc udzielona Natanowi, godziny spędzone przy jego wezglowiu, jego urywkowe opowiadania, ta agonia wielkiego umysłu, lot geniusza wstrzymany przez pospolitą, nikczemną zaporę, wszystko stanęło w pamięci Marii, aby podsycić jej miłość. Przebiegła myślą swoje wzruszenia: nędze te porywały ją stokroć bardziej niż wielkości. Czy byłaby ucałowała to czoło uwieńczone tryumfem? Nie. Ostatnie słowa, jakie Natan wyrzekł do niej w buduarze lady Dudley, wydały się jej czymś nieskończenie wzniosłym. Coś tak świętego było w tym pożegnaniu! Co za szlachetność w wyrzeczeniu się szczęścia, które stałoby się dla niej męczarnią! Hrabina pragnęła wzruszeń w swoim życiu; miała ich pod dostatkiem, straszliwych, okrutnych, ale kochanych. Więcej żyła cierpieniem niż rozkoszą. Z jakim upojeniem powtarzała sobie: „Ocaliłam go już raz, ocalę jeszcze!” Słyszała jego wykrzyknik: „Jedynie nieszczęśliwi wiedzą, dokąd sięga miłość!”, kiedy uczył wargi Marii spoczywające na jego czole.

— Czyś chora? — spytał mąż, który wszedł do pokoju, aby oznajmić śniadanie.

— Jestem straszliwie udręczona dramatem, jaki rozgrywa się u siostry — rzekła, mówiąc prawdę.

<sup>135</sup>mizantrop — osoba niechętna ludziom i unikająca ich. [przypis edytorski]

— Popadła w bardzo złe ręce; to hańba dla rodziny posiadać takiego du Tilleta, człowieka bez iskrzy duchowego szlachectwa; gdyby siostrze zdarzyło się jakie nieszczęście, nie znalazłaby u niego litości.

— Gdzież jest kobieta, która zadowolilaby się litością — rzekła hrabina z konwulsyjnym ruchem. — Kiedy jesteście bez litości, srogość wasza jest łaską dla nas.

— Nie od dziś znam twoje szlachetne serce — rzekł Feliks całując rękę żony, wzruszony tą dumą. — Kobieta, która tak myśli, nie potrzebuje, aby jej strzec.

— Strzec? — podjęła. — Także hańba, która spada na was.

Feliks uśmiechnął się, ale Maria się zaczerwieniła. Kiedy kobieta potajemnie schodzi z prostej drogi, rozwija ostentacyjnie najwyższy stopień dumy kobiecej. Jest to obłuda duszy, za którą trzeba im być wdzięcznym. Oszukaństwo staje się wówczas pełnym godności, wielkości niemal. Maria napisała parę słów do Natana, pod nazwiskiem Quillet, aby donieść, że wszystko idzie dobrze, i przesłała mu je przez posłańca do hotelu. Wieczorem, w Operze, hrabina zebrała korzyści swego kłamstwa, mąż bowiem uważał za zupełnie naturalne, że opuściła łożę, aby odwiedzić siostrę. Feliks powstrzymał Marię do chwili, w której du Tillet zostawi żonę samą. Jakie wzruszenia przechodziła, mijając korytarz, wchodząc do łoży siostry i zasiadając z czołem pogodnym i spokojnym dla świata, zdumionego iż widzi siostry razem!

— I cóż? — rzekła.

Twarz Marii Eugonii była odpowiedzią: tryskała z niej naiwna radość, którą wiele osób przypisywało zadowoleniu próżnkości.

— Będzie ocalony, droga moja, ale tylko na trzy miesiące, przez które pomyślimy nad tym, aby go wyratować bardziej skutecznie. Pani de Nucingen żąda czterech weksli, każdy po dziesięć tysięcy, podpisanych przez kogo bądź, aby ciebie nie narażać. Wytłumaczyła mi, jak należy je wygotować; nic nie zrozumiałam, ale p. Natan się tym zajmie. Przyszło mi zarazem na myśl, że Schmuke, nasz dawny nauczyciel, może nam być użyteczny: podpisałby z pewnością. Skoro dołączysz do tych czterech obligów<sup>136</sup> list, w którym zaręczysz pani de Nucingen, iż będą spłacone, jutro otrzymasz pieniądze. Załatw wszystko sama, nie polegaj na nikim. Mam nadzieję, że Schmuke nie będzie robił żadnych kwestii. Aby odwrócić podejrzenie, powiedziałam, że chcesz przyjść z pomocą naszemu dawnemu nauczycielowi muzyki, staremu Niemcowi, który popadł w nędzę. Mogłam tedy prosić o najgłębszą tajemnicę.

— Sprytna jesteś jak anioł! Byleby tylko baronowa de Nucingen nie zdradziła się z niczym przed wypłaceniem pieniędzy! — rzekła hrabina, wznosząc oczy jak gdyby z modlitwą do Boga, mimo iż rozmowa toczyła się w Operze.

— Schmuke mieszka na małej uliczce *de Nevers*, koło wybrzeża Gonti, nie zapomnij, idź sama do niego.

— Dziękuję — rzekła hrabina, ściskając rękę siostry. — Och! dałabym dziesięć lat życia...

— Tych ostatnich zapewne...

— Aby nigdy nie przechodzić podobnie strasznych wzruszeń — rzekła hrabina, uśmiechając się mimo woli.

Osoby, które lornetowały w tej chwili obie siostry, mogły mniemać, podziwiając ich niewinne śmieszki, iż zajmują je jakieś błahostki; ale któryś z owych światowych wygów, przychodzących do Opery więcej dla studiowania tualet i fizjognomii niż dla przyjemności słuchania, odgadłby może tajemnicę hrabiny, uważając gwałtowne wzruszenie, które zgasiło radość tych dwóch uroczych twarzyczek. Raul, który w godzinach nocnych nie obawiał się już pościgu, błady i wycieńczony, z niespokojnym okiem, z posępnym czołem, ukazał się na stopniu, gdzie zwykle zajmował miejsce. Szukał oczyma hrabiny w jej łoży, nie znalazł, utopił czoło w dłoniach.

— Czyż mogłaby być dziś w Operze — pomyślał.

— Spójrzże ku nam, biedny wielki człowieku — rzuciła mu szeptem pani du Tillet.

Co się tyczy Marii, ta, nie zważając, iż się naraża, skierowała nań owo gwałtowne i usilne spojrzenie, przez które wola tryska z oka tak, jak ze słońca tryskają fale świetlne: spojrzenie, które, wedle magnetyzerów, wnika w osobę, na którą jest zwrócone. Raul,

<sup>136</sup>oblig — zobowiązanie. [przypis edytorski]

jak gdyby tknięty czarnoksiężką laseczką, podniósł głowę: oko jego spotkało nagle oczy dwu siostr. Z cudowną przytomnością umysłu, która nigdy nie opuszcza kobiet, pani de Vandenesse ujęła krzyżyk igrający na jej piersi i wskazała go szybkim i znaczącym uśmiechem. Klejnot rzucił swój odbłask aż na czoło Raula, który odpowiedział radosnym wyrazem: zrozumiał.

— Czyż to nic nie jest, Eugenio — rzekła hrabina do siostry — wracać w ten sposób życie martwym?

— Możesz wstąpić do towarzystwa ratowniczego — odparła Eugenia z uśmiechem.

— I cóż, jakże się miewasz, drogi? — rzekł du Tillet, ściskając rękę Raula i zbliżając się doń z objawami serdecznej przyjaźni.

— Ba! jak człowiek, który otrzymał najlepsze wiadomości co do wyborów. Mandat mam w kieszeni — odparł Raul.

— Cieszę się niezmiernie — odparł du Tillet. — Trzeba nam będzie pieniędzy dla dziennika.

— Znajdziemy — rzekł Raul.

— Kobiety są w zмовie z diabłem! — rzekł du Tillet, nie dając się jeszcze omamić sławom Raula, którego nazywał *Szarnatanem*.

— Do czego to mówisz? — rzekł Raul.

— Pani szwagierka jest w łoży mojej żony — rzekł bankier; — w tym siedzi jakaś intrzyka. Hrabina, jak się zdaje, szaleje za tobą, daje ci znaki przez całą salę.

— Patrz — rzekła pani du Tillet do siostry — mówią, że my jesteśmy fałszywe. Mój mąż czuli się z Natanem, a to on doprowadził go do więzienia!

— I mężczyźni wazą się nas obwiniać! — zawołała hrabina: otworzę mu oczy.

Wstała, podała ramię mężowi, który czekał na nią w korytarzu, wróciła promienna do swej łoży, następnie opuściła Operę, zamówiła powóz na jutro przed ósmą rano i znalazła się o wpół do dziewiątej na wybrzeżu Conti, zawadziwszy wprzódy o ulicę du Mail.

Powóz nie mógł wjechać w małą uliczkę de Nevers; ale, ponieważ Schmuke mieszkał w domu położonym na rogu wybrzeża, hrabina nie potrzebowała brnąć w błocie. Skoczyła prawie ze stopnia powozu w zabloconą i zrujnowaną sień starego szarego domu, odrutowanego na kształt fajansowego garnka i pochylonego w sposób niepokojący dla przechodniów. Stary kapelmistrz mieszkał na czwartym piętrze, gdzie cieszył się pięknym widokiem Sekwany, od Nowego Mostu aż do pagórków Chaillot. Pocziwiec tak się zdumiał, kiedy lokaj oznajmił mu wizytę dawnej uczennicy, iż, w swoim osłupieniu, pozwolił jej wejść do pokoju. Nigdy hrabina nie byłaby wyobraziła sobie ani podejrzewała egzystencji, jaka odsłoniła się nagle jej oczom, mimo że od dawna znała głęboką wżgardę Schmukego dla tualety i beztroskę, z jaką odnosił się do spraw tego świata. Kto byłby mógł uwierzyć w niedbalstwo podobnego życia, w tak zupełne *zapuszczenie*? Schmuke był Diogenesem<sup>137</sup> -muzykiem, nie wstydził się swego nieporządku, byłby się go wyparł, tak był doń przyzwyczajony. Nieustający użytek pocziwiej wielkiej niemieckiej fajki rozlał na suficie, na nędznych tapetach, poszarpanych w licznych miejscach przez kota, płowy odcień, który dawał przedmiotom wejrzenie złotawych płodów Cerery. Kot, przystrojony wspaniałą szatą o długim rozstrzępionym włosiu, odgrywał tam rolę niby gospodarza domu, długobrody, poważny, spokojny. Z wysokości wybornego wiedeńskiego fortepianu, gdzie zasiadał uroczyście, obrzucił wchodzącą hrabinę obleśnym i zimnym spojrzaniem, jakim byłaby ją powitała każda kobieta, zaskoczona jej pięknnością. Nie zmienił miejsca, wstrząsnął jedynie srebrnymi kiściami sterczących wąsów i zwrócił złociste oczy na Schmukego. Stary i pochylony wiekiem fortepian, z drzewa pomalowanego na czarny i złoty kolor, ale brudny, powycierany, poszczerbiony, ukazywał klawisze zużyte jak zęby starego konia i poźółkłe od oparów fajki. Na pulpicie małe kupki popiołu świadczyły, że poprzedniego dnia Schmuke gnał, na starym instrumencie, na jakiś sabat muzyczny. Podłoga pełna zaschłego błota, podartych papierów, fajczanego popiołu, niewytłumaczonych szczątków, podobna była do podłogi w niezamiatanej od tygodnia oberży. Oko bardziej wyćwiczone niż oko hrabiny byłoby tam znalazło objaśnienie życia Schmukego w łupkach kasztanów, w ogryzkach, skorupkach jajek, w talerzach stłuczonych przy-

<sup>137</sup>Diogenes z *Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel cyników, znany z ostentacyjnej nie dbałości o własne warunki życiowe. [przypis edytorski]

padkiem i zawierających resztki *Sauerkraut*<sup>138</sup>. Owo niemieckie cmentarzysko szczątków tworzyło niby dywan zapyłonych paskudztw, który chrupał pod nogami i spotykał się z kupą popiołu, spływając majestatycznie od kominka z malowanego kamienia, gdzie tronowało zwęglone polano obok dogorywających dwóch żarzących się głowienek. Nad kominkiem zwierciadło, w którym twarze tańczyły sarabandę; obok z jednej strony wisiała wspaniała fajka, z drugiej stał chiński garnek, w którym profesor przechowywał tytoń. Dwa fotele, kupione gdzieś okazynie, podobnie jak chudy i płaski tapczan, jak zmurszała i pozbawiona marmurowego blatu komódka, jak kulawy stół, na którym widniały resztki skromnego śniadania, składały owo umeblowanie, równie skromne jak w wigwamie<sup>139</sup> Mohikana. Lusterko do golenia, zawieszona na oknie i bez firanek, wraz z kawałkiem szmaty pocętkowanej od czyszczenia brzytwy, wskazywało na jedyne poświęcenie, jakie Schmuke czynił Gracjom i światu. Kot, istota słaba i potrzebująca opieki, miał najlepszą część; posiadał na swój użytek starą poduszkę na berzerce, koło której widać było filiżankę i talerz z białej porcelany. Ale czego żaden styl nie zdoła opisać, to stanu, do jakiego Schmuke, kot i fajka, ta żywa trójca, doprowadziła te meble. Fajka spaliła stół w wielu miejscach. Kot i głowa Schmukego natłuściły utrechcki aksamit foteli, odejmując mu właściwą aksamitowi szorstkość. Gdyby nie wspaniała ogon kota, który częściowo służył do sprzątania pokoju, nigdy niezagracone miejsca komody i fortepianu nie doczekałyby się otarcia z kurzu. W kącie stały trzewiki, które by zasługiwały na epicko-szczegółowy opis. Wierzch komody i fortepianu zawalone były nutami obstrzępionymi na grzbietach. Wzdłuż ściany wisiały, przylepione za pomocą oplatka, adresy uczennic. Liczba oplatków wskazywała wygasłe już adresy. Na obiciu widniały rachunki kresłone kredką. Komoda strojna była wypitymi wczoraj kuflami piwa, które, pośród tych rupieci i papierów, wydawały się dziwnie nowe i lśniące. Higienę reprezentował dzbanek na wodę uwieńczony ręcznikiem i kawałek pospolitego mydła, biały, cętkowany niebiesko, który ubarwił w wielu miejscach drzewo. Dwa kapelusze, oba jednak stare, spoczywały na wieszadle, z którego zwisał ten sam niebieski tużurek<sup>140</sup> o potrójnym kołnierzu, jaki hrabina zawsze widziała na Schmukem. Pod oknem trzy doniczki kwiatów, kwiatów niemieckich z pewnością, a tuż obok trzciniowa laska.

Mimo że wzrok i powonienie hrabiny wystawione były na ciężką próbę, uśmiech i spojrzenie Schmukego przesłoniły jej tę nędzę niebiańskimi promieniami, które dały blask spłóviałym barwom i wlały życie w ten chaos. Dusza boskiego człowieka, który znał i odsłaniał tyle boskich rzeczy, promieniowała niby słońce. Śmiech jego, tak szczerzy, tak naiwny, na widok jednej z jego *świętych Cecylii*, rozpylił wkoło blask młodości, niewinności, wesela, rozlał skarby najdroższe sercu człowieka i uczynił z nich sobie płaszcz, który zakrył jego ubóstwo. Najbardziej pyszałkowaty dorobkiewicz uważałby może za coś niskiego myśleć o ramie, w której poruszał się ów wspaniały apostoł religii muzycznej.

— *Jagim dzutem dudaj, moja troka hrabina!*<sup>141</sup> — rzekł, kalecząc język francuski okropną niemiecką wymową. *Mamsz odźbiefać gantidżę Zymejona tla meko anjola?*

Ta myśl podsyciła na nowo jego nieumiarkowane wybuchy śmiechu.

— *Dama, f gafalersgim mieżgangu?* — dodał jeszcze z filuterną<sup>142</sup> miną.

Następnie zaczął się znowu śmiać jak dziecko.

— *Bżychociz tla musygi, nje tla bietneko nieporaga.* — *Fiem o dem* — dodał melancholicznym tonem; — *ale bżychoć tla dżeko dylgo chżeż, fież sze dutaj fżyzdgo jezd dfoje, siato, tuża, fżyzdgo!*

Ujął za rękę hrabinę, ucałował ją i uronił łzę; pocziwiec zawsze czuł się jak nazajutrz po otrzymaniu dobrodziejstwa. Radość odjęła mu przez chwilę pamięć, aby następnie przywrócić mu ją z całą siłą. Natychmiast chwycił kredę, skoczył na fotel stojący przed fortepianem; następnie, z żywością młodzieńca, wypisał na obiciu wielkimi literami; 17

<sup>138</sup>*sauerkraut* (niem.) — kiszona kapusta. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*wigwam* — namiot indiański. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*tużurek* — rodzaj surduta z ciemnego sukna, popularnego na przełomie XIX i XX. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*Jagim dzutem dudaj, moja troka hrabina?* — zachowując ten niecierpliwący dla czytelnika sposób przekręcania wymowy, ponieważ Balzac bardzo ściśle i uporczywie, nieraz przez całe stronicę, trzyma się go w oryginale, ilekroć przemawia ustami Schmukego lub barona de Nucingen. [przypis tłumacza]

<sup>142</sup>*filuterny* — figlarny, lekko prowokujący. [przypis edytorski]

lutego 1835. Gest ten, tak ładny, tak naiwny, wykonał z wyrazem tak szalonej wdzięczności, że hrabina uczuła się żywo wzruszona.

— Siostra też przyjdzie — rzekła.

— *I truka dagsze? Giety? szepy to bylo sanim umre!* — dodał.

— Przyjdzie podziękować panu za wielką przysługę, o jaką chcę prosić w jej imieniu — ciągnęła.

— *Brędgo, brędgo, brędgo* — wykrzyknął Schmuke — *dzo mam sropidź? Mam isdź to sameko tjapta?*

— Nie, tylko napisać: „Otrzymano za sumę 10 tysięcy franków” na każdym z tych papierów — rzekła, wydobywając z zarękawka cztery akcepty wypełnione wedle formuły przez Natana.

— *Och, f mik pęzie kodofę*, odparł Niemiec z powolnością<sup>143</sup> baranka. *Nie fiem dylgo, kcie bióro i adramend.* — *Ruszsze zie zdąť, meinherr Murr*<sup>144</sup>, krzyknął na kota, który przyglądał mu się zimno. — *Do mój god*, rzekł pokazując go hrabinie. *Pietne sfiesz, gdóre szyje s pietnym Schmuke! Łatny, prawda?*

— Bardzo — rzekła hrabina.

— *Kce ko pani?* — rzekł.

— Szaleństwo! — odparła. — Czyż to nie jest pański przyjaciel?

Kot, który zakrywał kałamarz, domyślił się, że Schmuke szuka tego sprzętu i skoczył na łóżko.

— *Zprydney jag małpa* — rzekł Niemiec, wskazując zwierzę siedzące na łóżku. — *Nasfałem go Murr, na dżeżdź naszego fielkiego Hoffmana z Perlina, gdóreko topsze snalem.*

Pocziwiec podpisał z niewinnością dziecka, które czyni to, co matka mu każe, nie rozumiejąc nic, ale pewne, że czyni dobrze. O wiele więcej zaprzątnięty był prezentacją kota niż papierami, przez które mógł, na zasadzie praw odnoszących się do cudzoziemców, postradać na zawsze wolność.

— *Bofiata pani, sze te zdemblofane babirgi...*

— Niech się pan niczego nie obawia — rzekła hrabina.

— *Ja zie nie opafiam nidżeko* — odparł. — *Bydam, dży de zdemblofane babirgi zbrafia bżyjemnoźdź bani tu Dilled?*

— Och, tak — rzekła — odda jej pan taką usługę, jak gdybyś był jej ojcem...

— *Parcom dety źdżeślify, sze moke sdadz zie jej na dzo. Bostuchaj mojej musygi!* — rzekł, zostawiając weksle na stole i rzucając się do pianina.

Już ręce tego anioła biegly po starych klawiszach, już spojrzenie jego sięgało nieba poprzez dachy, już najrozkoszniejsze melodie kwitły w powietrzu i wnikały do duszy; ale hrabina nie pozwoliła naiwnemu tłumaczowi rzeczy niebiańskich budzić drzewa i strun, jak czyni św. Cecylia Rafaela dla słuchających jej aniołów, dłużej niż czas potrzebny do osuszenia pisma: wsunęła weksle do zarękawka i ściągnęła swego rozpromienionego nauczyciela z nadobłocznych przestrzeni, w których bujał, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Mój dobry Schmuke... — rzekła.

— *Jusz!* — wykrzyknął z bolesnym poddaniem. — *Bo dzo pylo dety bżyhocidź?*

Nie szemrał, wyprostował się niby wierny pies, aby wysłuchać słów hrabiny.

— Mój dobry Schmuke — rzekła — idzie w tej sprawie o śmierć i o życie, każda minuta oszczędza krew i osusza łzy.

— *Satże da żarna* — rzekł. — *Ić, ić, anjole, ozażadz ły trukich! Fiec, sze pietny Zmuge lidży dfoja fisydę za fiędzej nisz rendę, gdórą ma ot dziepie!*

— Zobaczmy się — rzekła — przyjdzie pan muzykować i zjeść ze mną obiad co niedzielę, jeżeli nie chcesz abym się pogniewała. Czekam pana w najbliższą niedzielę.

— *Nabrafte?*

— Proszę o to, a siostra z pewnością także umówi z panem jakiś dzień.

— *Żdżeżdże moje dety pęcie subetne* — rzekł. — *Fityfałem fas pofiem dylgo na Bolach Elisejsich, gietyździe bżeszszszatły bofosem, parco szatgo!*

Myśl ta osuszyła łzy, kręcące mu się w oczach. Ofiarował ramię pięknej uczennicy, która uczuła, jak serce starca bije gorączkowo.

<sup>143</sup>powolność (daw.) — posłuszeństwo. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>meinherr Murr (niem.) — panie Mruczku. [przypis edytorski]

— Myślał tedy mistrz o nas? — rzekła.

— *Safże gięty jattem chlip!* — odparł. — *Raz jag o moich toproziejgach, a bodem o bierznych tfóch młodych ciefzządach kotnych miłodzi, jagie zbodgałem!*

Hrabina nie śmiała już nic dodać: była w tym zdaniu jakaś nieprawdopodobna i pełna czci wierna religijna uroczystość. Ten pokój zadymiony i pełen ochłapów był świątynią zamieszkałą przez dwa bóstwa. Uczucie gromadziło się w nim z każdą chwilą, bez świadomości tych, które go budziły.

— Ten człowiek kocha nas szczerze — pomyślała.

Wzruszenie, z jakim Schmuke patrzył na hrabinę wsiadającą do powozu, udzieliło się i jej. Końcami palców przesłała mu delikatny pocałunek, jaki kobiety dają sobie z daleka na powitanie. Na ten widok Schmuke pozostał niby wrosły w ziemię długi czas po zniknięciu powozu. W kilka chwil później hrabina wjeżdżała w dziedziniec pałacu pani de Nucingen. Baronowa jeszcze nie wstała, ale, aby nie dać czekać dystygowanej kobiecie, zawięła się w peniuar i szal.

— Chodzi o dobry uczynek, pani — rzekła hrabina — pośpiech jest w takich wypadkach łaską; inaczej nie poważyłabym się trudzić pani o tak wczesnej godzinie.

— Och! szczęśliwa jestem, że mogę... — rzekła żona bankiera, biorąc cztery świstki i list z gwarancją hrabiny.

Zadzwoiła na pokojówkę.

— Tereso, powiedz kasjerowi, aby natychmiast sam mi przyniósł czterdzieści tysięcy franków.

Następnie schowała w skrytce biurka list pani de Vandenesse, zapieczętowany go wprzód.

— Ma pani rozkoszny pokój — rzekła hrabina.

— P. de Nucingen odbiera mi go, buduje nowy dom.

— Ten odda pani zapewne córce. Mówią w świecie o jej małżeństwie z panem de Rastignac.

W chwili, gdy pani de Nucingen miała odpowiedzieć, wszedł kasjer. Wzięła banknoty i oddała mu cztery akcepty.

— To się wyrówna — rzekła baronowa do kasjera.

— *Posa esgondem* — rzekł kasjer. *Den Żmuge do pył musyg s Anzpachu* — dodał wybitnie niemieckim akcentem, widząc podpis i przyprawiając tą uwagą o dreszcz hrabinę.

— Czyż ja robię interesa? — rzekła pani de Nucingen, karcąc kasjera wyniosłem spojrzeniem. To moja rzecz.

Kasjer daremnie śledził kolejno twarz hrabiny i baronowej, obie były niewzruszone.

— Może pan odejść. — Pani, hrabino, zechce może zostać kilka chwil, aby nie obrażano sobie, że pani gra jaką rolę w tej transakcji — rzekła baronowa do pani de Vandenesse.

— Jako dopełnienie tylu uprzejmości — odparła hrabina — poproszę jeszcze o zachowanie sekretu.

— Gdy chodzi o dobry uczynek, rozumie się to samo przez się — odparła baronowa z uśmiechem. — Odeślę powóz pani na koniec ogrodu, odjedzie próżny, następnie przejdziemy przez ogród razem, nikt nie zobaczy pani wychodzącej: będą to istne czary!

— Ma pani wdzięk osoby, która dużo cierpiała w życiu — rzekła hrabina.

— Nie wiem czy mam wdzięk, ale wiele cierpiałam — odparła baronowa; pani nabyłaś swój tańszym kosztem, mam nadzieję.

Dawszy rozkaz, baronowa wzięła wysokie ciepłe pantofle, futro i odprowadziła hrabinę do furtki.

Kiedy ktoś uknuł plan taki, jak ten, który przysposobił du Tillet przeciw Natanowi, nie zwierza go nikomu. Nucingen wiedział coś niecoś, ale żona jego była zupełnie obca tym machiawelicznym kombinacjom. Mimo to baronowa, która wiedziała, że Raul jest w kłopotach, nie dała się omamić obu siostram; odgadła dobrze, w jakie ręce przejdą te pieniądze, była niezmiernie rada, iż może zobowiązać hrabinę, miała zresztą głębokie współczucie dla takich kłopotów. Rastignac, którego pozycja pozwalała czytać w machinacjach obu bankierów, zaszedł do pani de Nucingen na śniadanie. Delfina i Rastignac nie mieli dla siebie tajemnic; opowiedziała mu tedy scenę z hrabiną. Rastignac, który nie wyobrażał sobie, aby baronowa mogła być kiedy wmieszana w tę sprawę, uboczną zresztą

w jego oczach, jeden środek z pomiędzy całego jego arsenału, oświetlił sytuację. Delfina zniszczyła może nadzieje poselskie du Tilleta, udaremniła matactwa i ofiary całego roku. Wówczas Rastignac wtajemniczył baronową we wszystko, zalecając sekret co do błędu, jaki popełniła.

— Byleby — rzekła — kasjer nie wspomniał nic Nucingenowi.

Na kilka chwil przed południem, podczas śniadania, oznajmiono du Tilletowi Gigonneta.

— Niech wejdzie — rzekł bankier, mimo że żona była przy stole. — I cóż, stary Schyłoku, ptaszek już w klatce?

— Nie.

— Jak to! czyż nie mówiłem ci: ulica du Mail, hotel...

— Zapłacił — rzekł Gigonnet, dobywając z portfela czterdzieści biletów bankowych.

Twarz du Tilleta przybrała wyraz rozpacz.

— Nie trzeba nigdy kwaśno przyjmować talarów — rzekł niewzruszony wspólnik du Tilleta — to może przynieść nieszczęście.

— Skąd wzięłaś te pieniądze? — rzekł bankier, obrzucając żonę spojrzeniem, pod którym zaczerwieniła się po same włosy.

— Nie wiem, co znaczy to pytanie — rzekła.

— Przeniknę tę tajemnicę — odparł, wstając wściekły. — Obaliłaś moje najdroższe plany.

— A pan obalisz stół — rzekł Gigonnet, który przytrzymał obrus zaczepiony o poję szlafroka bankiera.

Pani du Tillet podniosła się zimno, aby wyjść, odezwane bowiem męża przeraziło ją. Zadzwoiła, zjawił się lokaj.

— Każ zaprzęgać — rzekła do służącego. — I zawołaj Wirginię, chcę się ubierać.

— Dokąd jedziesz?

— Dobrze wychowani mężowie nie indagują żon — odparła — a ty masz pretensje uchodzić za szlachcica.

— Nie poznają cię od dwóch dni, odkąd widziałaś dwa razy tę impertynentkę... twoją siostrę.

— Zaleciłeś mi, abym była impertynentką — rzekła — próbuję się na tobie.

— Sługa państwa — rzekł Gigonnet — nieciekawo sceny małżeńskiej.

Du Tillet popatrzył bystro na żonę, która patrzyła nań tak samo, nie spuszczać oczu.

— Co to znaczy? — rzekł.

— Że nie jestem już małą dziewczynką, którą będziesz mógł nastraszyć — odparła.

— Byłam i będę dla ciebie całe życie dobrą i wierną żoną; będziesz panem, jeżeli chcesz, ale tyranem nie.

Du Tillet wyszedł. Po tym wysiłku Maria Eugenia przeszła do siebie, wyczerpana.

— Gdyby nie niebezpieczeństwo siostry — rzekła w duchu — nigdy nie odważyłabym się na takie wystąpienie; ale, jak mówi przysłowie, każde nieszczęście zda się na coś.

W ciągu nocy pani du Tillet przeszła w pamięci zwierzenia siostry. Pewna była ocenia Raula, rozsądku jej tedy nie ćmiła myśl o wiszącym nad głową niebezpieczeństwie. Przypomniała sobie strasliwą energię, z jaką hrabina objawiała gotowość ucieczki z Natanem, aby go pocieszyć po klęsce, jeżeli nie zdoła jej zapobiec. Zrozumiała, że ten człowiek, w nadmiarze wdzięczności i uczucia, mógłby nakłonić siostrę do kroku, który dla rozsądnej Eugenii był oczywistym szaleństwem. Były, w świetnym towarzystwie, świeże przykłady tego rodzaju zapomnień, w następstwie których wątpliwe rozkosze opłaca się wyrzutami, ruiną opinii wynikłą z fałszywej pozycji. Eugenia przypomniała sobie fatalny obrót takich postanowień. Odezwanie du Tilleta dopełniło jej przerażenia; lękała się, aby się wszystko nie wykryło; wyobraziła sobie podpis hrabiny de Vandenesse w portfelu bankowym Nucingena; chciała błagać siostrę, aby wyznała wszystko Feliksowi. Pani du Tillet nie zastała hrabiny. Feliks był w domu. Jakiś wewnętrzny głos zawołał na Eugenię, aby ratowała siostrę. Być może jutro będzie już za późno. Przeżyła ciężką walkę, ale postanowiła wszystko powiedzieć hrabiemu. Czyż nie okaże się pobłażliwym, widząc iż honor jego jest jeszcze nietknięty? W postępowaniu hrabiny było więcej zbłąkania niż zepsucia. Eugenia przeleżała się, iż popełni podłość i zdradę odsłaniając tę tajemnicę, której docho- wuje całe społeczeństwo, jednomyślne w tym bez zastrzeżeń; ale, w końcu, uzmysłowiła

sobie przyszłość siostry, zadrżała iż ujrzy ją pewnego dnia samą, zrujnowaną przez Natana, biedną, znękaną, nieszczęśliwą, w rozpacz: przestała się wahać i kazała się oznajmić hrabiemu. Feliks, zdziwiony tą wizytą, odbył z siostrą żony długą rozmowę, w czasie której okazał tyle spokoju i panowania nad sobą, iż Maria Eugenia zadrżała, lękając się, iż waży może jakie straszne postanowienie.

— Niech pani będzie spokojna — rzekł Vandenesse — postąpię sobie w taki sposób, iż kiedyś siostra będzie błogosławiła panią. Mimo iż rozumiem, jak przykrym jest dla pani tać się przed nią, powiadomiwszy mnie o wszystkim, zechciej mi udzielić kilkudniowej zwłoki. Te kilka dni są mi potrzebne, aby przeniknąć tajemnicę, której się nie domyślasz, a zwłaszcza aby działać z przezornością. Być może dowiem się wszystkiego w jednej chwili! Ja jeden jestem tu winien, siostrzyczko! Wszyscy kochankowie grają swoją komedię; ale nie wszystkie kobiety mają szczęście oglądać życie takim, jakie jest.

Pani du Tillet wyszła uspokojona. Feliks de Vandenesse pobiegł natychmiast wziąć w Banku Francuskim czterdzieści tysięcy franków i udał się do pani de Nucingen: zastał ją, podziękował za zaufanie okazane żonie i zwrócił pieniądze. Hrabia wytłumaczył tę tajemniczą pożyczkę szalem dobroczynności, której pragnie położyć granice.

— Niech mi pan nie daje żadnych wyjaśnień, skoro pani de Vandenesse wszystko panu wyznała — rzekła baronowa de Nucingen.

— Wie wszystko — pomyślał Vandenesse.

Pani de Nucingen oddała list hrabiny i posłała do kasy po cztery obligi. Przez ten czas Vandenesse objął baronową przenikliwym okiem dyplomaty; zaniepokoił ją niemal i osądził, iż chwila sposobna jest do negocjacji.

— Żyjemy w epoce, pani, gdzie nic nie jest pewne — rzekł. — Trony wznoszą się i padają we Francji z przerażającą łatwością. Piętnaście lat to okres czasu zdolny uporać się z wielkim cesarstwem, monarchią, a także rewolucją. Nikt nie odważyłby się ręczyć za przyszłość. Zna pani moje przywiązanie do prawej monarchii. Te słowa nie mogą dziwić w moich ustach. Niech pani przypuści katastrofę: czy nie byłabyś rada mieć przyjaciela w stronnictwie, przy którym zostałyby zwycięstwo?

— Z pewnością — rzekła uśmiechając się.

— Więc dobrze, czy chce pani mieć we mnie, po cichu, człowieka zobowiązanego, który mógłby, w danym razie, zachować pana de Nucingen przy parostwie, o które się zabiega?

— Czego pan żąda? — wykrzyknęła.

— Niewiele — odparł. — Wszystkiego, co pani wie o Natanie.

Baronowa powtórzyła ranną rozmowę z Rastignakiem i rzekła, oddając ex-parowi Francji cztery akcepty przyniesione właśnie przez kasjera:

— Niech pan nie zapomni obietnicy.

Vandenesse tak dalece nie zapomniał o tej kuszącej obietnicy, że błysnął nią przed oczyma barona de Raistignac, aby uzyskać odeń jeszcze kilka objaśnień.

Wychodząc od barona, podyktował publicznemu pisarzowi następujący bilecik do Floryny:

„Jeżeli panna Floryna chce wiedzieć, jaka będzie najbliższa jej rola, zechce potrudzić się na przyszły bal Opery, postarawszy się o towarzystwo p. Natana”.

Oddawszy list na pocztę, poszedł do swego pełnomocnika, człowieka bardzo zręcznego i sprytnego, mimo iż nieposzlakowanej uczciwości; poprosił go o odegranie roli przyjaciela, któremu Schmuke zwierzył się rzekomo z wizyty pani de Vandenesse, zaniepokoiwszy się nieco późno słowami: *Akcept na dziesięć tysięcy franków*, powtórzonymi cztery razy, który przychodzi żądać od p. Natana weksla na czterdzieści tysięcy franków jako zabezpieczenia. Była to gra bardzo śmiała. Natan mógł już wiedzieć, w jaki sposób sprawy się ułożyły, ale trzeba było nieco zaryzykować, aby wiele wygrać. W pierwszym pomieszeniu Maria mogła zapomnieć prosić Raula o skrypt dla Schmukego. Pełnomocnik udał się natychmiast do redakcji i o piątej wrócił tryumfalnie do hrabiego, przynosząc oblig na czterdzieści tysięcy: po pierwszych słowach wymienionych z Natanem mógł przedstawić się jako posłany przez hrabinę.

Sukces zależał od tego, czy Vandenesse zdoła zapobiec, aby żona nie widziała Raula aż do balu Opery, dokąd miał zamiar ją zaprowadzić i pozwolić jej samej wejrzeć w stosunki



łączące Natana z Floryną. Znał zazdrosną dumę hrabiny; chciał, aby sama z siebie wyrzekała się swej miłości... i nie musiała rumienić się w jego obliczu. Wreszcie, w sposobnej chwili, miał jej pokazać własne jej listy do Natana, sprzedane przez Florynę, od której spodziewał się je odkupić. Ten roztropny plan, powzięty tak błyskawicznie i częściowo wykonany, miał chybić przez igraszkę trafu, który wszystko odmienia na ziemi. Po obiedzie Feliks sprowadził rozmowę na bal Opery, podnosząc że Maria nigdy jeszcze nie była na tej zabawie; zaproponował jej tę rozrywkę na dzień następny.

— Dam ci kogoś do intrygowania — rzekł.

— Och, z przyjemnością.

— Aby żart był naprawdę udany, kobieta powinna wziąć za cel nie lada ofiarę, jakąś sławę, człowieka na świeczniku, i doprowadzić do tego, by kąsał palce z wściekłości. Chcesz, bym ci dał na pastwę Natana? Mogę, przez kogoś, kto zna Florynę, mieć sekrety zdolne przywieść go do szaleństwa.

— Floryna — rzekła hrabina — ta aktorka?

Maria spotkała już to imię na ustach du Quilleta, służącego w redakcji: przeszło jej duszę niby błyskawica.

— No tak, jego kochanka — odparł hrabia. — Czy jest w tym coś dziwnego?

— Sądziłam, że p. Natan zbyt jest zajęty, aby mieć kochankę. Czyż autorowie mają czas kochać?

— Nie powiadam, że kochają, moja droga; ale są zmuszeni gdzieś *mieszkać*, jak wszyscy inni ludzie; i, kiedy nie mają własnego domu, kiedy ich ścigają komornicy, *mieszkają* u swoich kochanek, co może ci się wydać nieco płoche<sup>145</sup>, ale co jest nieskończenie miłsze, niż *mieszkać* w więzieniu.

Policzki hrabiny oblały się płomieniem.

— Chcesz zabawić się jego kosztem? przerazisz go — ciągnął hrabia, nie zwracając uwagi na fizjognomię żony. — Dam ci sposób udowodnienia mu, że twój szwagier du Tillet wodzi go za nos jak dziecko. Ten nędznik chce go wtrącić do więzienia, aby usunąć go jako konkurenta w okręgu wyborczym, z którego wyszedł Nucingen. Wiem od przyjaciela Floryny cyfrę, jaką uzyskała ze sprzedaży ruchomości i dała na założenie dziennika; wiem, ile mu przesłała ze żniwa, na jakie się wybrała w tym roku na prowincję i do Belgii, które to pieniądze wyszły ostatecznie na korzyść du Tilleta, Nucingena i Massola. Wszyscy trzej z góry już sprzedali dziennik rządowi, tak są pewni, że uprzątną tego wielkiego człowieka.

— Pan Natan nie byłby zdolny przyjąć pieniędzy od aktorki.

— Nie znasz wcale tych ludzi, moja droga — rzekł hrabia — on sam nie zaprze ci tego.

— Pójdę na bal, z pewnością — rzekła hrabina.

— Zabawisz się — odparł Vandenesse. — Mając podobną broń, wysmagasz ostro miłość własną Natana i oddasz mu przysługę. Ujrzysz, jak będzie się wściekał, jak opanuje się, to znowuż skoczy pod twymi przycinkami! Niby żartując, oświecisz tego utalentowanego człowieka co do niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje, i będziesz miała przyjemność ochłostania komików *złotego środka* w ich własnej stajni... Ale ty nie słuchasz, drogie dziecko.

— Przeciwnie, zanadto słucham — odparła. — Powiem ci później, dlaczego zależy mi na tym, aby mieć *pewność* tego wszystkiego.

— Pewność? — odparł Vandenesse. — Zostań w masce, urządzę rzeczy tak, iż będziesz wieczerzać z Floryną i Natanem. Bardzo zabawne będzie dla kobiety twego stanowiska zaintrygować aktorkę, puściwszy wprzód w ruch sławnego człowieka, który będzie się kręcił niby bąk podcięty batem. Postaram się odnaleźć trop niewierności Natana. Jeżeli zdołam pochwycić szczegóły jakiejś świeżej przygody, będziesz się mogła napawać wściekłością kurtyzany, rzecz w istocie wspaniała! Furia, w jaką wpadnie Floryna, będzie kipieć jak potok alpejski; ubóstwa Natana, jest wszystkim dla niej, zrośnięta jest z nim jak skóra z kością, będzie walczyć o niego jak lwica broni młodych. Przypominam sobie, iż widziałem w młodości sławną aktorkę (która, nawiasem mówiąc, pisała jak kucharka), kiedy przyszła żądać zwrotu listów od jednego z mych przyjaciół; nigdy, od tego czasu,

Zazdrość

<sup>145</sup>*płochy* — niestały w uczuciach, lekkomyślny. [przypis edytorski]

nie oglądałem podobnego widowiska, tej spokojnej furii, tego bezczelnego majestatu, tej... Mario, co tobie?...

— Nic, zanadto napalono.

Hrabina rzuciła się na kozetkę. Nagle, pod wpływem niespodzianego odruchu obudzonego piekącym bólem zazdrości, zerwała się na drżące nogi, skrzyżowała ręce i pode-szła z wolna do męża.

— Co ty wiesz? — spytała. — Nie jesteś człowiekiem zdolnym mnie torturować; zmiażdżyłbyś mnie, nie dając mi cierpieć, w razie, gdybym była winna.

— Co takiego mam wiedzieć, Mario?

— A zatem, Natan?...

— Zdaje ci się, że go kochasz — odparł — ale kochasz jedynie urojony twór ulepiony z frazesów.

— Wiesz zatem?...

— Wszystko — rzekł.

To słowo spadło na głowę Marii jak maczuga.

— Jeżeli chcesz, nie będę nigdy wiedział nic — odparł. — Znalazłaś się nad urwiskiem, moje dziecko, trzeba cię wydobyć, pomyślałem już o tym. Masz.

Wydobył z bocznej kieszeni list gwarancyjny i cztery akcepty Schmukego, które hrabina poznała, i rzucił je w ogień.

— Co by się z tobą stało, biedna Mario, za trzy miesiące. Komornicy wlekliby cię przed trybunały. Nie opuszczaj głowy, nie wstydz się: byłaś ofiarą najpiękniejszych uczuć, zawróciłaś sobie głowę poezją, nie człowiekiem. Każda kobieta, każda, słyszysz, Mario? dałaby się uwieść na twoim miejscu. Czyż nie byłoby niedorzecznością u nas, mężczyzn, którzy popełniliśmy tysiąc głupstw w dwudziestym roku, żądać abyście wy nie były nierozważne ani jeden raz w ciągu życia? Niech mnie Bóg broni, bym miał tryumfować nad tobą, lub przygniatać cię litością, którą kiedyś odtrąciłaś tak żywo. Być może ten nieszczęśliwy był szczery, kiedy pisał do ciebie, szczery odbierając sobie życie, szczery kiedy, tego samego wieczora, wrócił do Floryny. My jesteśmy mniej wari od was. W tej chwili nie mówię w mojej, ale w twojej sprawie. Ja jestem pobłażliwy, ale społeczeństwo nie: stroni od kobiety, która dopuściła się skandalu, nie chce, aby można było kojarzyć doskonale szczęście z poważaniem. Czy sprawiedliwie, nie umiałbym odpowiedzieć. Świat jest okrutny, oto wszystko. Być może bardziej jest zawistny gromadnie, niż po szczególe. Siedząc na galerii, złodziej oklaskuje tryumf niewinności, wyszedłszy zaś z teatru okradnie ją. Społeczeństwo wzdraga się koić niedole, jakie płodzi; przyznaje zaszczyty zręcznym oszustwom, nie ma zaś nagród dla cichych poświęceń. Wiem i widzę to wszystko; ale, jeżeli nie mogę zreformować świata, jest przynajmniej w mojej mocy chronić cię przeciw tobie samej. Chodzi tu o człowieka, który przynosi ci jedynie same brudy, a nie ową świętą i wzniosłą miłość, która zniewala nas niekiedy do wyrzeczeń, która zamyka w samej sobie swoje usprawiedliwienie. Być może, błędziłem w tym, iż nie dość się starałem urozmaicić twoje szczęście, iż spokojnym przyjemnościami nie przeciwstawiłem uciech bardziej żywych, podróży, rozrywek. Skłonność, która popchnęła cię ku sławnemu człowiekowi, mogę zresztą wytłumaczyć sobie zazdrością otaczających cię kobiet. Lady Dudley, pani d'Espard. Pani de Manerville i bratowa moja Emilia odegrały w tym też niejaką rolę. Te kobiety, przed którymi cię ostrzegałem, podsycaly twą ciekawość bardziej aby mnie sprawić przykrość, niż aby ciebie wtrącić w burze, które, mam nadzieję, huczały nad twoją głową nie dosięgając cię.

Słuchając tych słów napojonych dobrocią, hrabina była pastwą tysiąca sprzecznych uczuć; ale nad tym huraganem dominował żywy podziw dla Feliksa. Szlachetne i dumne dusze rychło uznają delikatność, z jaką się ktoś do nich odnosi. Ten akt jest dla uczuć tym, czym wdzięk dla ciała. Maria oceniła tę wielkość, która, aby nie widzieć rumieńca kobiety, gotowa jest schylić się do stóp winnej. Uciekła jak szalona, ale wróciła rychło, sprowadzona myślą o niepokoju męża.

— Zaczekaj — rzekła znikając.

Feliks przygotował jej zręcznie drogę do usprawiedliwienia, jakoż spotkał się z nagrodą swej zręczności; wróciła bowiem z listami Natana i podała mu je.

— Sądź mnie — rzekła przyklękając.

— Czyż można dobrze sądzić, kiedy się kocha? — odparł.

Wziął listy i rzucił je w ogień, później bowiem żona mogłaby mu nie darować tego iż je czytał. Maria, z głową na kolanach hrabiego, rozplywała się we łzach.

— Moje dziecko, a gdzie twoje listy? — rzekł podnosząc jej głowę.

Na to pytanie hrabina nie czuła już nieznośnego żaru, jaki palił jej policzki, mróz ją przebiegł.

— Abyś nie posądzała męża, iż spotwarzył człowieka, któregoś mniemała godnym siebie, postaram się, aby Floryna oddała ci sama te listy.

— Och! czemuż on sam nie miałby mi ich oddać na mą prośbę?

— A gdyby odmówił?

Hrabina opuściła głowę.

— Świat mnie brzydzi — rzekła — nie chcę już bywać nigdzie, będę żyła samotnie przy tobie, jeżeli mi przebaczysz.

— Mogłabyś się znowu znudzić. Zresztą co powiedziałby świat, gdybyś go porzuciła tak nagle? Na wiosnę puścimy się w podróż, pojedziemy do Włoch, przebiegniemy Europę, w oczekiwaniu aż zaprzątną cię troski macierzyństwa. Nie możemy uchylić się od pójścia do Opery jutro, niepodobna nam bowiem uzyskać w inny sposób twoich listów bez niebezpieczeństwa; skoro zaś Floryna ci je przyniesie, czyż tym samym nie stwierdzi<sup>146</sup> swej władzy?

— I zobaczę to?... — rzekła hrabina przestraszona.

— Pojutrze rano.

Nazajutrz, około północy, na balu Opery, Natan przechadzał się po foyer<sup>147</sup>, podając z miną dosyć *matżeńską* ramię jakiejś masce. Skoro obeszli parę razy salę, dwie zamaskowane kobiety podeszły do nich.

— Biedny głupcze, gubisz się, Maria jest tu i widzi cię — rzekł do Natana Vandenesse, który się przebrał za kobietę.

— Jeżeli chcesz mnie posłuchać, dowiesz się tajemnic, które Natan ukrywa przed tobą: miłość twoja jest w niebezpieczeństwie — rzekła, drżąc cała, hrabina do Floryny.

Natan puścił nagle ramię Floryny, aby bieć za hrabią, który zgubił się w tłumie. Floryna usiadła koło hrabiny, która pociągnęła ją na ławeczkę tuż koło Vandenesse; hrabia wrócił, aby czuwać nad żoną.

— Wytłumacz się, moja droga — rzekła Floryna — i nie sądz, iż dłużej będziesz mnie *nabierać*. Nikt na świecie nie wydrze mi Raula, rozumiesz: trzymam go przyzwyczajeniem, a to warte co najmniej tyle, co miłość.

— Przede wszystkim, czy ty jesteś Floryna? — rzekł Feliks, odzyskując naturalny głos.

— Dobre pytanie; jeżeli tego nie wiesz, jakże chcesz, abym ci wierzyła, filucie?

— Spytaj Natana, który w tej chwili goni za ubóstwianą, gdzie spędził noc przed trzema dniami? Zaczadził się, moja mała, bez twojej wiedzy, dla<sup>148</sup> braku pieniędzy. Oto, jak starasz się o jego interesy; niby go kochasz, a zostawiasz go bez grosza i pozwalasz, aby się zabijał; a raczej nie zabijał nawet... Chybione samobójstwo to rzecz tak śmieszna, jak pojedynek bez draśnięcia.

— Kłamiesz — rzekła Floryna. — Jadł u mnie obiad tego dnia, ale po zachodzie słońca. Biednego chłopca ścigają, ukrył się, oto wszystko.

— Idźże tedy spytać się na ulicę du Mail, do hotelu *du Mail*, czy nie przywiozła go tam bez życia piękna kobieta, z którą jest w stosunkach od roku. Listy twojej rywalki są ukryte pod twoim nosem, w twoim domu. Jeżeli chcesz dać Natanowi dobrą lekcję, pójdziemy wszyscy troje do ciebie: tam udowodnię ci dokumentami, że, jeżeli zechcesz być pocziwą dziewczyną, możesz uchronić go od spaceru na ulicę Clichy, do więzienia za długi.

— Próbuj brać na kawał inne, ale nie Florynę, mój kotku. Jestem pewna, że Natan nie może kochać się w nikim.

<sup>146</sup>*stwierdzić* (daw.) — tu: umocnić. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*foyer* — pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa publiczność. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*dla* (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

— Chcesz mi dać do zrozumienia, że podwoił czułość dla ciebie od jakiegoś czasu, ale to właśnie dowód, że jest bardzo zakochany...

— W wielkiej damie, on?... — rzekła Floryna. — Nie kłopotę się o takie bzdury.

— Więc dobrze, czy będziesz zadowolona, skoro sam przyjdzie ci powiedzieć, że nie odprowadzi cię dziś rano do domu?

— Jeżeli potrafisz to sprawić — odparła Floryna — pójdziemy do domu i poszukamy listów. Uwierzę, skoro zobaczę.

— Zostańże tu — rzekł Feliks — i patrz.

Podał ramię żonie i przystanął o dwa kroki od Floryny. Wkrótce Natan, który błąkał się tam i sam po *foyer*, szukając na wszystkie strony straconej maseczki, tak jak pies szuka pana, wrócił w pierwotne miejsce. Czytając na jego czole łatwą do zauważenia troskę, Floryna stanęła przed pisarzem jak posąg i rzekła rozkazująco:

— Nie chcę abyś się sam wałęsał: mam swoje racje.

— Maria!... — szepnęła wówczas, za poradą męża, hrabina do ucha Raula. — Kto jest ta kobieta? Zostaw ją natychmiast, wyjdź i czekaj na dole.

Poddany tej straszliwej próbie, Raul szarpnął gwałtownie ramię Floryny, która nie spodziewała się tego obrotu; mimo że trzymała mocno, zmuszona była go puścić. Natychmiast Natan zginął w tłumie.

— Cóż ci mówiłem? — zawołał Feliks do ucha zdumionej aktorki, podając jej rękę.

— Dalej — rzekła — kimkolwiek jesteś, chodźmy. Masz powóz?

Za całą odpowiedź, Vandenesse uprowadził śpiesznie Florynę i pobiegł połączyć się z żoną. W kilka chwil trzy maski, wiezione ostro przez konie Vandenesse, przybyły do aktorki, która zrzuciła maskę. Pani de Vandenesse nie mogła powstrzymać dreszczu zdumienia na widok Floryny dławiącej się od wściekłości, wspaniałej zazdrością i gniewem.

— Jest tu — rzekł Vandenesse — pewna teczka, od której klucza nigdy ci nie powierzono; listy muszą tam być.

— Daję słowo, intrygujesz mnie, wiesz rzecz, która niepokoiła mnie od kilku dni — rzekła Floryna, rzucając się do gabinetu, aby szukać teczki.

Vandenesse ujrzał, iż żona błędnie pod maską. Pokój Floryny więcej powiadał o zażyłości aktorki i Natana, niż by pragnęła wiedzieć o tym idealna kochanka. Oko kobiety umie przeniknąć rzeczy tego rodzaju w jednej chwili; jakoż hrabina spostrzegła w pomieszaniu przyborów domowych najżywsze potwierdzenie tego, co jej mówił Vandenesse.

Floryna wróciła z teczką.

— Jak otworzyć? — rzekła.

Aktorka posłała do kuchni po wielki nóż, i, kiedy pokojówka go przyniosła, Floryna potrząsnęła nim w powietrzu, mówiąc szydlerczo:

— Doskonale! Tym się zarzyna *kurczęta!*

Wykrzyknik ten, który przyprawił o drżenie hrabinę, wytłumaczył jej, jeszcze lepiej niż mąż poprzedniego dnia, głębie otchłani, w którą omal się nie stoczyła!

— Jakaż ja głupia! rzekła Floryna, brzytwa będzie lepsza.

Poszła po brzytwę, którą Natan dopiero co się golił, i przecięła fałdy safianu. Otworzyły się, ukazując listy Marii. Floryna wzięła jeden na los szczęścia.

— Hoho, to naprawdę jakaś dama! Wygląda mi, że tam nie ma ani jednego błędu ortograficznego!

Vandenesse wziął listy i oddał żonie, która poszła sprawdzić na stoliczku, czy są wszystkie.

— Czy chcesz je odstąpić, w zamian za to? rzekł Vandenesse, pokazując Florynie pokwitowanie na czterdzieści tysięcy franków.

— Cóż za cymbał, żeby podpisywać takie świstki!... Pokwitowanie na weksle — rzekła Floryna, czytając papier. — Hoho! ja cię oduczę od hrabin! A ja, która zatracalam ciało i duszę na prowincji, aby dla niego zbierać pieniądze, ja, która byłabym się puściła z maklerem giełdowym, byle jego ocalić! Oto mężczyźni! Kiedy się człowiek wypruwa dla nich, przejadą mu po brzuchu! Zapłaci mi za to.

Pani de Vandenesse uciekła, unosząc listy.

— Hola, czekaj maseczko, zostaw mi jeden, abym go mogła przekonać.

— To niemożliwe — rzekł Vandenesse.

— Dlaczego?

- Ta maska jest twoją ex-rywalką.
- Hm, mogłaby mi choć powiedzieć *dziękuję!* — wykrzyknęła Floryna.
- Czemuż bierzesz tedy czterdzieści tysięcy? — rzekł Vandenesse z ukłonem.

Niezmiernie rzadkim jest, aby młodzi ludzie, którzy spróbowali samobójstwa, wracali doń jeszcze, poznawszy jego cierpienia. Toteż Raulowi nie przysła już ochota zabijać się, mimo iż ujrzał się w położeniu straszniejszym jeszcze, niż to, z którego się wydobył. Akcept jego na imię Schmukego znajdował się w rękach Floryny, która widocznie miała go od hrabiego de Vandenesse! Próbował się starać o rozmowę z hrabiną, aby jej wytłumaczyć charakter swej miłości, która jaśniała w sercu jego żywiej, niż kiedykolwiek. Ale za pierwszym razem kiedy, w towarzystwie, hrabina ujrzała Raula, rzuciła mu owo martwe i wzgardliwe spojrzenie, które stawia nieprzebytą zaporę między kobietą a mężczyzną. Mimo swej pewności siebie Natan nie odważył się przez resztę zimy odezwać do hrabiny ani zbliżyć do niej.

Zwierzył się Blondetowi; nawiązując do pani de Vandenesse, zaczął mówić o Laurze<sup>149</sup> i Beatryczy<sup>150</sup>. Sparafrazował ten piękny ustęp pióra jednego z najwybitniejszych poetów współczesnych: „Ideale, niebieski kwiecie<sup>151</sup> o złotym sercu, którego włókniste korzonki, tysiąc razy bardziej rozgałęzione niż jedwabne warkocze wróżek, zatapiają się w głębi duszy, aby z niej pić najczystsza substancję; ty kwiecie tak słodki i tak gorzki zarazem! Nie można cię wyrwać, nie skrwawiając serca, iżby twoja złamana łodyga nie sączyła czerwonych kropel! Och! kwiecie przeklęty, jakżeś wzrósł w mojej duszy!”

— Bredzisz, mój drogi — rzekł Blondet; — przyznaję ci, że kwiatek był ładny, ale nie był wcale idealny! Zamiast śpiewać jak ślepy przed próżną niszą, powinien byś pomyśleć o tym, aby umyć ręce dla pojednania z władzą i usatkwować się. Jesteś nadto wielkim artystą, aby być politykiem; byłeś igraszką w ręku ludzi, którzy ci do pięt nie dorosli. Pomyśl i o nowej roli, ale w innym teatrze!

— Maria nie może zabronić, bym ją kochał — rzekł Natan. — Uczynię z niej swoją Beatrycze.

— Mój drogi, Beatrycze była dwunastoletnią dziewczynką, której Dante nie widział od tego czasu na oczy; inaczej czyżby była Beatryczą? Aby sobie uczynić z kobiety bóstwo, nie trzeba jej widzieć dziś w mantylce, jutro wygorsowanej, pojutrze na bulwarze targującej zabawki dla swej najmłodszej pociechy. Kiedy się ma Florynę, która kolejno jest księżną z wodewilu, mieszczańką w dramacie, murzynką, margrabiną, pułkownikiem, szwajcarską wieśniaczką, dziewczicą Słońca w Peru — jedyny sposób, w jaki może być dziewczicą — nie rozumiem, jak ktoś ma ochotę bawić się w damy z towarzystwa.

Du Tillet, wedle gwary giełdowej, *wygotił* Natana, który, dla braku funduszków, odstąpił swój udział w dzienniku. Sławny człowiek zyskał zaledwie pięć głosów w okręgu, w którym wybrano bankiera.

Kiedy, następnej zimy, po długiej i szczęśliwej podróży po Włoszech, hrabina de Vandenesse wróciła do Paryża, Natan usprawiedliwił wszystkie przepowiednie Feliksa: w myśl rady Blondeta parlamentował z władzą. Co do osobistych spraw pisarza, były one w takim nieporządku, iż, jednego dnia, na polach Elizejskich, hrabina Maria ujrzała dawnego wielbiciela pieszo, w nader oplakany stroju, prowadzącego pod rękę Florynę. Mężczyzna obojętny dostatecznie jest już brzydki w oczach kobiety; ale, kiedy przestała go kochać, wydaje się jej ohydny, zwłaszcza kiedy jest podobny do Natana. Pani de Vandenesse uczuła drgnienie wstydu na myśl, iż mogła interesować się Raulem. Gdyby nie była uleczona z wszelkiej pozamałżeńskiej miłości, kontrast, jaki przedstawiał wówczas hrabia, w zestawieniu z tym człowiekiem, o wiele mniej już godnym publicznego faworu<sup>152</sup>, wystarczyłyby, aby uczynić jej męża piękniejszym od anioła.

Dzisiaj ten ambitny człowiek, tak bogaty w atrament a tak ubogi w wolę, skapitulował zupełnie i ulokował się na jakiejś synekurze<sup>153</sup>, jak mierny pisarek. On, który

<sup>149</sup>*Laura* — adresatka sonetów Petrarke. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*Beatrycze Portinari* (1266–1290) — żona bankiera, ukochana Dantego, umieszczona przez niego w *Boskiej komedii* jako przewodniczka po raj. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Ideale, niebieski wiecie etc.* — Teophile Gautier, *Panna de Maupin*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*fawor* (daw.) — łaska. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*synekura* (z łac.) — miejsce pracy niewymagające szczególnego wysiłku. [przypis edytorski]

popierał wszystkie opozycyjne hasła, żyje w spokoju, w cieniu ministerialnego dziennika. Krzyż legii honorowej, obfity temat żarcików Natana, zdobi kłapę jego surduta. *Pokój za każdą cenę*, na którym tak ostrzyła sobie języki redakcja rewolucyjnego pisma, jest dziś przedmiotem pochwalnych artykułów Raula. Dziedziczości, tak atakowanej niegdyś frazesami *a la Saint-Simon*<sup>154</sup>, broni dzisiaj z całym autorytetem racji Stanu. To nielogiczne postępowanie ma swoje źródło i przyczyny w zmianie frontu niektórych ludzi, którzy, w czasie ostatnich ewolucji politycznych, postąpili sobie jak Raul.

*Jardies, grudzień 1838.*

---

<sup>154</sup>*Saint-Simon, Henri de* (1760–1825) — francuski pisarz i filozof, socjalista utopijny. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-corka-ewy>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Córka Ewy*. Sekrety księżnej de Cadignan, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. drugie, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-0059-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).